

KARDYNAŁ M. WISEMAN

FABIOLA

POWIEŚĆ

Z CZASÓW PRZEŚLADOWANIA
CHRZEŚCIJAN W ROKU 302

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO
W NOWYM OPRACOWANIU

TOM I



1936

NAKŁADEM BIBLIOTEKI DOBRYCH KSIĄŻEK
Ł O M Ź A

**BIBLIOTEKA DOBRYCH KSIĄŻEK
WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC
RED. I WYDAWCA: KS. A. ROSZKOWSKI**

KIEROWNIK LITERACKI: A. L. SZYMAŃSKI

WARUNKI PRENUMERATY
z przesyłką pocztową:

	w broszurze	w oprawie
kwartalnie .	zł. 2.50	zł. 4.—
półrocznie .	zł. 5.—	zł. 8.—
rocznie . .	zł. 10.—	zł. 16.—

Cena pojedynczego tomu: zł. 1, — w oprawie zł. 1.60

Redakcja i Admin. B. D. K.: Łomża, Okrzei 13

SKŁADY GŁÓWNE:

w Łomży — Biblioteka Dobrych Książek, Okrzei 13
w Warszawie — K. T. W. „Kronika Rodzinna“, Podwale 4

TOM XI Ł O M Ż A ROK 1

19 Czcionkami Druk. Diec. w Łomży 36

TYTUŁY KSIĄG:

**I.
CHWILE ROZEJMU.**

**II.
WALKA.**

**III.
ZWYCIĘSTWO.**



84689

Komputer

Ks. kardynał Mikołaj Wiseman, arcybiskup westminsterski, głowa Kościoła katolickiego w Anglii, należał do wybitnych ludzi swojej epoki.

Pełen ducha apostolskiego, prawdziwy sługa Boży o niezłomnym charakterze i wielkiej sile woli — znakomicie posunął naprzód sprawę katolicką w Anglii. Działał słowem i piórem, a chcąc trafić do wszystkich warstw narodu obok dzieł i traktatów teologicznych pisał też rzeczy przystępniejsze dla ogółu, a między innymi powieść z czasów prześladowania chrześcijan w państwie rzymskim „Fabiolę”.

Powieść ta, przełożona na wszystkie ważniejsze języki europejskie, w tłumaczeniu polskim wyszła po raz pierwszy w roku 1857 w Krakowie. Następne wydania były ponawiane w latach 1860, 1885 i 1914.

Ks. kardynał M. Wiseman urodził się w r. 1802, zmarł w roku 1865, a choć przeszło siedemdziesiąt lat minęło od jego zgonu, powieść „Fabiola” również dziś zajmuje i wzrusza czytelników, jak zajmowała i wzruszała przed laty.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0144938

CZEŚĆ PIERWSZA

Chwile rozejmu.

ROZDZIAŁ I.

Chrześcijańska rodzina.

Słońce chyli się ku zachodowi i zaledwie już parę godzin ma przed sobą. Niebo, żadną chmurką nie przyćmione, jaśniej pogoda, ale upał mniej się już czuć daje. Tłumy ludu wysypują się z domów, dążąc dwiema drogami ku ogrodom Cezara i Sallusta. Jedni chcą użyć wieczornego chłodu, inni idą, aby usłyszeć co nowego, pozbieraćienne wiadomości. Zaprowadzimy jednak czytelnika naprzód do owej części miasta, która się zwie Polem Marsowym, *Campus Martius*.

Miejsce to od najdawniejszych czasów rzymskich było polem atletycznych i wojennych ćwiczeń ludu, a u schyłku Rzeczypospolitej poczęło się zapełniać budynkami i gmachami publicznymi. Pompejusz wznosił tam swój teatr, wkrótce potem Agrypa założył panteon i przyległe łaźnie. W miarę jak arystokratyczne pagórki zabudowały się pałacami cesarskimi i to tak szybko, że po pożarze za Nerona obszar Pałacyu nie wystarczał już na gmachy cesarskie

K-22/79/105101

i cyrk wielki (*Circus Maximus*), prywatne siedziby rozpościerały się po Polu Marsowym.

Łaźnie Tytusa, wzniesione na ruinach Złotego domu zajęły pagórek, zwany *Mons Esquilinus*, łaźnie Karakali *Mons Aventinus*; w czasie, który opisujemy, cesarz Dioklecjan zagarnął sobie na łaźnie przestrzeń niegdyś przeznaczoną dla wielu patrycjuszowskich domów, na pagórku *Mons Quirinalis* nie daleko ogrodów Sallustiusza.

Za czasów rzeczypośpolilej było na środku Pola Marsowego wielkie kwadratowe ogrodzenie, zwane *Saepta* lub też *Ovile* od podobieństwa z owczarnią, podzielone na części, w których się mieściły pokolenia rzymskie dla głosowania w czasie komicjów, czyli zgromadzeń ludu. August ułożył plan w liście do Attykusa, opisany przez Cyncerona, zamieniający to proste i tymczasowe ogrodzenie na wspaniałe i trwałe.

Saepta Iulia otoczono kolumnadą w malowidła ozdobną, 1000 stóp długą, 500 stóp szeroką, a obejmującą miejsce, gdzie teraz stoja pałace Doria i Verospi (wzdłuż teraźniejszego Corso, oraz kollegium rzymskiego, kościoła św. Ignacego i kaplicy Caravita). Dom, do którego zapraszamy czytelnika, stoi naprzeciwko *Saepta Iulia*, tam, gdzie obecnie jest teraźniejszy kościół św. Marcelego. Na wschód zaś, aż do podnóża Kwirynału, zajmuje (zwyczajem pańskich zabudowań w Rzymie) znaczną bardzo przestrzeń. Ze strony zewnętrznej przedstawia widok jednostajny i martwy. Ściany nagie, bez architektonicznych ozdób, nie wysokie, jedynie oknami urozmaicone. W środku jednej ściany tego domu są drzwi *in antis*, to jest zaledwie ozdobione tympanonem czyli gzymsem trójkątnym, wspartym na dwóch prostych filarach.

Wstępujemy w progi tego domu. Przeszedłszy przedsionek, gdzie na wstępie z przyjemnością wyczytaliśmy powitalne *Salve*, znajdujemy się w *atrium*, czyli sali przyjęć tego domu. Kolumny naokoło, a w środku fontanna o dwóch kondygnacjach, łagodnie szemrzająca. W niej to kryształowa woda, wodociągiem Klaudyjskim z wyżyn tuskulańskich sprowadzona, wytryskując w powietrze raz wyżej, drugi raz niżej, spada w czarę z czerwonego marmuru, a potem w miękiej fali spływa kroplistym deszczem na różnobarwne kwiaty w zgrabnych doniczkach wokoło poustawianych, zanim się zbierze do niżej umieszczonego zbiornika. Pod kolumnami umieszczone są bogate sprzęty, siedzenia wykładane kością słoniową, a nawet i srebrem, stoły z drzewa kosztownego, a na stołach świeczniki, lampy i inne domowe sprzęty z brązu lub srebra; mistrzowskim dłutem rzeźbione popiersia, naczynia, trójnogi i rozmaite kunsztowne wyroby.

Na ścianach malowidła, choć pochodzące z ubiegłych już czasów, nie straciły dotąd całej żywości kolorów. Między malowidłami widać we framugach figury historyczne, a nawet i mitologiczne, ale rzecz dziwna, nic takiego oko nie spotyka, coby mogło najdelikatniejsze uczucie razić. Tu i owdzie próżna framuga lub malowidło zakryte świadczy, iż to uczyniono z umysłu.

Impluvium, otwór wielki kwadratowy w suficie, ciemnym płótnem zasłonięty, a chroniący od deszczu i słońca, zaledwie dozwala w tym sztucznym mroku widzieć dopiero co opisane przedmioty, dodając nowego uroku temu, co dalej oglądać będziemy.

Przez łuk arkady, wprost naprzeciw tej,

którąśmy weszli, ukazuje się dalsza, daleko bogatsza komnata, wykładana różnokolorowymi marmurami i błyszcząca złotem. Tu już do sufitu nie użyto płótna, lecz szkła (*lapis specularis*); firanka zaś odsunięta wpuszcza do tego przybytku jaskrawy promień zachodzącego słońca. Tu poznajemy dopiero, żeśmy nie w zczarowanym pałacu, ale w mieszkalnym domu.

Za stołem, wspartym na kolumnach z marmuru frygijskiego, siedzi matrona w średnim wieku: rysy jej szlachetne i łagodne noszą ślady dawniej doznanych cierpień, lecz jakaś potęga zdaje się, że zatarła wspomnienia tych cierpień, lub słodkim wpływem złagodziła. Zamięłność i pociecha wspólnie opanowały serce tej osoby. Prostota jej powierzchowności dziwnie odbija przy otaczających ją bogactwach. Włosy, gdzieniegdzie siwizną osrebrzone, nie są ani nakryte, ani sztucznie utrefione. Suknia jej jest ciemnej barwy i najprostszego kroju, bez wyszywań, wyjąwszy oblamowania purpurową taśmą, zwane *segmentum*, wdowi stan oznaczające. Nie ujrzyś na niej żadnej z tych kosztowności, tak obficie zdobiących damy rzymskie. Jedyne klejnot, który ją przystroja, jest sznureczek złoty około szyi obwinięty, na którym zawieszona zapewne droga pamiątka, starannie ukryta pod wierzchnią suknią.

W tej chwili pilnie pani ta pracuje nad ozdobą widocznie nie do własnego użytku przeznaczoną. Na długiej wstędze ze złotej materii haftuje jeszcze bogatszą nicią złotą i często sięga do zgrabnych szkatulek, rozstawionych na stole, po perłę lub drogi w złoto oprawny kamień, który starannie wszywa w robotę. Są to może zabytki z dawnych czasów,

a na wyższy cel teraz obrócone. Lecz gdy czas upływa, jakaś niespokojność widocznie przerywa łagodny bieg jej myśli, zatopionej (jak się zdawało) w robocie. Teraz często wzrok od haftu odrywając, wpatrując się w arkadę wchodową, czasem ucho natęża, aby dosłyszeć kroki i zdaje się być zasmucona zawiedzioną nadzieją, spoglądając to na słońce, to na klepsydrę, czyli wodny zegar, stojący na półeczce. Ale właśnie gdy głębszy niepokój począł się malować na jej obliczu, silna a dobrze znana ręka pchnęła drzwi, a matrona pochyliła się naprzód z uradowanym wejrzeniem, witając pożądanego gościa.

ROZDZIAŁ II.

Syn męczennika.

Chłopiec, pełen wdzięku i młodzieńczej żywości, stąpa lekko i wesoło wzdłuż *atrium* ku wewnętrżnej sali. Ma lat może czternaście, wysoki na swój wiek, kształtnej budowy i męskiej postawy.

Szyja naga, barki rozwinięte ćwiczeniami; na twarzy maluje się szczere i gorące uczucie, głowa okryta ciemnym, kędzierzawym włosiem. Nosi zwykły strój młodzieży rzymskiej: krótką pretekstę, spadającą niżej kolan, a bullę czyli gałkę dętą, złotą, zawieszoną u szyi. Zwitek pergaminu, niesiony za młodzieńcem przez starego sługę wskazuje, iż właśnie ze szkoły powraca.

Młodzieniec otrzymał pocałunek powitalny i usiadł u nóg matki, która spogląda przez czas jakiś w milczeniu, jakby chcąc wyczytać z obli-

cza syna przyczynę niezwykłego opóźnienia, gdyż powrócił o całą godzinę później.

Wreszcie tymi słowy odezwała się do niego:

— Cóż cię zatrzymało dzisiaj, najdroższy synu? Spodziewam się, że nie spotkał cię w drodze żaden wypadek.

— O, żaden, zapewniam cię, najmilsza matko; wszystko było tak piękne, że zaledwie potrafię opowiedzieć.

Pobłażliwe spojrzenie matki wywołało na usta chłopca wesoły uśmiech, mówił więc dalej:

— Opowiem ci to zaraz, bo wiesz, że nigdy nie jestem spokojny, ani mogę zasnąć, dopóki ci wprzód nie opowiem, cokolwiek mi się mogło przytrafić dobrego lub złego.

Matka uśmiechnęła się znowu, nie spodziewając się, aby mogło być co złego.

— Czytałem kiedyś, że Scytowie co wieczór rzucają w urnę biały lub czarny kamyczek, podług tego, czy dzień był szczęśliwy lub nie; gdybym miał ten zwyczaj, znaczyłbym białym lub czarnym kamyczkiem dni, w którychbym znalazł lub nie sposobność do opowiedzenia ci spraw moich z całego dnia. Lecz dzisiaj po raz pierwszy sumienie moje trwoży się i niepewny jestem, czy ci się mam ze wszystkiego wypowiadać, czy zamilczeć.

Czy serce matki zdradziło nieznana dotąd obawę, czy może oczy ze słodką zwróciły się troskliwością, dość, że młodzieniec pochwycił rękę ukochanej matki i czule do ust przycisnąwszy, tak dalej mówił:

— Nie obawiaj się, droga matko, twój syn nic takiego nie uczynił, coby cię mogło zmartwić. Powiedz tylko, czy chcesz wiedzieć wszystko, co mi się przytrafiło dzisiaj, czy tylko przyczynę mego późnego powrotu?

— Powiedz mi wszystko, drogi Pankracjuszu — odpowiedziała matka — cokolwiek się ciebie tyczy, nie może być mi obojętne.

— A więc niech tak będzie: ten ostatni dzień mego uczęszczania do szkoły wydaje mi się dziwnie szczęśliwym, a przecie pełnym szczególnych wydarzeń. Najprzód zostałem uwieńczony jako najzdolniejszy w wygłaszaniu mowy, którą nam nauczyciel Kassjanus dał do wypracowania, i to dało powód, jak usłyszysz, do dziwnych wyjaśnień. Przedmiot był: prawdziwy filozof powinien być zawsze gotowym umierać za prawdę. Nigdy nie słyszałem nic tak zimnego i suchego (spodziewam się, że nie zgrzeszę tym wyznaniem), jak wypracowania odczytywane przez moich towarzyszy. Nie było to winą tych biednych chłopców! Jakąż oni prawdę posiadają i skąd mogliby mieć powody do oddania życia za martwą i próżną relację swoją? Lecz dla chrześcijanina jakże rozkoszne myśli nasuwa sam z siebie taki przedmiot! Ja też czułem, że serce moje płonęło i wszystkie myśli moje jaśniały, gdym pisał, mając w pamięci nauki twoje i domowe przykłady. Syn męczennika nie mógł czuć i pisać inaczej. Lecz gdy przyszła na mnie kolej czytania, spostrzegłem, że gorące uczucia prawie mnie zdradziły. W zapale wyleciało mi słowo „chrześcijanin” zamiast „filozof” i słowo „wiera” zamiast „prawda”. Za pierwszą pomyłką widziałem, że Kassjanus zadrżał; za drugą łza zabłysła mu w oku, gdy chyląc się z miłością ku mnie, szepnął: — Bądź ostrożny, moje dziecko, słuchając cię uszy zdradliwe.

— Jako — przerwała matka — Kassjanus jest chrześcijaninem? Obrąłem szkołę jego dla ciebie, bo zażywała najlepszej sławy pod wzglę-

dem nauk i moralności: a teraz Bogu dziękuję, że mnie tak natchnął. Lecz w dniach niebezpieczeństwa i ucisku zmuszeni jesteśmy żyć jak obcy we własnym kraju, zaledwie znamy z twarzy braci naszych. Bez wątpienia gdyby Kassjanus wyznał głośno wiarę swą, szkoła wkrótce zamkniętaby została. Lecz mów dalej, drogi synu. Czy te obawy Kassjana były bezzasadne?

— Sądzę, że nie; bo gdy prawie wszyscy moi towarzysze, nie spostrzegłszy mojej pomyłki, żywo poklaskiwali żarliwej mowie, widziałem ściągnięte brwi i ciemne oczy Korwinusa wlepione we mnie, a usta jego zaciśnięte z gniewem.

— Któż on jest, moje dziecko, ten, który był zagniewany i dlaczego?

— On jest najstarszy i najsilniejszy, lecz niestety, najgłupszy z uczniów naszej szkoły. Ale to nie jest jego wina. Tylko nie wiem, dlaczego zdaje się mieć ku mnie jakąś niechęć, a przyczyny zawiści tej nie mogę pojąć.

— Czy ci to dał poznać słowem lub czynem?

— Tak jest, matko: i to było przyczyną spóźnienia się mego. Bo gdyśmy wyszli ze szkoły, udając się na pole przez rzekę, przemówił do mnie w sposób obelżywy w przytomności współuczniów.

— Chodź, Pankracjuszu — powiedział — podobno to ostatni raz spotykamy się tutaj (z przyciskiem wymówił te ostatnie słowa), a ja oddawna mam dług u ciebie, z którego mi się musisz wypłacić. Miałeś upodobanie w okazywaniu w szkole wyższości nade mną i innymi starszymi i lepszymi od ciebie; widziałem dumne twoje wejrzenie, zwrócone ku mnie podczas

twojej napuszonej dzisiejszej mowy; i nawet usłyszałem wyrazy, których ci może przyjdzie pożałować, i to wkrótce, bo mój ojciec jest, jak wiesz dobrze, prefektem miasta (matka zadrżała), i coś się gotuje, co cię wkrótce i z bliska obchodzić będzie. Zanim nas opuścisz, muszę mieć odwet. Jeśliś godny swego imienia¹⁾, i jeśli to nie jest próżnym słowem, spróbujmy się w walce godniejszej, a nie jak dotąd przy tablicy i rylcu²⁾. Mocuj się ze mną, lub spróbuj cestu, lub jakiej chcesz broni przeciw mnie³⁾. Pałam żądzą upokorzenia cię tak, jak zasługujesz, przed świadkami zuchwałych twoich tryumfów.

Sluchając z natężoną uwagą, zatrwożona matka ledwo oddychała.

— A więc cożes odpowiedział, drogi synu?

— Odpowiedziałem mu uprzejmie, że się zupełnie myli, że nigdy dobrowolnie nic takiego nie czynił, co by mogło jemu, lub innemu ze współtowarzyszów przykrość sprawić, i również nigdy nie miałem na myśli wynosić się nad nich. — A co do tego, co ode mnie w końcu żadasz — dodałem — wiesz, Korwinie — że nigdy nie chciałem brać udziału w zapasach, które zaczynają się od chłodnego próbowania siły zręczności, a kończą na gniewnej walce i zapalają żądzę zemsty. O! ileż więcej czuję wstrętu do tych ćwiczeń, w chwili gdy cię widzę już teraz miotanym złymi namiętnościami

¹⁾ *Pancratium*, ćwiczenie, w którym były połączone wszystkie rodzaje mocowania się, czy to na pięści, czy całym ciałem.

²⁾ Pisano w szkołach rylcem na tablicy, powleczonej woskiem.

³⁾ *Caestus*, rękawica okuta, używana w pugilacie czyli walce na pięści.

które są zwykle nieszczęśliwym końcem podobnej walki! — Towarzysze szkolni otoczyli nas w tej chwili, i wyraźnie poznałem, że wszyscy byli przeciw mnie; spodziewali się bowiem użyć rozkoszy, jakiej doznają w swych okrutnych zabawach; dodałem więc wesoło:—A teraz żegnam was, moi towarzysze! Bądźcie szczęśliwi, rozstają się z wami tak, jak z wami żyłem, w zgodzie.

— Nie, nie!—krzyknął Korwin, z rozognioną twarzą; (i tu oblicze chłopca zapłonęło, głos zadrżał i wśród łkania dodał): Nie mogę dalej opowiadać, nie śmiem reszty mówić!

— Zaklinam cię na pamięć ojca, która ci tak droga — rzekła matka, kładąc rękę na głowie syna—nie ukrywaj nic przede mną. Nigdy nie będę spokojną, jeśli mi wszystkiego nie powiesz. Cóż dalej mówił lub czynił Korwin?

Chłopiec ostygłszy z uniesienia, po chwilowym milczeniu i wewnętrznym skupieniu, tak dalej mówił:

— Nie—zawołał Korwin — nie wymkniesz nam się, tchórzliwy czcicielu ośle głowy¹⁾; zataiłeś przed nami mieszkanie swoje, lecz my cię potrafimy odkryć; tymczasem noś ten zadatek zemsty, która cię nie minie.—To mówiąc, uderzył mię tak silnie w twarz, żem się zachwiał na nogach, a otaczający chłopcy wydali krzyk dzikiej radości.

Rozplakał się Pankracjusz i dopiero po dłuższej chwili mówił dalej:

— Och! jakże krew wrzała we mnie w tej chwili, jakże serce biło! A głos jakiś szeptał do ucha „tchórz”. Nie był to duch dobry! Uczułem się dość silnym, a powstający gniew

dodawał mi siły, by pochwycić niesprawiedliwego napastnika za szyję i rzucić go o ziemię. Słyszałem już poklaski, głoszące moje zwycięstwo, i widziałem towarzyszków przechodzących na moją stronę. Była to najtrudniejsza walka w życiu moim; nigdy krew i ciało tak silnie we mnie nie przemawiały. O Boże! nie dopuść już nigdy podobnej na mnie pokusy!

— I cóż uczynił, synu mój drogi?—zapytała drżąca matrona.

Syn odpowiedział:

— Anioł stróż pokonał we mnie złego ducha. Pomyślałem o Panu naszym w domu Kajfasza, jak był otoczony szydzącymi nieprzyjaciółmi i zelżony policzkami, a przecież łagodnie przebaczał. Mogłemże nie starać się naśladować Pana? Podałem rękę Korwinowi i rzekłem:—Niechaj ci Bóg przebaczy tak, jak ja ci przebaczam, to jest zupełnie i serdecznie, i niechaj błogosławieństwo Boże będzie z tobą.

Kassjanus nadszedł w tej chwili i natychmiast młodzież rozpierzchła się. Zakląłem go na św. wiarę, teraz między nami otwarcie wyznawaną, aby nie karał Korwina za to, co się stało, i otrzymałem obietnicę. A teraz, matko—mówił chłopiec, tuląc się do niej—czyliż nie przyznasz, że mogę ten dzień szczęśliwym nazwać?

ROZDZIAŁ III.

Ofiarowanie.

Wśród tej rozmowy, nieznacznie weszła kobieta sędziwa i zaświeciwszy lampy w marmurowych i brązowych świecznikach, wolno i z cicha oddaliła się. Jasność opromieniała

¹⁾ Tak mówiono o chrześcijanach.

matkę i syna w rzewnym milczeniu zatopionych, od chwili gdy na ostatnie zapytanie Pankracjusza święta matrona Lucyna odpowiedziała, składając pocałunek na gorącym czole syna. Rzewność ta nie była jedynie macierzyńskim uczuciem, nie był to nawet rozkoszny tryumf matki, która przelawszy w serce dziecka trudną i wzniosłą naukę, widzi tę naukę wystawioną w dziecięciu na najtwardszą próbę i cieszy się zwycięstwem. Nie była to chluba z posiadania syna bohaterskiej cnoty już w tak młodych latach; chociaż było wznioślejszym uczuciem od owej matki Grakchów, przedstawiającej swe klejnoty zdziwionym Rzymiankom, bo ta chrześcijańska niewiasta mogła chlubić się klejnotem, którym Kościół wzbogaciła. W tej chwili też głębsza i wyższa myśl panowała w sercu Lucyny. Była to chwila od lat wielu upragniona, chwila ubłagana najgorętszymi serca matczynego modłami. Niejedni pobożni rodzice od kolebki poświęcili ukochanego syna najświętszemu i najwyższemu powołaniu na tym świecie i nieustannie modlili się i pragnęli, by wzrastał naprzód na nieskazzonego lewite, a później na świętego kapłana, i pilnie śledzili młodociane skłonności a łagodnie skłaniali drogą latorośl ku świętym ołtarzom Najwyższego. A jeśli synek ten jest jedynym dzieckiem, jak Samuel, jedynak Anny, to oddanie Bogu wszystkiego, co sercu matki najdroższe, słusznie może być uważane za bohaterski czyn. Ale cóż powiedzieć o świętych matkach dzieci męczenników, o Felicytach, Symforozach, o bezimiennej matce Machabeuszów, które poświęcały dzieci swe—nie tylko jedno ale i więcej, wszystkie nawet, — nie na kapłanów Bożych, lecz na ofiarę i całopalenie?

Coś podobnego nappełniało myśl Lucyny w tej chwili, gdy z zamkniętymi oczyma wznosiła serce wysoko ku niebu i o siłę błagała. Uczuła się jakby powołaną do oddania wszystkiego, co jej najdroższe na tej ziemi; a chociaż od dawna przewidywała i pragnęła uczynić z tego Bogu ofiarę, wszakże bez boleści, matkom właściwej, nie mogła uzyskać jej zasługi.

A co się działo w sercu chłopca, także milczącego i zamyślonego? Nie myślał o świetnej przyszłości. Nie widział wspaniałej bazyliki, 1600 lat później z uszanowaniem zwiedzanej przez archeologów chrześcijańskich lub pobożnego pielgrzyma, ani bramy noszącej imię świętego chłopca¹⁾. Nie przeczuwał, że w przyszłych wiekach wzniosą na dalekich brzegach Tamizy świątynię, jemu poświęconą, która nawet po świętokradzkim spustoszeniu miała być ulubionym miejscem ostatniego spoczynku dla katolików wiernych Rzymowi²⁾.

Nie widział srebrnego cyborium, ważącego 287 funtów, ustawionego nad porfirową urną, w której złożone zostały jego popioły przez papieża Honoriusza I. Nie myślał, że imię jego będzie zapisane w każdym Martyrologium; że wizerunki, obrączki, świętości powszechnie czczone, przypominające błogosławionego męczennika z pierwszych czasów Kościoła, nie jeden ołtarz zdobić będą. Nie, on był tylko niewinnym chrześcijańskim dziecięciem, mającym za rzecz prostą być zawsze posłusznym prawu Bożemu i Ewangelii; i czuł się szczęśli-

1) Kościół i brama św. Pankracjusza w Rzymie.

2) Dawny kościół św. Pankracjusza w Londynie, gdzie się katolicy grzebać kazali, póki nie mieli własnych cmentarzy.



wym, bo spełnił tego dnia powinność swoją, chociaż nader trudną. Nie było dumy, nie było podziwu dla siebie samego w tym uczuciu; w przeciwnym razie zwycięstwo przestałoby być bohaterstwem. Gdy podniósł oczy po słodkim i niewinnym zamysleniu, w świetle, które teraz cały pokój zalewało, spotkał oblicze matki ku sobie zwrócone i jaśniejące taką powagą i miłością, jakiej nie pamiętał, aby kiedy widział. Wejrzenie natchnione, oblicze pełne uroku jak twarze świętych w zachwyceniu; oczy takie, jak sobie u aniołów wystawiamy. W milczeniu więc i prawie mimowolnie uklęknął przed matką i słusznie: bo nie byłaż ona duchem opiekuńczym, broniącym ustawicznie od wszelkiego złego? Czyliż nie widział w niej żyjącej niebianki, której cnoty były mu ciągłym i jedynym wzorem? Lucyna przerwała milczenie głosem zmienionym i poważnym:

— Przyszedł nareszcie ten czas, moje dziecko, który od dawna był przedmiotem najusilniejszych modłów moich, życzeń najgorętszej miłości macierzyńskiej. Pilnie upatrywałam w tobie zarodków chrześcijańskiej cnoty i dziękowałam za nie Bogu. Widziałam powolność, uprzejmość, pracowitość twoją, pobożność i miłość Boga i ludzi. Widziałam z radością twą żywą wiarę; obojętność dla świata, a czułość dla biednych. Lecz z niespokojnością wyglądałam chwili, któraby mi stanowczo okazała, czy przestaniesz na słabej cnocie twej matki, czy też będziesz prawdziwym spadkobiercą chwały ojca męczennika. Ta chwila, dzięki Bogu, dzisiaj nadeszła!

— Cóżem uczynił, matko, coby tak zmieniło lub podniosło twe mniemanie o mnie? — zapytał Pankracjusz.

— Posłuchaj, synu: w tym dniu, który miał zakończyć twe szkolne wychowanie, zdaje się, że miłościwy Pan chciał ci dać naukę, przewyższającą wszystkie szkolne nauki, i pokazać, żeś przestał być dzieckiem i nie powinieś za dziecko być uważanym, gdyż jesteś zdolnym myśleć, mówić i działać, jak mężny sługa Boży.

— Cóż przez to rozumiesz, droga matko?

— To, coś mi opowiadał o mowie swej dziejszej — odrzekła — dowodzi, jak pełne musiało być serce twoje szlachetnych i wzniosłych myśli; jesteś zbyt szczery i uczciwy, abyś mógł z zapalem utrzymywać, że umierać za wiarę jest chwalebny obowiązek. Gdybyś takiej nie miał wiary i odwagi...

— Wprawdzie tak wierzę i czuję — przerwał chłopiec — bo jakież większe może być szczęście dla chrześcijanina na tej ziemi?

— Tak, moje dziecko, prawdę mówisz — rzekła Lucyna — lecz słowa to nie wszystko; co dalej nastąpiło, dowodzi, że umiesz odważnie i cierpliwie znosić nie tylko ból, lecz, co trudniejsza dla młodej patrycjuszowskiej krwi obelgę, hańbiący policzek, szydercze spojrzenie i potwarze neliatościwych towarzyszy. I co więcej: pokazałeś się dość silnym, aby przebaczyć i modlić się za nieprzyjaciela. Dziś z krzyżem na barkach wstałeś na wzniosłą ścieżkę, a jeszcze parę kroków wyżej, i zatkniesz krzyż na szczycie. Pokazałeś się godnym synem męczennika Kwintyniusza. Czy pragniesz pójść dalej jego śladem?

— Matko, najdroższa, najśladźniejsza matko! — przerwał prawie bez tchu chłopiec — mógłbym być jego synem, a nie pragnąć stać się mu podobnym? Chociaż nie miałem szczęścia znać ojca, czyliż pamięć jego nie panowała w mym

sercu? Czyż nie była chlubą mego życia? Gdy co rok Kościół obchodzi uroczyste pamięć Kwintyniusza, jako jednego ze świętych, bo krwią obmytych żołnierzy, stojących w bieli naokoło Baranka, jakże dusza moja i serce moje rozpyływają się w jego chwale! I jak się modliłem do niego w synowskiej miłości, aby uprosił dla mnie nie sławę, nie zaszczyty, nie bogactwa, nie ziemskie uciechy, lecz to, co on sam nad wszystko przekładał, tak, aby jedyne jego dziedzictwo, które na ziemi pozostawił, mogło być użyte w sposób jak najlepszy i najpożyteczniejszy.

— Co przez to rozumiesz, mój synu?

— Krew jego — odrzekł młodzian — która w moich żyłach płynie, i już tylko w moich. Zapewne pragnie on, aby i ta krew równie jak i owa, która we własnych żyłach jego płynęła, mogła być wylaną dla miłości Zbawiciela, i aby świadczyła o wierze jego świętej.

— Dostyc, dostyc, moje dziecko! — zawołała matka, drżąca od świętego wzruszenia — zdejść z szyi tę oznakę dzieciennego wieku, inną godniejszą przeznaczam ci.

Pankracjusz zdjął ze szyi złotą bułłę.

— Odziedziczyłeś po ojcu — mówiła matka z większą jeszcze uroczystością — szlachetne nazwisko, wysokie stanowisko w świecie, bogactwa nie małe, jednym słowem, wszystkie dobra tego świata. Lecz jest prócz tego skarb jeden z tej spuścizny, przezemnie przechowywany aż do chwili, w którejbyś się go okazał godnym. Ten skarb, droższy nad wszystkie klejnoty i złoto, ukrywałam dotąd przed tobą; nadeszła teraz chwila, przeze mnie wyglądana.

Drżącymi rękami zdjęła z szyi złoty łańcuch, i po raz pierwszy ujrzał jej syn mały wo-

reczek, bogato wyszywany i kamieniami wysadzany. Lucyna otworzyła woreczek i wyjęła z niego gąbkę suchą wprawdzie, lecz widoczną nie krwi pełną.

— To także krew twego ojca, Pankracjuszu — rzekła stłumionym głosem i ze łzami w oczach — zebrałam ją sama z śmiertelnej rany, gdy przebrana stałam przy jego boku i widziałam umierającego z ran za wiarę Chrystusową.

Czule oglądała świętą pamiątkę i gorąco całowała a łzy strumieniem z oczu płynące zwilżały zakrzepłą krew męża. I tak rozgrzana i odwilżona krew zajaśniała purpurą, jakby w tej chwili płynęła z rąk męczennika. Pobożna matrona zbliżyła gąbkę do drżących ust syna, które się ubarwiły świętą purpurą. Pankracjusz uczcił relikwię z najgłębszym wzruszeniem chrześcijanina i syna, i uczuł jakby duch ojca wstępował w niego i poruszał w głębi serca wezbrane fale wypłynąć gotowe. Ojciec, matka i syn zjednoczyli się w tej chwili na nowo. Lucyna schowała skarb do woreczka i zawiesiła na piersiach syna, mówiąc:

— Niech na przyszłość świętszą rosą zwilżony będzie, nie zaś łzami słabej kobiety!

Lecz Bóg inaczej zrządził; i przyszły żołnierz był namaszczoney, i przyszły męczennik był uświęcony krwią ojca, zmieszaną ze łzami matki.

ROZDZIAŁ IV.

Dom pogański.

W dolinie między Kwirynałem i Eskwilinem, był dom Fabiusza, człowieka stanu rycerskiego, którego rodzina, dzierżawiąc podatki prowincji azjatyckich, niezmiernie nagromadziła bogactwa. Oprócz różnych skarbów europejskiej sztuki, wszędzie najrzadsze wyroby wschodnie: dywany perskie przykrywały posadzkę, jedwabie z Chin, różnobarwne materie babilońskie i złote hafty i z Indji i Frigii na meblach, a rzadkie wyroby ze słoniowej kości i metalów, przypisywane mieszkańcom wysp na oceanie Indyjskim, bajecznego pochodzenia i potwornego kształtu, porozrzucone były jakby od niechcenia. Sam Fabiusz, posiadacz tych skarbów i bogactw, był prawdziwym obrazem lekkomyślnego Rzymianina, którego głównym celem jest używanie wszystkich rokoszy życia. W istocie też nigdy o innym życiu nie marzył. Nie wierząc, a wszakże czcząc w stosownych okolicznościach stosowne bóstwo, uchodził za człowieka równie dobrego jak wielu innych, i nikt nie miał prawa więcej od niego wymagać. Większą część dnia przepędzał w jednej lub drugiej wielkiej łaźni, które oprócz właściwego przeznaczenia, zawierały w rozlicznych przyległościach swoich kluby, czytelnie i miejsca poświęcone zawodom gimnastycznym i grom. Tam używał kąpieli, rozmawiał, czytał, jednym słowem, czas sobie skracał. W tym celu udawał się także na Forum, aby usłyszeć jakiego mówcę lub adwokata, albo też szedł do którego z ogrodów publicznych, gdzie się eleganter świat przechadzał. Wracał do domu na

wykwintną wieczerzę trochę późniejszą od naszego obiadu, i tę spożywał w towarzystwie gości, naprzód zaproszonych, lub podczas dziennych przechadzek spotkanych i zamówionych z pośród wielkiej liczby pieczeniarzy, czyhających na podobną sposobność. U siebie był dobrym i ooblażającym panem. Na usługi miał wielką liczbę niewolników, a ponieważ nienawidził kłopotów, stąd gdy u niego wszystko było wygodne, piękne, a usługa dobra, spuszczał się chętnie na rządcę swego.

Wprost przeciwnych obyczajów od Fabiusza była inna osoba, dzieląca wytworny przepych i będąca jedyną spadkobierczynią wszystkich bogactw tego domu. Córka Fabiusza, stosownie do rzymskiego zwyczaju nosi imię ojca, złagodzone wszakże wdzięcznym zdrobnieniem Fabiola.

Podobnie, jak poprzednio, zaprowadzimy czytelnika wprost po marmurowych schodach z drugiego podwórca do pomieszkania Fabioli. Po obu stronach podwórca długi był szereg pokoi, do których wchód z tarasu ozdobionego wodotryskiem i mnóstwem z dalekich krajów sprowadzonych kwiatów. W tych pokojach nagromadzono co najrzadsze i najpiękniejsze wyroby rzymskie i obce. Zamiłowanie piękna, obok bogactwa i szczególnych osobliwości kierowało widocznie zebraniem i ułożeniem wszystkich sprzętów.

W tej chwili zbliża się godzina wieczerzy, a właścicielka tego wspaniałego mieszkania gotuje się do wystąpienia z odpowiednią okazałością.

Fabiola leży na łożu ateńskiej roboty, wykładanym srebrem, w pokoju o ośmiu ścianach, w którym zamiast okien szklane drzwi prze-

puszczają światło z kwiecistego ganku. Na ścianie przeciwległej łożu zawieszono jest zwierciadło z szlifowanego srebra, w którym odbija się postać całej osoby. Na porfirowym stole obok zwierciadła rozłożone mnóstwo pachnidła i kosmetyków, tak niezbędnych dla rzymskich pań, i na które płynęły niesłychane sumy¹⁾. Na drugim stole z indyjskiego drzewa sandałowego widzimy bogate klejnoty i różne świecidła w kosztownych szkatułach, przygotowane do wyboru dla przystrojenia się na wieczór.

Dwudziestoletnia Fabiola nie ustępowała powierzchownością w niczym innym paniom rzymskim — i wielu miała wielbicieli, starających się o jej rękę.

Pod względem rozumu i usposobienia, dziwnie niepodobną była do ojca. Dumna, wyniosła, rozkazująca i drażliwa, panowała jak udzielna monarchini nad wszystkimi, którzy ją otaczali, i od wszystkich domagała się kornego uszanowania. Jako jedynaczka, którą matka przy urodzeniu odumarła, chowana była w pieśczętach przez dobrodusznego i lekkomyślnego ojca. Otoczona najlepszymi nauczycielami i posiadająca rozmaite zdolności, żądała dogadzania najdziwniejszym zachceniom. Nie wiedziała Fabiola, co by znaczyło odmówić jakemukolwiek życzeniu. Używając wielkiej swobody, czytała dużo a szczególnie dzieła głębszych autorów. Tak więc stała się prawdziwą filozofką, zwolenniczką epikureizmu, który długo panował w Rzymie.

Wiarę chrześcijańską, której wcale nie znała, miała za coś bardzo podłego. Lekceważyła

¹⁾ Mleka 500 oślic używano dziennie na dostarczenie Poppei, żonie Nerona, pewnego kosmetyku.

nie nie dozwalało jej myśleć o zgłębieniu tej wiary. Bałwochwalstwem zaś a tym samym bożkami i bajkami o nich opowiadany, również pogardzała, chociaż powierzchownie. Do zwyczajów się stosowała. W istocie nie miała żadnej wiary w nieśmiertelność, a życie ziemskie chciała spędzić jak najrozkoszniej — lecz duma jej była tarczą dla cnoty; brzydziła się przewrotnością pogańskiej społeczności i gardziła lekkomyślną młodzieżą, której szaleństwa ją rozśmieszały. Uważaną była za osobę zimną i samolubną, lecz pod względem moralności była nieskażoną.

Zastaliśmy więc Fabiolę, spoczywającą na łożu, trzymającą w jednej ręce srebrne zwierciadło, a w drugiej broń, tak dziwnie nie licującą z piękną i wypieszczoną ręką. Jest to ostry sztylecik z rękojeścią, misternie wyrabianą z kości słoniowej i opatrzoną w złotą obrączkę do trzymania na palcu. Ulubiona ta broń rzymskich dam, używana do karcenia niewolników, nieraz w chwilach niecierpliwości stawała się narzędziem okrucieństwa. Trzy niewolnice otaczają w tej chwili Fabiolę. W różnych strefach urodzone, po wysokich cenach zakupione zostały nie tylko dla pięknej powierzchowności, lecz także z powodu szczególnych talentów, jakie każda z nich posiadała.

Jedna jest czarnej cery, lecz nie pochodzi ze szpetnego plemienia Murzynów; należy ona do jednej z tych ras, jak np. abisyńska i numidzka, której rysy są tak regularne, jak u ludów azjatyckich.

Ma ona posiadać głęboką znajomość ziół uzdrawiających, umie przyprowadzać kosmetyki, a podobno i nie same tylko niewinne przyprowadza pachnidła, ale także i czarodziej-

skie, a może nawet i zabójcze sporządzać umie płynny. Od nazwiska kraju, w którym urodzona, zwana jest Afra.

Druga niewolnica, Greczynka, kupiona ze względu na swą zręczność w strojach, nazywa się Graja. Imię trzeciej niewolnicy, Syra, wskazuje, że jest pochodzenia azjatyckiego; ceniona jest z powodu wielkiej biegłości i pilności w wykonywaniu najwykwintniejszych haftów. Syra jest cicha, spokojna, zupełnie obowiązkom swoim oddana. Tamte dwie gadatliwe, próżne, lubiące się chwalić z wykonania najmniejszych posług. Co chwila płaszcą się nadzwyczajniejszymi pochlebstwami przed młodą panią, lub usiłują popierać zabiegi jednego lub drugiego ze starających się o jej rękę, a tego najczęściej, który najlepiej płaci, lub dopiero co zapłacił.

— Jak szczęśliwą byłabym, najszlachetniejsza pani — rzekła czarna niewolnica — gdybym mogła być przytomną dziś wieczór, jak wejdiesz do *triclinium*¹⁾, i widzieć wrażenie, jakie sprawi na gościach to nowe czernidło! Wiele zadałam sobie pracy, zanim zdołałam tak doskonałe *stibium*²⁾ przyrządzić; pewna jestem, że nic podobnego nie było jeszcze w Rzymie.

— Co do mnie — przerwała przebiegła Greczynka — nie śmiałabym pragnąć tak wielkiego zaszczytu. Dostyc będzie dla mnie widzieć z po za uchylonych drzwi, jak prześlicznie będzie się wydawała ta cudna jedwabna tunika, sprowadzona z Azji w zamian za ostatnią przesyłkę złota. Nic nie zrówna jej pięk-

¹⁾ Jadalna sala.

²⁾ Którym malowano brwi i powieki. Był to preparat z antymonu.

ności; ale się też pochwalić mogę, że i robota tej sukni, podług mego własnego pomysłu, nie ustępuje w niczym materii.

— A ty, Syro — ozwała się pani z pogardliwym uśmiechem — czego byś pragnęła lub z czym się pochwalisz?

— Nie pragnę niczego, szlachetna pani, prócz twego szczęścia, a chwalić się nie mogę, bo czuję, że nic nad powinność nie uczyniła — i to było całą odpowiedzią pokornej i szczerzej niewolnicy.

Nie podobała się wszakże ta odpowiedź wyniosłej pani i rzekła:

— Mnie się zdaje, niewolnico, że ty niebardzo lubisz chwalić; radko przyjemne słowo z twych ust usłyszeć można.

— A jakąż wartość mogłyby mieć pochwały z ust moich? — odrzekła Syra — z ust ubogiej sługi dla szlachetnej pani, przyzwyczajonej słuchać cały dzień pięknych i wykwintnych słów? Przecież pani nie wierzy pochwałom z ust godniejszych; a gardzisz nimi, gdy od nas niewolnic, pochodzą.

Dwie niewolnice przeszły Syrę nienawistnym spojrzeniem; Fabiola także była rozdrażniona tym, co jej się wydało wyniosłością naganną w niewolnicy.

— Mamże cię jeszcze uczyć tego i przypominać ci — rzekła surowo — że jesteś moja, żeś była kupioną przeze mnie za wysoką cenę na to, abyś mi służyła według mego upodobania? Mam prawo do twego języka zarówno, jak i do rąk twoich. Jeśli mi się podoba być chwaloną, uwielbianą, opiewaną przez ciebie, musisz zadość uczynić mej woli, czy ci się to podoba lub nie. Nowa to myśl w istocie, aby sługa mogła mieć wolę swoją, a nie wolę

swojej pani, kiedy nawet życie niewolnicy jest własnością pani!

— Prawda—odrzekła Syra z pokorną powagą — moje życie należy do ciebie i wszystko to, co się z życiem kończy, czas, zdrowie i siły. Wszystko to kupiłaś za złoto swoje, i stało się twoim. Lecz zostaje mi inna własność, której nawet za cesarskie skarby kupić nie można, ani w pętą niewoli okuć, ani doczesnością ograniczyć.

— Proszę, co to jest?

— Dusza!

— Dusza? — zawołała zdziwiona Fabiola, która nigdy pierwiej nie słyszała, aby niewolnica rościć sobie śmiała prawo do podobnej własności. — Pozwól mi zapytać, co rozumiesz przez to słowo „dusza“?

— Nie umiem mówić językiem filozofów — odrzekła sługa — lecz mówię o tej wewnętrznej wiedzy, która mi daje czuć jestestwo moje i przeczuwać rzeczy lepsze nad te, co mnie otaczają, która nie pojmuje nicości, a wzdryga się na myśl o zniszczeniu ducha. Póki we mnie żyje ta dusza, a ona umrzeć nie może i kłamstwem się brzydzi, ja zawsze szczerą być muszę.

Dwie niewolnice mało co mogły zrozumieć z tej mowy; stały w niemym osłupieniu wobec zarozumiałości towarzyszek. Fabiola także była pomieszana, lecz rzekła niecierpliwie:

— Gdzieżeś się tego szaleństwa nauczyła? Kto cię nauczył bredzić w ten sposób? Co do mnie, przez długie lata rozmyślałam nad tym i przyszłam do pewności, że wszystkie myśli o duchowym jestestwie są marzeniami poetów lub sofistów, a zatem są niczym; a ty, nieuczona niewolnica, chcesz być mędrsza od twojej

pani? I marzysz sobie, że po śmierci, gdy ciało twoje rzucone pośród trupów innych sług, z pijaństwa lub pod batogiem pomarłych, na jednym ohydny stosie spłonie, a potem gdy popioły zmieszane razem i w wspólnym zakopane będą grobie, że ty żyć nie przestaniesz i wiedzieć o sobie w niepodległości i szczęściu?

— *Non omnis moriar*¹⁾, jak mówi jeden z waszych poetów — odpowiedziała skromnie niewolnica, ale z wejrzeniem pełnym ognia, które zadziwiło dumną Rzymiankę — spodziewam się, a raczej przekonana jestem, że przeżyję to wszystko. Co większa, wierzę i wiem, że poza tym cielesnym grobem, któryś pani tak dosadnie odmalowała, jest ręka, która zbierze każdą cząstkę rozproszanego ciała mego. I jest potęga, która wezwie cztery wiatry niebieskie, by oddały aż do ostatniego proszku, rozwiane popioły moje; a ja powstanę w tym samym ciecie, ale nie nato, abym była twoją lub czyjąkolwiek niewolnicą, lecz abym używała swobody i szczęścia, na wieki kochająca i kochana. Ta pewna nadzieja wyryta jest w głębi serca mego.

— Cóż to za dzikie przywidzenia wschodniej wyobraźni, które cię czynią niezdolną do wypełniania jakichkolwiek obowiązków? Postaram się o sprostowanie tych wyobrażeń. W jakiej to szkole, powiedz, nauczono cię tych niedorzeczności? Nigdy nie czytałam nic podobnego w żadnym greckim ani łacińskim autorze.

— W moim własnym kraju w szkole, gdzie nie znają ani przypuszczają żadnej różnicy po-

1) Nie cały umrę. Cytata z Horacjusza.

między Grekiem i barbarzyńcą, pomiędzy wolnym i niewolnikiem.

— Jakto?—zawołała do żywego rozdrażniona pani—nie czekając nawet tego przyszłego urojonego życia po śmierci, już teraz chcesz się równać ze mną? Albo, któż wie, może się nawet już poczuwasz do wyższości nade mną? Powiedz mi odrazu bez ogródki, czy tak jest czy nie?

Fabiola siadła na łożu w niecierpliwym oczekiwaniu. Za każdym słowem spokojnej odpowiedzi gniew pani się wzmacniał i gwałtowne namiętności miotają wzburzonym umysłem, gdy Syra mówiła:

— Szlachetna pani, daleko wyższą jesteś ode mnie pod względem położenia w świecie: władzy, nauki, rozumu i wszystkiego, co wzbogaca i zdobi życie, i pod względem piękności ciała i twarzy, uroku w mowie i ruchach. Wyższą jesteś nad wszelkie zazdrości i współubieganie; cóż dopiero nad obudzenie zazdrośnej myśli w istocie tak nędznej i mało znaczącej jak biedna Syra. Lecz kiedy każesz, winnam odpowiedzieć prawdę na twoje pytanie.

Tu zatrzymała się jakby obawą zdjęta, ale rozkazującym znakiem Fabioli zmuszona, mówiła dalej:

— Więc odwołuję się do twego własnego sądu, dlaczego biedna niewolnica, posiadając niezachwianą pewność, że ma w sobie duszę, stworzoną na podobieństwo samego Boga, duszę, której istotą jest nieśmiertelność, a ojczyzną niebo, czemużby ta niewolnica miała pośledniejsze zajmować miejsce między stworzeniami myślącymi, niż osoba, która jakkolwiek od natury uposażona, nie żąda wyższego przeznaczenia i żyje jak ten ładny a nierozumny śpiewak,

który się trzepocze wśród złożonych pretów tej klatki, bez nadziei otrzymania wolności.

Oczy Fabioli zaiskrzyły się; po raz pierwszy w życiu została upokorzona w swej dumie przez niewolnicę. Pochwyciwszy sztylet prawą ręką, wymierzyła go prawie na ślepo ku spokojnie stojącej niewolnicy. Syra instynktownie zasłoniła się ręką, w której sztylet, z łoża w górę ciśnięty, utkwiał głębiej i boleśniej, niż kiedykolwiek. Łzy jej stanęły w oczach z bólu, a z rany krew strumieniem trysnęła.

Fabiola zawstydziła się w pierwszej chwili okrutnego, choć nierozumnego czynu, i czuła się jeszcze bardziej upokorzona wobec swoich sług.

— Idź, idź — rzekła do Syry, która chustką tamowała krew—idź do Eufrozyny, aby ci ranę opatrzyła. Nie było moim zamiarem tak mocno cię skaleczyć. Ale poczekaj chwilkę, muszę ci to wynagrodzić.

— Weź ten pierścień i możesz tu już nie wracać dziś wieczór.

Sumienie Fabioli było zupełnie zaspokojone; kosztowny klejnot, dany niewolnicy, zdawał się jej sowitym wynagrodzeniem za krzywdę, jaką jej wyrządziła.

A w następną niedzielę w kościele św. Pasterza, niedaleko od domu Fabioli, pomiędzy jałmużnami dla ubogich zbieranymi, znaleziono kosztowny szmaragdowy pierścień, uważany przez bogobojnego kapłana Polikarpa za dar jakiejś bogatej rzymskiej damy, lecz wszechwidyjący Pan, który niegdyś w Jerozolimie dostrzegł rzucony grosz wdowi, pobłogosławił i tu pierścieniowi, rzuconemu do skarbonki ręką skaleconą biednej niewolnicy.

ROZDZIAŁ V.

Odwiedziny.

Podczas ostatniej części rozmowy opisanej w poprzednim rozdziale i w chwili wypadku, który ją zakończył, zjawiała się w pokoju Fabioli osoba, którą, gdyby była wcześniej patrycjuszka dostrzegła, byłaby pewnie nie dopuściła się popełnionego czynu. Wewnętrzne pokoje w rzymskich domach były częściej zasuwane firankami u wschodu, aniżeli drzwiami zamykanymi; i z tego powodu łatwo było, szczególnie podczas rozmowy tak żywej, wejść niepostrzeżenie. Tak się też stało teraz; bo gdy Syra obróciła się, chcąc wyjść z pokoju, zmieszał ją prawie widok postaci jaśniejszej białością.

Była to panienka, albo raczej dziecko, mogące liczyć dwanaście do trzynastu lat, w sukience białej jak śnieg, bez żadnej ozdoby. W jej obliczu malowała się prostota dziecinna, połączona z rozsądkiem dojrzałego wieku. W jej oczach odbijała się nie tylko niewinność gołąbka ale często jaśniały one promieniem czystej i nieskończonej miłości, i jakby nieczule na otaczające przedmioty, zdały się spoczywać na jednym tylko drogim przedmiocie, niewidzialnym dla innych oczu; czoło jej zapowiadało nieudaną szczerość; miły uśmiech igrał na ustach, a świeże młodociane rysy coraz to inne uczucie wyrażały z prostotą prawdzie właściwą. Ci, którzy ją znali z bliska, widzieli, że nigdy o sobie nie myśląc, czarowała dobrocią i uprzejmością wszystkich otaczających, a miłość swoją poświęcała niewidzialnemu oblubieńcowi.

Gdy Syra ujrzała to śliczne zjawienie, tego aniołka, stojącego przed sobą, zatrzymała się.

Dziecko uchwyciło jej rękę i z uszanowaniem całując, rzekło:

— Widziałam wszystko, czekaj na mnie w małym pokoju przy wejściu.

I postąpiła dalej. Gdy ją Fabiola ujrzała, rumieniec wstydu wystąpił na jej licu; obawiała się, czy ta panienka nie była świadkiem wybuchu tak poniżającej namiętności: zimnym skinieniem ręki odpawiła niewolnice, a potem witała krewną (gdyż ona krewną jej była) serdeczną przyjaźnią. Fabioli dumne i wyniosłe usposobienie łagodziło się czasem w obcowaniu z rzadkimi a wybranymi osobami. Jedną z nich była stara mamka, wyzwolenica, nazwiskiem Eufrozyna, która się trudniła całym gospodarstwem domowym i która ślepo wierzyła, iż Fabiola jest najdoskonalszą, najmędrszą, najuczciwszą, najbardziej podziwiania godną. Drugim wyjątkiem była młoda krewna, którą kochała, z którą się zawsze najczulej obchodziła i której towarzystwo było jej zawsze miłe.

— Prawdziwa to łaska z twojej strony, droga Agnieszko—rzekła ułagodzona Fabiola—żeś tak prędko uczyniła zadość memu zaproszeniu. Lecz rzecz się tak ma: mój ojciec zaprosił na dzisiaj kilku nieznanym mi gości i pragnęłam mieć dla siebie kogoś z bliższych do rozmowy. Przyznam się, że jestem dość ciekawa jednego z tych gości. Jest to Fulwiusz, o którego powabach, zdolnościach i bogactwach tak wiele słyszałam, chociaż zdaje się, że nikt nie wie, kto on jest, skąd pochodzi, ani skąd się tu wziął.

— Moja droga Fabiolo—rzekła—Agnieszka—wiesz, że jestem szczęśliwą, kiedy cię mogę

odwiedzić, a moi kochani rodzice chętnie na to pozwalają; więc nie masz mi za co dziękować.

— I takeś przyszła, jak zwykle, — rzekła Fabiola — w zaniedbanym stroju, w śnieżnym ubraniu, bez żadnych klejnotów ani ozdób. Mnie się to tak wydaje, jak gdybyś zawsze gody odprawiała. Ale nieba! Cóż to jest? Czyś skaleczona? Czyś się nie spostrzegła, że masz na tunice dużą, czerwoną plamę, która wygląda jak krew. Pozwól, abym ci pożyczyla innej sukni.

— Nie, za nic w świecie, Fabiolo; to jest klejnot, jedyna ozdoba, w jaką się chcę ustroić dziś wieczór. To jest krew niewolnicy, lecz szlachetniejsza i droższa w moich oczach od krwi, którą płynie w twoich żyłach.

Naga prawda zabłysła przed oczami Fabioli. Agnieszka wszystko widziała, a Fabiola upokorzona aż do żywego, rzekła nieco cierpko:

— Chcesz całemu światu przedstawić dowód mojej popędliwości w ukaraniu zuchwałej niewolnicy?

— Nie, droga Fabiolo, daleko ode mnie podobna myśl. Pragnę tylko przechować dla siebie przykład siły i wzniosłości umysłu. Na podobny czyn, spełniony przez niewolnicę, może niewielu patrycjuszowskich filozofów mogłoby się zdobyć?

— Co za dziwna myśl! W istocie, Agnieszko, nieraz mi się już zdawało, że wiele masz względów dla ludzi tej klasy. Bo wreszcie, czymże oni są?

— Czym?—odpowie Agnieszka:—ludźmi tak, jak i my, obdarzonymi tym samym rozumem, tymi samymi uczuciami i tym samym organizmem. Na to przynajmniej się zgodzisz, nie

idąc dalej. A potem należą z nami do jednej rodziny; i jeśli Bóg, od którego pochodzi nasze życie, jest naszym Ojcem, jest więc także i ich Ojcem, a oni naszymi braćmi.

— Niewolnik moim bratem, lub niewolnica siostrą? Agnieszko! Niechaj tego bogi nie dopuszczą! Oni są naszą własnością i naszym majątkiem, i nie słyszałam nigdy, aby mieli prawo ruszać się, działać, myśleć i czuć inaczej, niż podług woli, lub dla korzyści swych panów.

— Dość, dość — rzekła Agnieszka najśłodszym głosem—nie zapuszczajmy się w te wody. Jesteś zbyt uczciwa, aby nie uczuć i nie uznać, żeś się dała przewyższyć niewolnicy we wszystkim tym, co najbardziej podziwiasz, to jest w rozumie i rozumowaniu, i śmiałej szczerości, a bohaterskiej stałości. Nie odpowiadaj nawet, bo widzę twą odpowiedź? w pełnym łez oku. Lecz najdroższa przyjaciółko, pragnę, byś nigdy więcej nie miała takiego zmartwienia. Czy obiecujesz zadosyć uczynić prośbie mojej?

— Uczynię, co tylko będę mogła.

— Więc pozwól mi odkupić Syrę; tak jej na imię, o ile mi się zdaje. Nie byłoby ci przyjemnie teraz widzieć ją blisko siebie.

— Mylisz się, Agnieszko. Chcę pokonać dumę i przyznać, że winnam teraz szanować, może podziwiać Syrę. Jest to nowe uczucie we mnie dla osoby jej stanu.

— Ale mnie się zdaje, Fabiolo, żebym ją mogła szczęśliwszą uczynić, aniżeli jest teraz.

— Bez wątpienia, droga Agnieszko; masz dar uszczęśliwiania wszystkich wkoło siebie. Nigdy nie widziała pożycia takiego, jak wasze. Zdajecie się postępować podług owej dziwnej filozofii, o której Syra mówiła, a która

nie przypuszcza różnicy pomiędzy wolnym a niewolnikiem. Każdy sługa w waszym domu ma zawsze uśmiech na ustach i spełnia wesoło powinność swego stanu. A nikt nie zdaje się u was nakazywać. Objaśnij mi tę tajemnicę. (Agnieszka się uśmiechnęła). Posądzam cię, czarodziejko mała, że w tym tajemniczym pokoju, zawsze zamkniętym dla mnie, przechowujesz jakieś cudowne przyprawy, którymi wzbudzasz ku sobie miłość we wszystkich i we wszystkim, co cię otacza. Gdybyś była chrześcijanką i gdyby cię w amfiteatrze wystawiono, pewna jestem, że same lwy i tygrysy czołgałyby się i łasiły u nóg twoich. Ale dlaczego się zamyśliłaś, dziecko? Wiesz, że ja tylko żartuję.

Agnieszka zdawała się być w myślach zatopioną i patrzyła tym wejrzeniem, jakby widziała przed sobą i słyszała mowę osoby szczególnie ukochanej. Minęło to wkrótce i rzekła wesoło:

— Prawda, prawda Fabiolo, a wierz mi, iż dziwniejsze rzeczy czasem się zdarzają; więc w każdym razie, gdyby coś tak strasznego miało przyjść do skutku, Syra byłaby właśnie osobą, jakąby każdy pragnął mieć przy sobie.

— Zmiłuj się, Agnieszko, nie bierz moich słów w taki sposób. Zapewniam cię, że były żartem powiedziane. Mam zbyt wysokie wyobrażenie o twoim rozsądku, aby przypuszczać takie nieszczęście. Lecz co do dobrego serca Syry, to się nie mylisz. Gdy przeszłego lata byliście na wsi, a ja tak niebezpiecznie chorowałam na zaraźliwą gorączkę, potrzeba było użyć chłosty, aby tamte niewolnice przymusić, iżby się do mnie zbliżyły, gdy tymczasem ta nie chciała odstąpić od mego łóża, pielęgnując mnie dzień i noc; i istotnie myślę, że się bardzo przyczyniła do mego wyzdrowienia.

— I nie pokochałaś jej za to?

— Kochać ją? niewolnicę? Czegoż ode mnie wymagasz, moje dziecko! Ale nie zapomniałam jej dobrze wynagrodzić; chociaż nie mogę się dowiedzieć, na jaki cel obróciła to, com jej dała. Jej towarzyszki powiedziały mi, że nic na własny użytek nie zachowała, a zapewne także dla siebie nie wydała. Słyszałam nawet, że ta dziwaczka dzieli swojeienne pożywienie z żebraczką, chorą na oczy. Co za dziwne upodobanie, nieprawdaż?

— Droga Fabiolo — zawołała Agnieszka — ona musi być moją! Obiecałaś wypełnić prośbę moją. Naznacz cenę i pozwól mi ją zabrać dziś wieczór.

— Niechże się stanie wola twoja, bo twej prośbie nikt się nie zdoła oprzeć. Ale my się targować nie będziemy. Przyślij jutro rano kogo z tym zleceniem do rządcy mego ojca i wszystko się ułoży. A teraz po załatwieniu tej wielkiej sprawy, zejdźmy do naszych gości.

— Ale zapomniałaś włożyć swoje kosztowności.

— Nie wspominaj mi o tym; chcę się raz bez nich obejść; nie mam dziś ochoty stroić się w klejnoty.

ROZDZIAŁ VI.

Uczta.

Młode panie zastały już wszystkich gości zgromadzonych w dolnej sali. Nie była to nadzwyczajna uczta, tylko zwykła wieczerza w bogatym domu, sporządzona i nagotowana dla wielu przyjaciół. Wszystko tam było wykwi-

ne, tak nakrycie do stołu, jak i potrawy. Gdy dwie damy weszły do *exedry*, czyli sali jadalnej, Fabiusz, powitawszy córkę, zawołał:

— Dłaczegóż, moja córko, zeszłaś tak późno i tak zwyczajnie ubrana! Zapomniałaś swoich zwykłych ozdób.

Fabiola, pomieszana, nie wiedziała, jaką dać odpowiedź: wstyd jej było słabości, jaką okazała w swym gniewnym uniesieniu, a jeszcze bardziej tego, co się jej zdawało w tej chwili śmiesznym sposobem ukazania się. Agnieszka przysła jej z pomocą i zarumieniona rzekła:

— Jam temu winna, Fabiuszu, że późno przysła i nie ustrojona. Zbałamucila ją rozmową, a zachowała skromny strój, aby się nie różnić ode mnie.

— Ty, droga Agnieszko — odrzekł ojciec — masz ten dar, że ci wszystko uchodzi. Ale szczerze powiedziawszy, muszę przyznać, że nawet dla ciebie było to stosowne, dopókiś była dzieckiem; teraz, w tym wieku, w którym panny są na wydaniu¹⁾, powinnabyś więcej dbać o siebie. Piękny naszyjnik na przykład, jakich masz wiele w domu, nie czyniłby ujmy wcale wdziękowi twojemu. Ale ty mnie nie słuchasz. Powiedziałbym prawie, że już masz kogoś na myśli.

Podczas większej części tej mowy Agnieszka zdawała się zatopioną w myślach tak, jak jej się to często zdarzało: oczy zaczarowane, jak mówiła Fabiola, utkwiała z uśmiechającym uniesieniem w niewidomym przedmiocie; lecz nie traciła ciągu rozmowy, nigdy nie powiedziała nic, co by nie było na swoim miejscu. Odpowiedziała więc odrazu Fabiuszowi:

¹⁾ Od lat dwunastu wstępowało się w te lata po długą prawą rzymskiego.

— Och, tak, zapewne, jestem poślubioną ślubnym pierścieniem oblubieńcowi, który mnie obsypał niezliczonymi darami.

— Doprawdy? — zapytał Fabiusz — jakimiż darami?

— Jakimi? — odrzekła Agnieszka z wejrzeniem gorącej miłości i głosem nieudanej prostoty — ozdobił ręce moje i szyję drogimi kamieniami, a bezcenne perły zawiesił u uszów.

Proszę! i któż to może być? Przyjdź, Agnieszko, kiedyindziej, a musisz mi powierzyć tę tajemnicę. Pierwsza to miłość twoja niezawodnie, bodajby długo trwała i uszczęśliwiła cię!

— Na wieki! — odpowiedziała, zwracając się ku Fabioli, która się właśnie zbliżyła.

Szczęśliwie się zdarzyło, że Fabiola nie słyszała tej rozmowy; byłaby się bardzo zmarzwiała, że Agnieszka zataiła przed tak wierną przyjaciółką ważną w jej oczach tajemnicę. Lecz gdy Agnieszka przemówiła w jej obronę, Fabiola oddaliła się była od ojca, a zajęła gośćmi. Jednym z tych gości był ciężki, otyły, rzymski sofista, czyli posiadacz wszelkiej nauki i wiadomości, zwany Kalpurniusz; drugi gość, Prokulus, smakosz światowy, gościł często w domu Fabiusza. Dwóch jeszcze gości zasługuje na bliższe opisanie.

Pierwszy, widocznie miły Fabioli i Agnieszce przełożony cesarskiej, czyli pretoriańskiej straży, trybun, chociaż nie liczył więcej nad trzydzieści lat, odznaczył się nieraz w walkach i największymi cieszył się łaskami cesarza Dioklecjana na wschodzie, a Maxymiana Herculiusza w Rzymie. Wielka była jego prostota w stroju i pięknej postawie; a chociaż bardzo rozmowny, widocznie gardził błahymi przedmiotami rozmów światowych. Jednym

słowem, był on obrazem szlachetnego młodzieńca, o pięknych przymiotach, silny i waleczny, bez dumy i próżności.

Dziwnie odbija się od tego opisu ostatni gość, już wspomniany przez Fabiolę, nowa osoba w tym towarzystwie, Fulwiusz. Młody, ubrany z największą starannością, z pierścieniami na każdym palcu i w szacie od złota i drogich kamieni błyszczącej, wymuszony w mowie, z której poznać cudzoziemca, i przesadny w grzeczności, w krótkim czasie zyskał wzięcie w najwyższych domach rzymskich. Winien to był po części temu, że go widziano na dworze cesarskim, a po części ujmującej powierzchowności. Przybył do Rzymu w towarzystwie podeszłego już w latach człowieka, widocznego bardzo doń przywiązanego; czy to był niewolnik, sługa lub przyjaciel — nikt nie wiedział.

Rozmawiali między sobą dziwnym, niezrozumiałym językiem, a ciemne rysy, przenikliwe, ogniste oczy i niemily wyraz twarzy służącego wzniewały do pewnego stopnia bojaźń w podwładnych; gdyż Fulwiusz, zajmwszy pomieszkanie w domu tak zwanym *insula*, to jest wynajmowanym częściowo, urządził się wspaniale i otoczył liczbą niewolników, dostateczną do obsłużenia nieżonatego jeszcze pana. Przesada raczej, jak rozsądne użycie pieniędzy, cechowała urządzenie domu Fulwiusza, wkrótce ustąpiła za wpływem niewątpliwych bogactw i uroku lekkomyślnej rozmowy. Lecz przenikliwe oko znawcy mogło dostrzec niespokojność latających źrenic, natężoną uwagę, a ostry słuch w podsłuchiowaniu każdego szelestu wkoło siebie zdradzały nienasyconą ciekawość. W chwilach zaś zapomnienia się ponure spojrzenie

błyszczącego oka z pod ściągniętych brwi i skrzywienie wierzchniej wargi wzbudzały nieufność i naprowadzały na myśl, że ta powierzchowność słodka pokrywa niebezpiecznego człowieka.

Goście wkrótce zajęli miejsca u stołu; a ponieważ panie siedziały, a mężczyźni spoczywali na łóżach w czasie obiadowania, Fabiola i Agnieszka były razem po jednej stronie, a dwaj młodzi ludzie, wyżej opisani, zajęli miejsce naprzeciwko dam; Fabiusz zaś i dwaj starsi przyjaciele zasiedli pośrodku — jeśli można użyć tego wyrażenia, opisując ich położenie około trzech stron okrągłego stołu, podczas gdy jedna strona pozostała niezajęta przez *sigma*¹⁾, czyli półkolne łóże, dla wygodniejszej usługi. Możemy dodać nawiasem, że obrus, wymyślony za czasów Horacego, wszedł teraz w powszechny użytek.

Gdy pierwszy głód zaspokoiono, rozmowa ożywiła się.

— Co słyhać dzisiaj w łaźniach? — zapytał Kalpurniusz — mnie nie starczy czasu samemu troszczyć się o takie drobnostki.

— Bardzo zajmujące nowiny — odrzekł Prokulus — zdaje się być prawie pewnym, że przyszedł rozkaz od boskiego Dioklecjana dokończenia termów²⁾ w przeciągu trzech lat.

— Nie może być! — zawołał Fabiusz — przypatrywałem się robotom niedawno, idąc do ogrodów Sallustiusza, i widziałem, że bardzo mało postąpiły od przeszłego roku. Jeszcze wielka część najcięższych robót, jak na przykład

¹⁾ Tak zwane od podobieństwa z literą C, dawnego kształtu sigmy.

²⁾ Łaźni.

ciosanie marmurów i kolumn, pozostaje do roboty.

— Prawda — przerwał Fulwiusz — ale ja wiem, że wszędzie rozesłano rozkaz stawienia tutaj wszystkich niewolników i skazanych do kopalń w Hiszpanii i Sardynii, nawet w Chersonesie, słowem, kogo tylko będzie można użyć do pracowania w termach. Parę tysięcy chrześcijan, przygnanych do tej pracy, wkrótceby jej podołało.

— A czemuż chrześcijanie prędkiej, niż inni winowajcy? — zapytała nieco ciekawie Fabiola.

— Doprawdy — rzekł Fulwiusz z ujmującym uśmiechem — nie potrafię powiedzieć przyczyny, ale tak się rzecz ma: założyłbym się, że pośród pięćdziesięciu użytych za karę, znalazłbym zaraz choćby jednego chrześcijanina.

— Doprawdy? — zawołali wszyscy naraz — dlaczego?

— Zwyczajni winowajcy — odpowiedział — nie lubią pracy i co chwila trzeba ich różgą napędzać; a gdy dozorca plecy odwróci, robota ustaje. Przytem są zwykle bez wychowania, bez wykształcenia, kłótlivi, niedołężni. Przeciwnie chrześcijanie, skazani do tych publicznych robót, zdają się szczęśliwi i zawsze wesoło słuchają. Widziałem w Azji młodych patrycjuszów, skazanych na podobne prace, których ręce nigdy wprzód nie podniosły siekiery, ani wattle krzyże nie dźwigały ciężarów, a teraz pracowali ciężko i tak się zdawali szczęśliwi, jakby byli w domu. Wszakże mimo to, dozorczy nie oszczędzają im różgi i kija, i to najsluszniej, bo jest wola boskich cesarzów, aby ich życie było jak najtwardsze i najcięższe; lecz oni nigdy się nie skarżą.

— Nie mogę powiedzieć, aby mi się podo-

bał ten rodzaj sprawiedliwości — rzekła Fabiola; — ale cóż to za dziwny rodzaj ludzi być musi! Bardzobym chciała wiedzieć, jaka jest pobudka lub przyczyna tej głupoty lub nie naturalnej nieczułości chrześcijan?

Prokulus odrzekł z żartobliwym uśmiechem:

— Kalpurniusz bezwątpienia potrafi nam to wyjaśnić, bo jest filozofem i umie rozprawiać godzinę o jakim bądź przedmiocie, począwszy od Alp aż do Antypodów.

Kalpurniusz, polectany w swej dumie tym zdaniem, poważnie się ozwał.

— Chrześcijanie — zaczął — należą do cudzoziemskiej sekty, której założyciel żył kilka wieków temu w Chaldei. Nauka jego przeniesioną była do Rzymu za czasów Wespazjana przez dwóch braci, zwanych Piotr i Paweł. Niektórzy utrzymują, że to ci sami bracia bliźnięta, zwani przez Żydów Mojżesz i Aron, z których młodszy kupił od brata prawo pierwszeństwa za kozłatko, którego skóra była mu potrzebną na rękawiczki.

Nie zaręczam za autentyczność tego, co zapisane w mistycznych księgach Żydów, że jeden z tych braci, widząc, że brata ofiary i ptaki dawały szczęśliwsze przepowiednie, niż jego własne, zabił go, jak nasz Romulus zabił Remusa, z tą różnicą, że użył do tego zabójstwa osłej szczęki; za co był powieszonym przez króla macedońskiego Mardocheusza na szubienicy na pięćdziesiąt łokci wysokiej, za oskarżeniem siostry Judyty. Gdy wszakże Piotr i Paweł przyszlizli, jak mówiłem, do Rzymu, Piotr został poznany jako zbiegły niewolnik Poncjusza Piłata i za rozkazem pana swojego ukrzyżowany na Janikulum. Ich zwolennicy, których mieli nie mało, przyjęli krzyż za symbol

i czczą go i uważają za największe szczęście cierpieć prześladowania, a nawet ponieść haniebną śmierć, jako najlepszy sposób naśladowania nauczycieli i jak się spodziewają, dostaną się przez to do jakiegoś miejsca w obłokach.

Tego światłego wykładu o początkach chrześcijaństwa słuchali wszyscy goście z podziwem, z wyjątkiem dwóch osób:

Młody żołnierz zwrócił się ku Agnieszce z wyrazem politowania, jakby zapytując:

— Czy mam głupcowi dać naukę, czy się śmiać tylko?

Agnieszka palec przyłożyła do ust i z błagalnym uśmiechem prosiła o milczenie.

— A więc wniosek z tego wszystkiego — odezwał się Prokulus — że termy wkrótce będą ukończone i że będziemy mieli uciech nie mało. Czy nie mówiono, Fulwiuszu, że boski Dioklecjan sam ma zjechać na otwarcie łaźni?

— Jest to prawie pewne; a wtenczas będą wspaniałe igrzyska publiczne i nadzwyczajne zabawy. Lecz nie potrzebujemy tak długo czekać; już z powodu innych okoliczności wysłano do Numidii rozkaz dostawienia do Rzymu wielkiej liczby lwów i tygrysów przed początkiem zimy.

I nagle zwracając się do sąsiada i mierząc go przenikliwym wzrokiem, dodał:

— Tak waleczny żołnierz jak ty, Sebastianie, musi mieć wielkie upodobanie w szlacheckich igrzyskach w amfiteatrze, szczególnie, jeżeli mają na celu wytępienie nieprzyjaciół najjaśniejszych cesarzów i rzeczypospolitej.

Żołnierz podniósł się na łożu i, obróciwszy ku sąsiadowi niewzruszone, poważne oblicze, odpowiedział spokojnie:

— Fulwiuszu, nie zasługiwałbym na pochwa-

łę, jaką mnie darzysz, gdybym mógł z przyjemnością i zimną krwią spoglądać na walkę, jeśli tak nazwać można walkę między zwierzem a bezbronnym dzieckiem lub kobietą, bo takie to są igrzyska, które nazywasz szlacheckimi. Chętnie podniosę oręż przeciw nieprzyjaciołom monarchów lub państw, lecz z równą ochotą podniósłbym na lwa lub tygrysa, rzucającego się, nawet z woli cesarskiej, na niewinnych i bezbronnych.

Fulwiusz chciał wstać, lecz Sebastian położywszy silną prawicę na ramieniu nikczemnika, tak dalej mówił:

— Posłuchaj mnie. Nie jestem ja pierwszym w Rzymie, ani najszlachećniejszym, któryby w ten sposób rzecz tę uważał. Przypomnij sobie słowa Cycerona: „Wspaniałe są te igrzyska, przyznać muszę; lecz jakaż może być przyjemność dla wykształconego umysłu widzieć słabego człowieka, rozszarpanego przez straszliwą bestię, albo pięknego zwierza przeżytego”. Nie wstydzę się być tego samego zdania, co największy z rzymskich mówców.

— A więc nie zobaczymy się nigdy w amfiteatrze, Sebastianie? — zapytał Fulwiusz z grzecznym, ale szyderczym tonem.

— Jeśli mnie tam zobaczysz — odrzekł żołnierz — to chyba pośród bezbronnych, a nie pomiędzy ludźmi okrutniejszymi od pożerających bestii.

— Sebastian ma słuszość — zawołała Fabiola, klaskając w ręce — a teraz, panowie, zamykam rozprawę tym poklaskiem. Nigdy nie słyszałam Sebastiana mówiącego inaczej, jak z natchnienia i ze wzniosłego umysłu i serca.

Fulwiusz zagryzł wargi w milczeniu i wszyscy wstali od stołu.

ROZDZIAŁ VII.

Bogata i biedna.

Podczas ostatniej części powyższej rozmowy Fabiusz był prawie zupełnie zatopiony w myślach, dumając nad skrytością Agnieszki. Jakże ona głęboką tajemnicę zachowała! Lecz kto może być tym szczęśliwym panem jej serca? Myślał o wielu, a co do żadnego nie mógł być pewnym. Podarowanie kosztownych klejnotów najbardziej go w kłopot wprowadzało. Nie wiedział o żadnym młodym Rzymianinie, któryby takie niezwykle klejnoty posiadał, a zwiedzając codziennie najbardziej uczęszczane sklepy, byłby słyszał o zamówieniu niezwykajnym. Nagle wpadł na trafny domysł, że Fulwiusz, który codziennie odkrywał się nowymi jubilerskimi wyrobami, z dala przywiezionymi, jest jedyną osobą, która mogła być w stanie obsypywania Agnieszki takimi darami. Dalej zauważył spojrzenia pięknego cudzoziemca, ukradkiem zwracane ku ślicznej panience, i upewniał się coraz bardziej w tym mniemaniu, że Fulwiusz w Anieszce gorąco rozmiłowany. Raz przypuściwszy trafność domysłu swego, postanowił popierać życzenia obojga młodych ludzi, a Fabiołę zadziwić wkrótce swoją przenikliwością.

* * *

Gdy Syra zboczona krwią pokazała się Eufrozynie, dobrodusznna mamka przeleżała się widoku bolesnej rany i głos pożałowania wyrwał się z jej piersi. Lecz dowiedziawszy się, kto zadał tę ranę, serce przywiązanej służy ważyć się poczęło między wprost przeciwnymi uczuciami.

— Biedna dziewczyno — rzekła, najprzód myjąc, a potem obwiązując ranę:—straszne to cięcie! Czemżeś na taką karę zasłużyła? Jak cię musiało boleć, biedna Syro! Lecz jakże złą musiałaś być, aby na siebie ściągnąć podobny eios! Okrutna rana, a przecie zadana przez najłagodniejszą i najlepszą panią. Musisz być osłabiona utratą krwi? Wypij ten kordiał, aby się pokrzepić. Bez wątpienia zmuszoną była sprawiedliwa nasza pani ukarać cię w ten sposób.

— Tak jest — odrzekła Syra — to moja zupełnie wina; nie powinnam była sprzeczać się z panią moją.

— Sprzeczać się! sprzeczać! O bogi! Słyszałeś kto, aby niewolnica z panią swoją się sprzeczała, i to z panią tak uczoną! Wszakże Kalpurniusz sam nie śmiałby się z nią sprzeczać. Nie dziw w istocie, że była tak podniecona, iż cię skaleczyła. Lecz trzeba to zataić; nie trzeba, aby wiadomo, żeś się tak źle sprawiła. Czy nie masz ładnej szarfy lub chustki, którąbyśmy mogli zarzucić na rękę od niechcenia, aby pokryć wszystko? Twoje towarzyski mają dużo takich szarf darowanych lub kupionych; lecz ty nie zdajesz się dbać o te ładne rzeczy. Poszukajmy.

I poszła do sypialni niewolnic, która była obok jej własnego pokoju, otworzyła skrzynkę Syry i przerzuciwszy nieliczne manatki, wyciągnęła ze spodu kwadratową chustkę z najbogatszej materii, ślicznie haftowaną i nawet perłami wyszywaną.

Syra zarumieniła się mocno i prosiła, aby ją nie zmuszano do noszenia tak niestosownego stroju, szczególnie, że to pamiątka lepszych czasów, starannie od dawną przechowywana.

Lecz Eufrozyna, chcąc ukryć winę swej pani, była nieubłagana, i bogatą chustkę zgrabnie zarzuciła na ranną rękę Syry.

Po skończonym opatrunku Syra udała się do małego pokoiku naprzeciwko mieszkania odźwiernego, gdzie starsze niewolnice mogły się widywać z przyjaciółmi. Trzymała w ręku koszyk obrusem nakryty. Gdy tylko stanęła we drzwiach, wesołe kroki dały się słyszeć w pokoju. Była to dziewczyna szesnasto lub siedemnastoletnia, w ubraniu ubogim, ale czystym i porządnym. Wybiegła naprzeciwko Syry i zarzuciła obie ręce na szyję z tak wesołą twarzą i serdeczną czułością, że przypatrując się temu spotkaniu, trudnoby się domyślić, że oczy tej dziewczyny nigdy otaczającego świata nie widziały.

— Siadaj, droga Cecylia — rzekła Syra wdzięcznym głosem, prowadząc ją do krzesła — dzisiaj przynoszę ci niezwykłą wieczerzę; uraczysz się wspaniale.

— Codzień jestem uraczoną przez ciebie.

— Nie codzień, lecz dzisiaj pani moja łaskawie przysłała mi delikatną potrawę ze swego stołu i przyniosłam ją tu dla ciebie.

— Jeżeli to nazywasz dobrocią z jej strony, to o ileż jest większą z twojej, siostrze! Ale czemuż ma być dla mnie ta potrawa, kiedy była tobie przeznaczoną?

— Dlatego, że większa dla mnie przyjemność uraczyć cię, czym mogę, aniżeli samej używać łakoci.

— Nie, droga Syro, nie; tak być nie może. Bóg chciał, abym była ubogą, i ja muszę woleć Jego spełniać. Nie wolno mi pożywać potraw wykwinnych, ani nosić sukien bogatych, dopóki mieć mogę ubogie pożywienie i odzież.

Lubię dzielić z tobą twoje *pulmentum* (zupa), które mi jest dane z miłosierdzia i przez istotę równie ubogą, jak i ja sama. Masz w mojej osobie zasługę dobrego uczynku; a dla mnie ta zostaje pociecha, że jestem tak, jak dawniej, biednym, ślepym, Bożym stworzeniem. Zdaje mi się, że mię taką więcej Bóg kocha, niż gdybym się żywiła wykwinnym jadłem. Wolałabym pod drzwiami klęczeć z Łazarzem, niż siedzieć u stołu z bogaczem.

— O ileż lepszą i rozsądniejszą jesteś ode mnie, kochane dziecko! Niechże tak będzie, jak ty chcesz. Zaniósę potrawę towarzyszkom moim, a stawiam tu przed tobą zwykłe skromne pożywienie.

— Dzięki ci, dzięki, droga siostrze; poczekam na ciebie.

Syra udała się do pokoju niewolnic i postawiła przed zazdrosnymi i łakomymi towarzyszkami srebrną misę. Ponieważ pani dawała im czasem ten dowód łaskawości, nie zdziwiły się i tym razem. Lecz biedna sługa wstydziła się przed towarzyszkami bogatej chustki, na rękę zarzuconej, zdjęła ją więc przed wejściem do pokoju, a potem, nie chcąc się sprzeciwiać Eufrozynie, włożyła ją jak mogła najlepiej jedną ręką. Syra była już na dolnym podwórzu, wracając do ślepej przyjaciółki, gdy zobaczyła jednego z dostojnych gości domu, zmierzającego ku drzwiom z niezadowolonym obliczem, schowała się więc za kolumnę, aby uniknąć często się zdarzających grubiańskich zaczepk. Był to Fulwiusz; na ten widok serce jej zaczęło bić gwałtownie, dreszcz przebiegł po całym ciele, a pot wystąpił na czoło. Oczy, szoroko otwarte, zdawały się ulegać oczarowaniu, jak ptak pod wejrze-

niem węża. Podniosła nareszcie rękę do czoła i przeżegnawszy się znakiem krzyża, wyrwała się z pod czaru. Uciekła natychmiast niespostrzeżona i zaledwie dostała się bez szmeru za firankę, zasłaniającą schody, gdy Fulwiusz ze spuszczonej oczyma doszedł do miejsca, w którym ona pierwiej stała. Odskoczył w tył, jakby przerażony czymś na ziemi leżącym. Po chwili uspokoiwszy się nieco, spojrzał wokoło siebie, czy nie ma kogo. Żadne oko nie widziało go w tym momencie, prócz oka, przed którym się ukrywał, a które czytało w jego przewrotnym sercu. Spojrzał znowu na straszny dla siebie przedmiot i chciał go podnieść; lecz ręka bez władzy opadła. Nagle usłyszał zbliżające się kroki, a poznawszy rycerski chód Sebastiana, raptownie podniósł z ziemi kosztowną chustkę, która się była zesliznęła z ręki Syry. Trząśniętą chowając ją, a gdy na domiar okropności dostrzegł kroplę świeżej krwi, która przez opatrunka przesiąkła, zatoczył się jak pijany ku drzwiom i popędził do swego domu.

Poblady, wpadł do swego pokoju, odpychając nadskakujących niewolników. Skinieniem ręki dał znak wiernemu słudze, aby szedł za nim i drzwi zarygłował. Przy migającym świetle lampy rzucił Fulwiusz w milczeniu na stół haftowaną chustkę, wskazując na kroplę krwi. Ponury sługa nic nie powiedział; ale widoczne było jego zatrwożenie się, podczas gdy siność śmiertelna pokrywała oblicze Fulwiusza.

— Chustka ta sama bezwątpienia — przemówił nakoniec sługa obcym językiem — ale ona z pewnością nie żyje.

— Czyś zupełnie pewien, Eurotasie? — zapytał pan, wlepiwszy w sługę przenikliwie oczy.

— O tyle pewnym, o ile człowiek może być pewnym tego, czego na własne oczy nie widział. Gdzieś znalazł tę chustkę? I skąd ta krew?

— Wszystko opowiem ci jutro; dziś wieczór jestem zbyt wyczerpany. Co do tych plam, które były świeże, gdy znalazł chustkę, nie wiem, skądby mogły pochodzić, jeżeli nie są one zwiastunem zemsty, albo raczej zemstą samą, tak dziką, jaką tylko Furie wymyślić mogły; ta krew nie była przelana teraz.

— Cicho, cicho! Nie czas sobie teraz wróżyć i marzyć. Czy widział kto, jakieś podniósł tę — rzecz?

— Nikt, pewny tego jestem.

— A więc możemy być spokojni; lepiej, że jest w naszych rękach, niż w innych. Spoczynek nocny przyniesie nam dobrą radę.

— Słusznie mówisz, Eurotasie, ale śpij tej nocy w moim pokoju.

Obydwa rzucili się na łoża: Fulwiusz na łożo ozdobne i bogate, a Eurotas na niski tapczan. Wsparty na łokciu, długo przy świetle lampy czuwał sługa ponurym, ale troskliwym okiem nad niespokojnym snem młodzieńca, będąc jakby stróżem i złym jego duchem zarazem. Fulwiusz wzdrygał się i jęczał, męczony snem okropnym. Naprzód widział przed sobą piękne miasto w dalekim kraju, nad zieloną, srebrem połyskującą rzeką. Na tej rzece kołysał się okręt, podnoszący kotwicę, na pokładzie postać jakaś powiewała ku niemu na pożegnanie chustką haftowaną. Scena się zmieniła: okręt płynie wśród morza, miotany wściekłą burzą, a na szczycie masztu błyszczy ta sama chustka, jak ognista chorągiew, wiatrem poruszana. Okręt rozbija się o skałę i wszyscy

ze strasliwym krzykiem toną w otchłani. Lecz masz stoi jeszcze wśród bałwanów z jasną nietkniętą flagą. Z pośród morskich ptaków, krzyczących wokoło, unosi się postać z pochodnią w rękę o czarnych skrzydłach; w przełocie zrywa z masztu chustkę, a z gniewem roztaczając flagę, staje przed Fulwiuszem. Na fladze wyczytuje Fulwiusz ognistymi literami napisane: *nemesis* (zemsta).

Gdy Syra usłyszała drzwi, zamykające się za Fulwiuszem, zatrzymała się na chwilę, aby przyjść do siebie, i pokrzepiwszy serce krótką modlitwą, powróciła do ślepej przyjaciółki. Cecylia skończyła skromną wieczerzę i cierpliwie czekała na powrót niewolnicy. Syra, wróciwszy, rozpoczęła zwykle obrządki, należne przyjaźni i gościnności; przyniosła wody, umyła dziewczyny ręce i nogi, stosownie do zwyczaju chrześcijan, uczesała i splótła włosy jej, a chociaż nie o wiele starsza, tak czule spoglądała na przyjaciółkę, krzątając się około niej, tak słodko do niej mówiła, że była podobniejsza do matki z dzieckiem własnym, aniżeli do niewolnicy z żebraczką. A ta żebraczka także zdawała się tak szczęśliwą i rozmawiała wesoło, mówiła tak piękne rzeczy, że Syra nie śpieszyła z czynnością swoją, aby dłużej słuchać i patrzeć na nią.

W tej chwili Agnieszka przyszła, jak zapowiedziała, rozmówić się z Syrą, a Fabiola odprowadziła ją aż do drzwi. Lecz gdy powoli podniosła zasłonę i rzuciła okiem na obie dziewczyny, dała znak Fabioli, aby się przypatrzyła wraz z nią, zalecając tylko milczenie. Ciemna dziewczyna siedziała naprzeciwko, a obok niej Syra, nie domyślając się, że są przedmiotem

obserwacji. Serce Fabioli zmiękło; nigdy dotąd nie przyszło jej na myśl, aby istniała na świecie bezinteresowna miłość pomiędzy niespokrewnionymi i miłosierdzie, słowo uczucie nie znane u Greków i Rzymian. Fabiola odstąpiła z wolna ze łzą w oku i odchodząc, rzekła do Agnieszki:

— Muszę odejść; ta dziewczyna, jak wiesz, dowiodła mi dziś, że niewolnica może mieć rozum; teraz pokazuje mi, że może mieć i serce. Zdziwiłam się parę godzin temu, gdyś mi się zapytała, czy nie kocham niewolnicy. Teraz mi się zdaje, żebym mogła kochać Syrę. Żal mi po części, że przystała na rozłączenie się z nią.

Gdy się Fabiola oddaliła, Agnieszka weszła do pokoju i śmiejąc się, rzekła:

— Tak to, Cecyli! odkryłam nareszcie twoją tajemnicę. Więc to ta przyjaciółka, której udzielane ci pożywienie, jak zawsze mówisz, o tyle lepsze od mego, że nigdy w moim domu nie chcesz przyjąć posiłku. Wprawdzie, jeśli potrawy nie lepsze, to muszę przyznać, żeś trafiła na daleko lepszą gospodynię.

— O, nie mów tego, miła Pani — odrzekła ociemniała — zaręczam ci, że właśnie jedzenie jest lepsze. Ty masz pełno sposobności czynienia dobrze, a biedna niewolnica tylko wtenczas, gdy spotka stworzenie jeszcze biedniejsze i bardziej opuszczone, niż ona sama. Ta myśl czyni pożywienie przez nią podane bez porównania lepszym od twego.

— Sprawiedliwie mówisz — rzekła Agnieszka — i szczęśliwa jestem, że cię tu zastaję, abyś usłyszała dobre wiadomości, jakie przynoszę dla Syry. Ciebie także uszczęśliwią. Fabiola przystała na to, abym była twoją pa-

nią, Syro, i abym cię z sobą wzięła. Jutro już będziesz wolną i moją drogą siostrą.

Cecylia klasnęła radośnie w ręce i, rzucając się na szyję Syry, zawołała:

— O, jak to dobrze! Jak szczęśliwą będziesz teraz, droga Syro!

Lecz Syra zmieszana się bardzo i odpowiedziała drżącym głosem:

— O dobra i miła pani, jakże to łaska z twojej strony zajmować się taką istotą, jak ja? Lecz wybac mi, jeśli cię śmiem błagać, abyś mi dozwoliła zostać tym, czym jestem; zapewniam cię, droga Cecyljo, że mi tu bardzo dobrze.

— Lecz dlaczego pragniesz tu pozostać? — zapytała Agnieszka.

— Dlatego — odrzekła Syra — że najdoskonalej jest być wierną Bogu i stanowi, do jakiego nas powołał. Przyznaję, że się nie urodziła w teraźniejszym moim stanie, lecz z cudzej woli się w nim znajduję.

Placz przerwał jej mowę na chwilę, a potem mówiła dalej:

— Lecz tym oczywiście przekonywam się, że Bóg chce, abym mu w tym powołaniu służyła. Jakże mam pragnąć zmiany?

— A więc dobrze — rzekła Agnieszka z większą jeszcze żywością — możemy się co do tego ułożyć. Nie uwolnię cię i zostaniesz moją niewolnicą. Tak będzie zupełnie to samo.

— Nie, nie — odrzekła Syra z uśmiechem — tak być nie może. Nauki naszego wielkiego Apostoła tak nam mówią: Słudzy, bądźcie z największą bojaźnią poddani woli panów waszych, nie tylko tym, co są dobrzy i łaskawi, ale i tym, którym trudno dogodzić. Nie twierdzę, aby moja pani miała do tych ostatnich nale-

żeć; ale ty, łaskawa pani Agnieszko, jesteś zbyt dobra i pobłażająca dla mnie. Żyjąc z tobą, jakizby był mój krzyż? Nie wiesz, pani, jak harda i uparta jestem z natury, i nie byłabym spokojną o siebie, nie cierpiąc pewnych przykrości i upokorzeń.

Agnieszka słuchała jej ze wzruszeniem, lecz bardziej niż kiedykolwiek, pragnęła posiadać taki skarb cnót i rzekła:

— Widzę, Syro, że żadna pobudka, ściągająca się do twego własnego dobra, nie zdoła cię poruszyć; muszę więc użyć samolubniejszych sposobów. Pragnę cię mieć przy sobie, aby za twoimi radami i przykładem postępować w doskonałości. Takiej prośby nie możesz odrzucić.

— Samolubną — odrzekła Syra — nie możesz być. A zatem, co się tyczy twojej prośby, odwołuję się do ciebie samej. Znasz i kochasz Fabiolę. Jaka to szlachetna dusza, jaki rozum i wykształcenie, gdyby tylko te wysokie przymioty Bóg światłem prawdy oświecić raczył! A jakże starannie przechowuje w sobie tę perłę cnót wszystkich, którą my tylko umiemy oceniać. Jak wielką chrześcijanką mogłaby być!

— Mów, mów, droga Syro — z zapalem zawołała Agnieszka — czy masz nadzieję?

— Modłę się o to dzień i noc; to moja jedyna myśl, cel i przedmiot życia mego. Będę próbowała zdobyć ją cierpliwością, uległością, a nawet tak niezwykłymi rozmowami, jak dzisiejsza była. A jeśli wszystkie sposoby się wyczerpią, pozostanie mi jeszcze jeden.

— Jaki sposób? — zapytały obiedwie.

— Oddać życie własne za jej nawrócenie. Wiem, że biedna niewolnica jak ja, nie bardzo

może spodziewać się męczeństwa. Wszakże mówią, że sroższe prześladowanie się zbliża, które może nie pogardzi tak małą ofiarą. Lecz niechaj się dzieje podług upodobania Bożego, moje życie za jej duszę jest w Jego rękach. Ale najdroższa, najlepsza pani—zawołała ze łzami, padając na kolana przed Agnieszką — nie chciej stać pomiędzy mną a upragnioną nagrodą.

— Zwyciężyłaś, siostró Syro; och! nigdy mię już panią nie nazywaj—rzekła Agnieszka—zostań na swoim miejscu, bo tak uzbrojona cnota musi zwyciężyć. Zbyt ona wzniosła dla tak małego i niegodnego otoczenia, jak mój dom.

— A ja powiadam — dodała Cecylia z największą powagą—że Syra ma na sumieniu dzisiaj bardzo niedobrą rzecz, powiedziała dziś wieczór wielką nieprawdę.

-- Cóż takiego, moja oskarżycielko?—śmiejąc się zapytała Syra.

— Powiedziałaś, że jestem rozsądniejsza i lepsza od ciebie dlatego, że nie chciała jeść mdłych łakoci, któreby łakomstwu dogodziły na chwilę z uszczerbkiem cnoty wstrzemięźliwości; a ty poświęcasz wolność, szczęście, wolne wyznanie wiary, i chcesz oddać życie nawet dla zbawienia osoby, która cię gnębi i męczy. O! jakżeś mogła to mówić!

Służący przyszedł powiedzieć w tej chwili, że lektyka Agnieszki czeka u drzwi, i ktoby był widział czule pożegnanie trzech przyjaciółek, to jest bogatej pani, niewolnicy i żebraczki, byłby słusznie zawołał, jak już nieraz zawołano: „Patrzcie, jak ci chrześcijanie się kochają!”

ROZDZIAŁ VIII.

Zakończenie pierwszego dnia.

Jeśli się zatrzymamy chwilę u drzwi, aby widzieć oddalającą się Agnieszkę i słyszeć rozmowę jej z Cecylią i prośbę, aby się dała odprowadzić do domu przez jednego z sług Fabioli, ponieważ się ściemniło, i jeśli chcemy widzieć, jak ślepa dziewczynę rozśmieszyło zapomnienie Agnieszki, że dzień i noc nie mają dla pozbawionej wzroku żadnej różnicy, i że właśnie dlatego jej używano za przewodniczkę w ciemnych, krętych katakumbach, tak jej znanych jak ulice Rzymu, po których o każdej godzinie bezpiecznie się przechadzała; jeśli więc spędzimy chwilę przed drzwiami, zanim powrócimy do domu, by się dowiedzieć, jak się miewa młoda pani po dziennych wypadkach, zastaniemy cały dom w rozruchu. Niewolnicy z lampami i pochodniami biegają w różnych kierunkach, szukając jakiejs zgubionej rzeczy; szukają w każdym zakątku. Eufrozyna żąda koniecznie, aby się zguba znalazła; nareszcie po utracie wszelkiej nadziei poszukiwania ustają.

Czytelnik zapewne odrazu odgadł tajemnicę. Syra, stosownie do odebranych rozkazów, poszła dać rękę opatrzeć, ale chustki, którą rana była przykryta, już nie było. Syra nie umiała wytłumaczyć tej zguby; objaśnienia jej ograniczyły się więc do tego, że wyznała, iż dotąd się nie spostrzegła, że chustki już nie miała. Chustkę tę naprzód zdjęła, a potem zawiesiła napowrót, zapewne nie tak zręcznie, jak Eufrozyna, a przyczyny nie tając, bo się kłamstwem brzydziła. Dobroduszna ochmistrzyni bardzo się zmartwiła stratą, która jej się wydała bar-

dzo znaczną dla ubogiej niewolnicy, ponieważ podług wszelkiego prawdopodobieństwa przechowywała ten kosztowny przedmiot na okupienie wolności swej. Syra także była zmarłwiona, ale z przyczyny niezrozumiałej dla pocziwej ochmistrzyni.

Eufrozyna pytała wszystkich służących, u wielu nawet spręty osobiście przetrząsała, a to z wielkim Syry zmartwieniem i pomieszaniem; nareszcie rozkazała ogólne szukanie w każdej części domu, gdzie tylko Syra być mogła. Któżby na chwilę mógł posadzić jednego z wysokich gości o przywłaszczenie sobie jakiegokolwiek rzeczy więcej lub mniej kosztownej? Eufrozyna wpadła na myśl, że chustka, podchwyconą została jakimś czarodziejskim sposobem i wielce posadzała czarną niewolnicę, Afrę, nieprzyjaciółkę Syry, o użycie czarów swoich na szkodę biednej dziewczyny. Eufrozyna uważała Maurytankę za czarownicę, będąc często zmuszoną pozwalać jej wychodzić w nocy pod pozorem zbierania ziół na kosmetyki przy świetle księżyca. Eufrozyna posadzała Afrę raczej o przyrządzanie śmiertelnych trucizn, lecz prawdziwym celem tych nocnych przechadzek były schadzki z ziomkami swymi, lub narady z osobami, pokładającymi ufność w jej urojonej sztuce. Dopiero po zaniechaniu dalszego szukania, gdy Syra została samą, i przy zimniejszym roztrząsaniu wypadków dziennych, przypomniała sobie, jak Fulwiusz, przechodząc przez podwórze, zatrzymał się na tym samym miejscu, gdzie ona stała pierwaj, a potem nagle pobiegł ku drzwiom. Wpadła więc na domysł, a raczej przekonała się, że w tym miejscu upuściła chustkę i że Fulwiusz ją podniósł. Uważała zaś za niepo-

dobne, aby mógł być obojętnie przejść, nie podniósłszy chustki. Pewną więc była, że chustka przeszła w ręce Fulwiusza. Długo rozmyślając nad prawdopodobnymi następstwami tego przypadku i nie mogąc dojść do żadnego pomyslnego wyniku, powierzyła całą sprawę Bogu i udała się na spoczynek, zawsze słodki i pokrzepiający dla czystego sumienia.

Fabiola, pożegnawszy Agnieszkę, udała się do swoich pokojów, a gdy dwie niewolnice i Eufrozyna spełniły usługi, oddaliła je. Kładąc się na łóże, spostrzegła leżący sztylet, którym Syrę zraniła. Otworzywszy skrzynię rzuciła weń ze wstrętem broń, której już nigdy nie chciała używać.

Wzięła potem książkę, którą pierwaj czytała z wielkim upodobaniem, lecz teraz się jej wydała nudną i prózną. Rzuciła ją więc na bok i puściła wodze myślom swoim nad tym wszystkim, co się w ciągu dnia przytrafiło.

— Co za dziwne dziecko ta Agnieszka — pomyślała — jak mało sobą zajęta, jaka niewinna i prosta; jaka przytem rozsądna, a nawet mądra! — I układała sobie być jej opiekunką, starszą siostrą we wszystkim. Uważała także, zarówno z ojcem, że Fulwiusz często się wpatrywał w Agnieszkę, nie tym wejrzeniem rozpustnym, które sama Fabiola często z pogardą znosić musiała, lecz z wyrazem chytrym i przebiegłym, zdradzającym jak się wydawało, niebezpieczne zamiary, którychby Agnieszka mogła się stać ofiarą. Postanowiła więc nie dopuścić spełnienia tych zamiarów, jakiegokolwiekby być mogły, i tak domysłami swymi rozminęła się zupełnie z domysłami ojca. Umyśliła także starać się wszelkimi sposobami nie dopuścić Fulwiusza do osoby Agnieszki, a przy-

najmniej do jej domu; i nawet miała sobie za złe, że tak młodą osobę wprowadziła w towarzystwo często dziwnie dobrane u stołu ojca, a szczególnie uznawszy teraz, że to uczyniła z przyczyn zupełnie samolubnych.

Prawie w tej samej chwili Fulwiusz, drżący na swym łożu, czynił postanowienie nigdy już (o ile być może) nie przekroczyć progu domu Fabiusza i unikać wszelkiego zaproszenia z jego strony.

Fabiola odgadła charakter Fulwiusza, zauważyła przenikliwym okiem przesadę jego ułożenia i chytrą w spojrzeniu, i nie mogła się obronić od porównania go ze szczerym i otwartym Sebastianem. — Co za szlachetny człowiek ten Sebastian! — mówiła do siebie. Jak niepodobny do innej młodzieży, którą tu widuję. Nigdy słowo wątpliwe nie wyjdzie z ust jego, nigdy przykre wejrzenie z jasnych i wesółych ocz nie zabłyśnie. Przy stole wstrzemięźliwy, jak przystoi żołnierzowi, skromny, jak prawdziwy bohater, nie wspomina o swoich świetnych czynach wojennych, nad którymi inni się rozwodzą. Ach! gdyby on miał dla mnie te uczucia, z jakimi się wielu oświadcza. — Tu przerwały się jej myśli, a głęboki smutek zdawał się ogarniać jej duszę.

Potem rozmowa z Syrą i jej następstwa stały przed oczyma Fabioli, a chociaż te wspomnienia były jej przykre, nie mogła od nich oderwać myśli swojej. Uczuła, że z tym dniem zaszła stanowcza zmiana w jej życiu. Dumę upokorzyła niewolnica, a serce jej zmiażdżyła niewiedza jakim sposobem. Gdyby ślepotą duchowa była ją opuściła w tej chwili, a oko sięgało wzrokiem poza ten świat, byłaby widziała lekki obłoczek naksztalt dymu kadzidla, lecz ubar-

wiony żywą purpurą, wznoszący się ponad łożkiem błęczącej niewolnicy, bo modlitwa i dobrowolna ofiara życia wznosiły się razem do nieba. Byłaby widziała, jak ten obłoczek, uderzwszy o diamentowe podnóże tronu miłosierdzia, skraplał się w rosę najśodszej łaski i spadał na jej oschłe serce.

Rzeczywiście nie mogła tego widzieć, chociaż tak było; zmęczona szukała spoczynku. Lecz ją także dręczyły i sny niepokojące. Widziała pośrodku ślicznego ogrodu miejsce oświecone jasnym światłem, jakby słońcem południowym, lecz niewymownie łagodnym, a wokoło głęboki mrok. Śliczne kwiaty stały się jej pod nogi, rośliny, okryte bogatym kwieciami, pięły się od drzewa do drzewa, a złociste kule połyskiwały na gałęziach. Pośrodku tego miejsca widziała biedną, ślepą dziewczynę, z pogodną twarzą siedzącą i mającą po jednej stronie Agnieszkę, a po drugiej Syrę, która łagodnie pochylała się nad nią i pieściła ją. Fabiola czuła chęć przyłączenia się do nich; zdawało się jej, że doznają szczęścia zupełnie jej nieznanego; zdawało się jej nawet, że dawały znaki, aby się zbliżyła. Biegła więc naprzód, aż naraz z wielkim przerażeniem spostrzegła szeroki, ciemny i głęboki wąwóz, na którego dnie szumiał strumień, dzielący ją od trzech przyjaciółek. Stopniowo wznosiła się woda, póki się nie zrównała z brzegiem, i chociaż była głęboka, płynęła lśniącymi srebrnymi falami. Ach! odwagi, odwagi, aby przebyć otchłań i dostać się na drugą stronę! Trzeba zanurzyć się w wodzie i powierzyć się falom! A trzy dziewice ciągle jej radzą, aby spróbowała. Lecz gdy tak stała na brzegu, załamując ręce z rozpacz, Kalpurniusz zjawił się wśród otacza-

jących ciemności, trzymając grubą i ciężką zasłonę, na której były odmalowane dziwaczne i szkaradne potwory szczególnie z sobą połączone i przeplatane; i ta ciemna zasłona rosła i rosła, aż zakryła śliczne widzenie przed oczyma Fabioli. Gorzki żal wypełnił jej serce, lecz w tej chwili ukazał się jej jasny geniusz (jak go nazywała), w którego rysach poznała uduchowione podobieństwo Sebastiana. Z początku stał smutnie w pewnym oddaleniu, a potem zbliżył się do niej i uśmiechał, i rozgnione jej lica chłodził złotym i purpurowym skrzydłem; i widzenie rozwiało się w śnie pokrzepiającym.

ROZDZIAŁ IX.

Spotkanie.

Ze wszystkich pagórków rzymskich najwybitniej niezaprzeczenie zachowuje ślady starożytności *Mons Palatinus* (Wzgórze Palatyńskie). Cesarz August zbudował sobie dom na tym pagórku, następcy jego zamienili skromne pomieszkание na pałac. Neron, nie poprzestając na tym, zburzył sąsiednie zabudowania i rozszerzył pałac, zabierając całe miejsce, teraz przez amfiteatr *Colosseum* zajęte, pomiędzy dwoma pagórkami. Wespazjan zburzył prawie cały dom Neron, zachowując tylko przepyszne sklepienia wraz ze ślicznymi malowidłami, a z pozostałych materiałów wystawił *Colosseum* i inne gmachy. Pozostała część murowanego pałacu miała wejście główne od strony ulicy Świętej (*via Sacra*), zaraz obok łuku Tytusa.

Przeszedłszy przedsionek, znajdował się podróżny we wspianiałym podwórzu, którego

plan łatwy jeszcze teraz do rozpoznania. Idąc dalej na lewo, wstępował w ogromną kwadratową przestrzeń, zasadzoną drzewami, zaroślami i kwiatami, a którą Domicjan poświęcił Adonisowi.

Jeszcze dalej, na lewo, wchodziło się do obszernego pomieszkания, przeznaczonego przez Aleksandra Sewera dla matki Mammei, której imię nosiło. Te pokoje miały okna na łuk tryumfalny Konstantyna i fontannę zwaną *Meta Sudans* (Potniejący słup). Był to obelisk z cegły (dotąd istniejący) marmurem wykładany, z którego szczytu wytryskała woda i spadała wokoło w kształcie szklanego klosza z marmurową sadzawką. To pomieszkание zajmował teraz Sebastian, jako trybun, czyli wyższy oficer straży cesarskiej. Składało się z kilku pokoi, bardzo skromnie umeblowanych, jak przystoi żołnierzowi i chrześcijaninowi. Służba Sebastiana składała się z dwóch uwolnionych sług i poważnej matrony, dawnej mamki jego, przywiązanej do Sebastiana, jak do własnego syna. Wszyscy troje Chrystusową wiarę wyznawali, jak i wszyscy żołnierze w pułku Sebastiana, niektórzy nawróceni, inni, i to większa część, jako chrześcijanie, przy poborze wojskowym umyślnie powybierani.

W parę dni po wypadkach, opowiedzianych w poprzednich rozdziałach, o późnej godzinie wieczornej, na schodach dopiero co opisanego przedsionka od strony ulicy Świętej podążał Sebastian w towarzystwie znanego nam już 14-to letniego młodzieńca. Pankracjusz podziwiał Sebastiana i kochał go z przywiązaniem, jakie sobie możemy wystawić ze strony młodego i zapalonego żołnierza do starszego i walecznego wojownika, który go przypuszcza do

swojej przyjaźni. Pankracjusz nie zaciągnięty w szeregi cesarskie, nie cesarskiego, lecz Chrystusowego żołnierza uwielbiał w Sebastianie, którego wielkoduszność i dzielność przy prostym i miłym sposobie bycia, połączone z wielką mądrością i roztropnością, napęłniały ufnością wszystkich otaczających go. Sebastian nie mniej cenił w Pankracjuszu jego szczerą gorliwość, a razem proste i niewinne serce. I wiedząc dobrze, na jakie niebezpieczeństwa wystawiają w czasie ucisku uniesienia duszy ognistej i gorącej, pragnął mieć go często przy sobie, aby mógł kierować, a może czasem powstrzymać młodzieńcze zapędy.

Gdy weszli do części pałacu, której straż powierzono kohorcie Sebastiana, rzekł ten do towarzysza:

— Ile razy wstępuję w to miejsce, zastanawiam się, jak łaskawym zrządzeniem Boskiej Opatrzności łuk tryumfalny postawiony prawie u wrót cesarskiego pałacu uwiecznia pamięć upadku starego zaślepionego zakonu i dopełnia najwyraźniejszą przepowiednię Ewangelii skruszenia Jerozolimy przez rzymską potęgę¹⁾. Nie wątpię, że na tym miejscu powstanie kiedyś pomnik świetniejszego jeszcze zwycięstwa nad drugim nieprzyjacielem wiary naszej, to jest nad bałwochwalczym państwem rzymskim.

— Jaktó! wyglądasz upadku tego ogromnego państwa dla utwierdzenia wiary chrześcijańskiej?

— Nie dopuść Boże! Przelałbym ostatnią kroplę krwi, jakiem przelał najpierwszą dla

¹⁾ Na łuku tryumfalnym Tytusa wyrzeźbione jest zburzenie świątyni jerozolimskiej przez Rzymian.

zbawienia państwa. Lecz możemyż wiedzieć, czy nawrócenie państwa postępować będzie zwolna i stopniowo, jak tego dotąd świadkami jesteśmy, lub też w sposób tak nadludzki, tak Boski, jakiego sobie w naszych najgorętszych życzeniach wyobrazić nie możemy, a wszyscy zawołają: oto dzieło prawicy Najwyższego!

— Bezwątpienia; lecz wzmianka o powstać mającej chrześcijańskiej bramie tryumfalnej nasuwa myśl i o ziemskich ku temu narzędziach prawicy Bożej. Skądże się ich spodziewasz?

— Nadzieja moja, przyznać muszę, Pankracjuszu, spoczywa na rodzinie jednego z Augustów, w której dostrzegam mały związek lepszych dążeń; myślę, o rodzinie Konstancjusza Chlorusa.

— Lecz, Sebastianie, wiesz dobrze i od wielu z naszych najuczciwszych i najbogobojniejszych ludzi mógłbyś usłyszeć, że podobnymi nadziejami bawiono się podczas panowań Aleksandra, Gordiana, Aureliana, nadziejami niestety zupełnie zawiedzionymi; jakże się więc spodziewać czego innego nadal?

— Wiem o tym dobrze, drogi bracie Pankracjuszu, i nieraz gorzko płakałem ze zwątpienia ducha, widząc, że chwile prześladowania długo trwają, a czasy miłosierdzia są dalekie! Że krew męczenników i modlitwy dzieci nie mogą skrócić czasów nawiedzenia i przyspieszyć dni łaski!

Tak mówiąc, doszli do pokojów Sebastiana, z których najobszerniejszy był oświecony i widocznie na przyjęcie gości przygotowany. Naprzeciwko drzwi wchodowych okno, otwierające się aż do ziemi, prowadziło na taras, który się rozciągał wzdłuż jednej strony domu.

Księżyc tak jasno zaglądał przez to okno, że obadwaj bez namysłu przeszedłszy pokój, stanęli na tarasie. Miły i wspaniały widok przedstawiał się ich oczom. Księżyc wysoko na niebie płynął wśród obłoków, jak zwykle na rzymskim niebie: okrągły, pełny, oblany światłością, cnił bliższe gwiazdy, a inne usunęły się błyszczącą gromadą w odległe krańce lazurowego nieba. Był to podobny wieczór do tego, kiedy to wiele lat później Monika i Augustyn, siedząc przy oknie w Ostii, rozmawiali o rzeczach Boskich.

Wszystko wokoło na niebie i na ziemi było zaprawdę piękne i wielkie: *Colosseum*, czyli amfiteatr Flawijski, wznosił się w całej okazałości; z tej samej strony dolatywał miły szmer fontanny *Meta Sudans*, która srebrzystym słupem wody świeciła wśród nocy, niby fala morską, odpływająca od stromej skały. Po drugiej stronie łaźnie Karakalli, na marmurowych ścianach i silnych filarach odbijały blask jesiennego księżyca. Lecz czymże były te wszystkie olbrzymie świątynie chwały ziemskiej dla dwóch chrześcijańskich młodzieńców, zamyślonych i milczących? Starszy, otoczywszy prawą ręką szyję młodszego, wspierał się na jego ramieniu. Po długim milczeniu nawiązał na powrót przerwana nić rozmowy i mówił jeszcze słodszy głosem:

— Chciałem właśnie, gdyśmy tu weszli, pokazać ci miejsce pod samymi naszymi stopami, w którym często wyobrażam sobie wznoszący się łuk tryumfalny, o którym wspominałem¹⁾. Lecz któż może myśleć o tych nędz-

¹⁾ Łuk Konstantyna wznosi się właśnie poniżej miejsca, w którym toczy się rozmowa dwóch przyszłych męczenników,

nych ziemskich rzeczach, gdy przepyszne sklepienie nad nami świeci tak jasno, jakby chciało unieść w górę nasze serca i wzrok!

— Prawda, Sebastianie, nieraz myślałem, że kiedy zewnętrzna strona tego sklepienia, na które ludzkie żrenice, słabe i grzeszne, spoglądać mogą, jest tak piękna i światłości pełna, jakąż musi być ta strona, na której oko nieskończonej chwały spoczywać raczy! Wyobrażam sobie to sklepienie podobnym do zasłony bogato haftowanej, przez której tkaninę ledwie kilka ściegów złotej nici, na lewą stronę przegląda i te tylko złote punkciki nam przyswiecają. Jak królewska i nieskończenie bogata musi być ta prawa strona, po której stąpają zwiewne postacie Aniołów i Świętych, mieszkających w doskonałości!

— Piękna myśl, Pankracjuszu, i prawdziwa. Z tą myślą zasłona, dzieląca nas, walczących tutaj, od Kościoła tryumfującego, staje się przezroczystą i łatwą do przebycia.

— Wybacz mi, Sebastianie — rzekł młodzieniec z tym samym spojrzeniem, wlepionym w przyjaciela, jakim patrzył niedawno w natchnioną twarz matki — wybacz mi, że gdy ty mądrze przemyśliwasz nad mającą powstać w przyszłości bramą tryumfu chrześcijaństwa, ja już widzę przed sobą zbudowaną i otwartą bramę, przez którą my słabi i ułomni możemy wkrótce poprowadzić Kościół do tryumfu i chwały, a siebie do szczęścia.

— Gdzie ją widzisz, drogi chłopcze, gdzie? Pankracjusz bez namysłu wskazał ręką na lewo i rzekł:

— Tam, szlachetny Sebastianie; mówię o tej otwartej bramie amfiteatru Flawijskiego (to jest *Colosseum*), prowadzącej do areny, a nad are-

na wisi owa zasłona między niebem a ziemią, o której mówiliśmy dopiero, a przedrzeć się przez nią do nieba prawie tak łatwo, jak przedrzeć tę kurtynę z rzadkiego płótna w amfiteatrze. Lecz słuchaj!

— Słyszę ryk lwa — zawołał zdziwiony Sebastian. — Dzikie zwierzęta musiały przybyć do amfiteatru. Wiem, że wczoraj jeszcze żadnych nie było.

— Tak, słuchaj! — mówił dalej Pankracjusz, nie zważając na przerwę. — Oto trąby wzywają nas do boju: rycerska nuta, która prowadzi nas do zwycięstwa!

Obadwaj zamilkli na chwilę. — Pankracjusz pierwszy przerwał milczenie, mówiąc:

— To mi przypomina, że muszę zasięgnąć twej rady w pewnym przedmiocie, mój wierny doradco; czy twoi goście nie prędko nadejdą?

— Nie zaraz, i będą się schodzili jeden po drugim, dopóki się nie zgromadzą; pójdź do mego pokoju, gdzie nikt nam nie przeszkodzi.

Poszli wzdłuż tarasu do pokoju ostatniego z rzędu. Pokój ten był na samym skraju pagórka naprzeciwko fontanny, oświecony jedynie promieniami księżyca, wkradającymi się przez okna otwarte z tej strony. Żołnierz stanął przy oknie, a Pankracjusz usiadł na wąskim żołnierskim łóżu.

— Cóż to za ważna sprawa, Pankracjuszu — rzekł żołnierz z uśmiechem — w której chcesz zasięgnąć mej mądrej rady?

— Fraszka, przyznam — odrzekł młodzieńiec nieśmiało — dla człowieka tak śmiałego i wielkodusznego jak ty, lecz ważna sprawa dla niedoświadczonego i słabego chłopca, jak ja.

— A dobra i Bogu miła niezawodnie; powiedz tylko, a obiecuję ci wszelką pomoc.

— Dobrze więc, Sebastianie, tylko nie śmieć się ze mnie — mówił Pankracjusz nieśmiało: — Wiesz, że mam w domu wielką liczbę naczyń stołowych zupełnie nieużytecznych; prawdziwie zawadzają tylko, a moja droga matka na żadne prośby moje nie chciałaby używać tych staroświeckich świecideł, zapakowanych i pozamykanych bez użytku. Nie mam nikogo, komu bym mógł po śmierci zostawić te sprzęty. Jestem i będę ostatnim potomkiem mego rodu. Często mówiłeś mi, kto w podobnym razie powinien być spadkobiercą chrześcijanina: wdowy i sieroty, ubodzy i niedołężni. A czemuż miałiby czekać mej śmierci na odebranie tego, co im się należy prawem spadku? A jeśli prześladowanie się zbliża, czemu te sprzęty chować, aby je po naszej śmierci ze szkodą naszych spadkobierców skonfiskowano, lub darowano liktorom, spragnionym życia naszego i majątku?

— Pankracjuszu — rzekł Sebastian — słuchałem twego szlachetnego pomysłu, nie przerywając ci żadną uwagą. Pragnąłem, aby twoją była cała zasługa. Teraz powiedz mi, co cię w niepewność wprowadza w wykonaniu tego zamiaru?

— Oto, jeżeli mam prawdę powiedzieć, obawiałem się, aby nie było rzeczą wielce zuchwałą i niestosowną w moim wieku popisywać się ofiarą, która w oczach wielu wyda się może czynem wielkim i wspaniałomyślnym, a tymczasem, drogi Sebastianie, te rzeczy zupełnie mi są niepotrzebne i żadnej nie mają wartości dla mnie, a dla ubogich mogą być zasiłkiem, szczególnie w zbliżających się ciężkich czasach.

— A Lucyna przystaje na to?

— O, bądź spokojny! Nie naruszyłbym pyłku złota bez zezwolenia matki. Lecz po-

wiem ci, w czym najbardziej potrzebuję twojej pomocy. Nie radbym, żeby ludzie mniemali, że uczynił coś nadzwyczajnego. Dlatego potrzebuję twojej pomocy, bo chcę, aby rozdanie mogło się skutecznym w jakim obcym domu, jako ofiara osoby bardzo potrzebującej wsparcia modlitwą wiernych, szczególnie ubogich i pragnącej pozostać nieznaną.

— Z rozkoszą będę ci pomagał, mój chłopcze! Cicho! czy słyszysz, że ktoś mówi o Fabioli, i znowu ktoś wymawia to samo imię, ale z dodatkiem, który coś niedobrego wróży.

Pankracjusz zbliżył się do okna; dwa głosy dawały się słyszeć w rozmowie tak blisko pod domem, że gzyms dolnego piętra nie dozwalał im widzieć osób mówiących, ale poznać tylko po głosie kobietę i mężczyznę. Po kilku minutach rozmawiający wysunęli się dalej przy świetle księżycy prawie tak jasnego jak słońce.

— Znam tę murzynkę — rzekł Sebastian — to Afra, niewolnica Fabioli.

— A mężczyzna — dodał Pankracjusz — mój dawny współluczeń, Korwin.

Postanowili dowiedzieć się na kogo godna para knuła spisek; ale ponieważ rozmawiający przechadzali się wzdłuż i wszerz, słowa ich tylko urywkowo dolatywały młodzieńców. Korwin, był synem Tertulusa, prefekta pretorian. Ten urząd, nieznaną za czasów rzeczypospolitej i dzieło cesarzów od panowania Tyberiusza, stopniowo połączył w sobie wszystkie cywilne zarówno jak wojskowe władze i piastujący tę godność często wypełniał powinności najwyższego sędziego w Rzymie. Niepospolitej siły nerwów trzeba było do sprawowania tego urzędu po myśli despotów i okrutników. Zasiadać każdego dnia w trybunale, być otoczonym

nym okropnymi narzędziami mąk i głuchym na jęki starców i krzyki dzieci i kobiet, na męki skazanych, było zadaniem, z którego nie każdy sędzia mógł się wywiązać. Tertulus sprawowany został z Sycylii na sprawowanie tego urzędu nie dlatego, aby był okrutnym, lecz dlatego, że miał serce zimne, nie znające liłości.

Trybunał jego był najpierwszą szkołą syna; dzieckiem będąc prawie, siadywał Korwin po kilka godzin u nóg ojca, przypatrując się z rozkoszą okropnym widowiskom, jakie miał przed sobą, gniewny, jeżeli się kto potrafił uniewinnić. Wyrósł w głupocie, szorstki, grubiański; nie doszedł jeszcze do lat męskich, kiedy narodziła się twarz i blade oczy zdradzały już rozwinięte obyczaje. Bez chęci do szlachetniejszych zatrudnień, lub zdolności do jakiegokolwiek nauki, łączył pewną zwierzęcą odwagę i siłę z podłą przebiegłością. Nie znał szlachetnego uniesienia, nigdy nie zwalczył złej namiętności. Najmniejsza uraza wzbudzała w nim nienawiść i żądę zemsty. Dwóm osobom szczególnie poprzysiął nigdy nie przebaczyć: nauczycielowi, który go często karał za próżniactwo, i współlucznikowi, który haniebłą napaść odpłacił mu szczerą dobrocią. Sprawiedliwe karanie i darowanie urazy, słodycz i surowość zarówno mu były nieznośne.

Tertulus nie miał majątku, a syn nie zdawał się zdolnym do zarobienia sobie na jakiegokolwiek mienie. Przyjść do majątku było wszakże jedynym jego życzeniem, bo pieniądze, jako sposób dogodzenia wszystkim żądzom, były dla niego najwyższym szczęściem. Bogata panna, a raczej jej posag, zdawał się celem, do którego by powinien zmierzać. Zbyt

niezgrabny, dziki i głupi, aby w towarzystwie drogę sobie torować, szukał innych sposobów, zgodniejszych z podłym usposobieniem. Jakże to były sposoby, świadczyła rozmowa z czarną niewolnicą.

— Przychodzę cię szukać po raz czwarty u fontanny *Meta Sudans* o tej niedogodnej porze. Jakże przynosisz mi wiadomości?

— Żadnych, prócz nowiny, że pojutrze pani moja wyjeżdża do willi swej pod Gaetą i że ja z nią jadę. Potrzeba mi jeszcze pieniędzy, aby dalej prowadzić moje sztuki w twoim interesie.

— Jeszcze więcej? Wzięłaś wszystko, com tylko dostał od ojca od kilku miesięcy.

— Tak, a więc nie wiesz, czym jest Fabiola?

— Wiem, najbogatszą zdobyczą w całym Rzymie.

— Fabiola z wyniosłym i nieczułym sercem niełatwa do zdobycia.

— Lecz obiecałaś mi, że twoje czary i napoje zapewnią mi jej przychyłność, a przynajmniej majątek. Co ciebie to może kosztować?

— Bardzo wiele. Najkosztowniejsze składniki potrzebne są i muszą być zapłacone. Czy myślisz, żebym chciała o tej godzinie błąkać się dla zbierania ziół wśród grobów po Appij-skiej drodze, nie mając nadziei na stosowne wynagrodzenie?

— Lecz w jaki sposób zamierzasz popierać usiłowania moje?

— Powiedziałaś ci, żeby przyspieszyć dobry skutek twoich zabiegów.

— A jak? Wiesz dobrze, nie jestem tak od natury uposażony lub wykwinłym wychowaniem wykształcony, aby łatwo serca zdobywać. Liczę na twoje piekielne arkana.

— Więc przyjm moją radę, jeśli nie czujesz się zdolny serca Fabioli pozyskać.

— Powiedz raczej, chcę majątku.

— Jedno od drugiego nieodłączone; jest jeszcze jedna rzecz, w którą uzbrojony musisz zwyciężyć.

— Cóż takiego?

— Złoto.

— A skądże złota? Wszakże za złotem dopiero gonie?

Czarna niewolnica uśmiechnęła się złośliwie i rzekła:

— Czemużbyś nie miał z bogacić się tak, jak Fulwiusz?

— A jakże się Fulwiusz z bogacił?

— Krwią.

— A jakże ty wiesz o tym?

— Poznałam się ze starym jego sługą, który jeśli na twarzy nie tak czarny jak ja, ma serce stokroć czarniejsze. Jego język i mój dosyć zbliżone, abyśmy mogli rozmawiać z sobą. Pytał mnie się ciekawie o różne trucizny i powiadał, żeby mnie chętnie odkupił z niewoli i zabrał do ojczyzny, jako żonę swoją; lecz, ja mam na myśli coś lepszego; przy tym wyciągnęłam z niego wszystko, com chciała wiedzieć.

— I cóż to było?

Oto, że Fulwiusz odkrył wielki spisek, knowany przeciw Dioklecjanowi; a po ponurym mruganiu oczów starego sługi poznałam, że on pierwszy zwąchał tę sprawę, i że ze wschodu przysłano Fulwiusza do Rzymu, bardzo mu zalecając, aby go w podobnych sprawach używano.

— Lecz ja niezdatny jestem zarówno do wykrycia, jak do knowania spisków, chociażbym potrafił zdrajcom dać się we znaki.

— Lecz pozostaje jeszcze jeden łatwy sposób.

— Jaki?

— W moim kraju są ptaki na wysokich nogach, którym w biegu nie nadążysz na najszybszym koniu; lecz jeśli je z cicha podejdziesz, to ptaki same się zdradzają, bo głupie, tylko głowę pod skrzydła chować umieją. Ptaki to chrześcijanie. Czy nie zbliża się połów na nich?

— Tak jest i bardzo srogi, jakiego dotąd nie było.

— A więc posłuchaj mej rady. Nie uganiaj się bez zastanowienia za drobną zwierzyną, lecz wypatrz sobie jedną lub dwie z tych spaśnych sztuk, co się jak głupie strusie ledwie na pół ukrywają. Utop w nich szpony, zabierz sowitą część skonfiskowanych bogactw i przyjdź z jedną pełną garścią, a dostaniesz dwie natychmiast.

— Dzięki ci, dzięki; rozumiem. Nie lubisz więc tych chrześcijan?

— Ja bym miała lubić to obrzydłe plemię? Duchy, którym naród mój cześć oddaje, są śmiertelnymi nieprzyjaciółmi imienia chrześcijan.

I wykrzywiwszy usta w okropnym śmiechu, mówiła dalej.

— Zdaje mi się, że jedna z moich towarzyszek niewoli jest chrześcijanką. Och, jak mi jest obmierzła!

— Czemu myślisz że jest chrześcijanką?

— Naprzód dlatego, że za nic w świecie nie skłamała by, i swoją głupią szczerością często w kłopot nas wprowadza.

— Dobrze; cóż więcej?

— A potem, że nie dba o pieniądze i podarunki; z tej niedorzecznej przyczyny nam także podarunków nie dają.

— Jeszcze lepiej.

— A nadto jest — ostatnie słowo doleciało do ucha samego tylko Korwina, który odpowiedział:

— W istocie, byłem dzisiaj za miastem na spotkanie przybywających ziomków twoich, lecz żaden się z tobą nie równa.

— Doprawdy?—zawołała uradowana Afra— a co oni byli za jedni?

— Zwyczajni afrykanie¹⁾—odrzekł Korwin, śmiejąc się:—lwy, tygrysy, pantery.

— Nicponiu! śmiesz się naigrawać ze mnie?

— Cicho, cicho, nie gniewaj się! Sprowadzeni są właśnie dla uwolnienia cię od znienawidzonych chrześcijan. Rozejdźmy się w zgodzie. Oto masz pieniądze. Lecz niechaj będą ostatnie, i daj mi znać, skoro tylko twoje czarodziejskie napoje zaczną działać. Nie zapomnę twej rady co do chrześcijańskich bogactw. Wcale mi to do smaku przypada.

I puścił się Świętą drogą (*Via Sacra*), a Afra uszedłszy kilka kroków dla niepoznaki wzdłuż ulicy między Palatynem i Celianem, wróciła się i spoglądając za Korwinem, zawołała:

— Głupi! myślisz, że będę dla takiego osła, jak ty, próby robiła na osobie takiej, jak Fabiola!

I puściła się za Korwinem w pewnej odległości, lecz, tak się Sebastianowi wydawało, zwróciła się później ku sieni pałacowej. Postanowił odrazu ostrzedz Fabiolę, aby się miała na ostrożności, lecz przed jej powrotem ze wsi nie mógł tego skutecznie.

¹⁾ Nazwa dzikich zwierząt tej części świata dla odróżnienia od niedźwiedzi i innych zwierząt z północnych krajów.

ROZDZIAŁ X.

Inne schadzki.

Gdy dwaj młodzieńcy powrócili do pierwszego pokoju, zastali oczekiwanych gości już zgromadzonych. Wieczera zastawiona była na stole, aby nie budzić podejrzenia w nieproszonych, gdyby się trafili, gościach. Towarzystwo było liczne, złożone z duchownych i świeckich, z kobiet i mężczyzn. Celem zgromadzenia było obmyślenie środków ostrożności, spowodowanych niedawnym w tym pałacu wydarzeniem.

Sebastian, posiadając niczym nieograniczone zaufanie cesarza, używał całego wpływu swego ku rozszerzaniu wiary chrześcijańskiej w pałacu. Nawrócenia były liczne, i na krótko przed onym czasem, który opisujemy, stało się jedno wielkie nawrócenie. Na mocy dawniejszych ustaw wielu chrześcijan chwymano i oddawano pod sąd, który ich bardzo często na śmierć skazywał. Dwaj bracia Markus i Marcellianus, zostali oskarżeni i w więzieniu wyroku oczekiwali, podczas gdy przyjaciele, odwiedzając ich w więzieniu, ze łzami błagać poczęli, aby odstąpieniem od wiary życie swe ratowali. Te prośby zachwiały stałością wyznawców, obiecali się namyślić, o czym Sebastian posłyszawszy, biegł na ich ratunek. Zbyt dobrze był znanym, aby mu wstępu do pieczar odmówiono; wszedł więc do ciemnego więzienia wśród nocy, jak anioł światłości. Więzienie było dobrze obwarowane, a obok było mieszkanie urzędnika, którego straży wyznawców powierzono. Miejsce w więzieniu przeznaczał zwykle wedle upodobania urzędnik Trankwilinus; ojciec młodzieńców otrzymał

trzydzieści dni czasu na przełamanie w nich dziecinnego, jak sądził, oporu, a urzędnik imieniem Nikostratus, pozyskany dla pomocy w usiłowaniach ojca, osadził Marka i Marcelina we własnym swym domu. Zamiar Sebastiana był śmiały i niebezpieczny. Oprócz dwóch chrześcijan, szesnastu pogan zbrodniarzy przesiadywało w więzieniu; prócz tego krewni nagabywali nieszczęśliwych młodzieńców i do odstępstwa nakłonić usiłowali, stróż zaś więzienny Klaudiusz i urzędnik Nikostratus z żoną Zoą życzyli sobie szczerze wyrwania dwóch młodzieńców nieszczęśliwemu losowi. Mógłże Sebastian nie wątpić, czy pośród tych ludzi nie znajdzie się choćby jeden, któryby z obowiązku swego urzędu, lub w nadziei otrzymania nagrody, albo też z nienawiści ku wierze chrześcijańskiej nie oskarżył chrześcijanina, choćby i w osobie oficera cesarskiego? A czyliż nie wiedział, że podobne oskarżenie śmierć za sobą pociągnie? Wiedział on o tym dobrze, lecz się o to nie troszczył. Jeżeli trzy ofiary zamiast dwóch mają chwalić Pana, tym lepiej; obawiał się tylko tego, aby ofiarom stałości nie brakło. Więzieniem była dawna sala jadalna; a ponieważ uczty rzymskie, rzadko wśród dnia odbywające się, nie wiele światła dziennego potrzebowały, więc promyk światła dochodził przez otwór w suficie. Dlatego Sebastian, pragnąc być od wszystkich widzianym, stanął pod tym promieniem, bijącym w jeden punkt mocno oświecony, podczas gdy reszta sali zostawała w ciemności. Światło łamało się na złoceniach i klejnotach bogatej zbroi, a za każdym ruchem świętego wojownika rozsypywały się różnobarwne błyski po ciemnej przestrzeni. Nakryta głowa, a światłem oblane

i uwydątnione szlachetne rysy zdradzały anielski smutek rycerza, patrzącego na dwóch wyznawców, w wierze zachwianych. Upłynęło chwil parę, zanim zdołał Sebastian wyrazić wielki żal swój, na koniec w uniesieniu przemówił:

— Szanowni i błogosławieni bracia! Wy, coście świadectwo oddawali Panu naszemu; wy, których członki noszą ślady łańcuchów, z miłości ku Niemu dźwiganych, wy coście zakosztowali goryczy kielicha Chrystusowego, chciałbym paść do nóg waszych i uczcić was i o modły prosić. Nie chcę zaś stawać przed wami, iżby was napominać, albo broń Boże, potępiać. Możliwi być prawdą, com słyszał? Że gdy aniołowie wplatają ostatnie kwiaty tryumfu w wieńce wasze, wy ich zmuszacie, aby zasmuceni ustali w świętym poselstwie i kwiaty na wiatr rzucili? Mogęż wierzyć, że stojąc już u bram nieśmiertelnego miasta, mogliście zapragnąć powrotu do tego padolu wygnania i płaczu?

Młodzieńcy spuścili głowy i płakali w kornym swej słabości wyznaniu. Sebastian mówił dalej.

— Nie chcecie spojrzeć w oczy biednemu żołnierzowi, ostatniemu ze sług Bożych; jakże wytrzymacie gniewne spojrzenie Pana, którego chcecie zaprzec się przed ludźmi (lecz w sercu zaprzec się nie możecie), w tym strasznym dniu, w którym Bóg także zaprzec się was przed aniołami Swymi? gdy zamiast, iżbyście z ufnością stanęli przed nim jako dobrzy i wierni słudzy, którymi wczoraj jeszcze byliście, staniecie zawstyżeni. Tu zaś przeżyjecie na ziemi krótsze lub dłuższe, ale sromotne lata; odepchnięci od Kościoła, pogardzeni nawet od

nieprzyjaciół wiary waszej, a co najgorsza, dręczeni toczącymi serce wyrzutami i zgryzotą niczym nieuśpioną.

— Przestań! przez litość, przestań! kimkolwiek jesteś—zawołał Trankwilinus, ojciec dwóch wyznawców. — Nie przemawiaj tak surowo do moich synów. Łzy matki, zapewniam cię i moje błagalne prośby, a nie męczarnie, którym tak mężnie czoło stawiali, zdołały ich zachwiać. Czemużby mieli nieszczęsnych rodziców opuszczać w niedoli i smutku? Czy twoja religia tak rozkazuje i czy możesz nieczułość serca nazywać świętym duszy przymiotem?

— Czekaj cierpliwie, pocziwy ojcze—rzekł Sebastian łagodnie — pozwól mi pierwszej z synami pomówić. Wiedzą, o czym mówię, a czego ty jeszcze rozumieć nie możesz, lecz przy łasce Bożej wkrótce zrozumiesz także. Wasz ojciec ma słuszność, mówiąc, że miłość wasza ku rodzicom poczęła górować nad miłością tego Pana, który powiedział: „Ten, co kocha ojca i matkę bardziej, niż mnie, nie jest mnie godzien”. Nie spodziewajcie się zapracować na wieczne szczęście waszych podeszłych rodziców, tracąc sami prawo do żywota. Chcecie ich nawrócić, wypierając się sami wiary chrześcijańskiej? Chcecie ich zaciągnąć w szeregi żołnierzy Krzyża, sami wpierw sromotnie opuściwszy znaki? Czy chcecie im dowieść, że nauka Krzyża droższą jest nad życie, przekładając życie nad tę naukę? Jeżeli pragniecie pozyskać dla nich nie tymczasowe życie śmiertelnego ciała, lecz wieczne życie duszy, spieszcież sami pozyskać to życie dla siebie; zdobywajcie wieńce i palmy, a składajcie je u nóg Zbawiciela i błagajcie o zbawienie rodziców.

— Dosyć, dosyć, Sebastianie; zwyciężyłeś— zawołali dwaj bracia.

— Klaudiuszu — rzekł jeden — okuj mnie w łańcuchy, któreś zdjął z nóg i rąk moich.

— Nikostracie — dodał drugi — rozkaż, by się stało podług wyroku.

Lecz Nikostratus się nie ruszył, ani Klaudiusz.

— Bywaj zdrów, drogi ojczy; żegnaj cię, droga matko — rzekli kolejno Markus i Marcellianus, ściskając rodziców.

— Nie — odrzekł ojciec — już się nie rozłączymy. Nikostracie, pójdź, powiedz Chromacjuszowi, że jestem od tej chwili chrześcijaninem i zarówno z synami pragnę umierać za wiarę, która dzieci moje na bohaterów wyniosła.

— A ja — rzekła matka — nie chcę się rozłączać z mężem i dziećmi.

Wszyscy byli wzruszeni. Wszyscy płakali, jednym uniesieniem i uczuciem porwani; a Sebastian widział, że wiele kobiet i mężczyzn, tkniętych było łaską, zmiekczonej słodyczą prawdy i pokonanych jej potęgą, a na śmierć niechętną narażonych, gdyby jedna tylko z pośród tych dusz oparła się łasce. Sebastian zmierzył niebezpieczeństwo nie swoje, lecz Kościoła, gdyby nagle odkrycie nastąpiło; niebezpieczeństwo, grożące tym duszom wahającym się między śmiercią, a żywotem. Niektórzy wieszali się u rąk jego, inni ściskali kolana; niektórzy całowali nogi posłańcowi Bożemu, zesłanemu jak anioł do Piotra w więzieniu jerozolimskim.

Dwie tylko osoby zachowały milczenie. Nikostratus był wprawdzie wzruszony, lecz by-

najmniej nie nawrócony. Wzruszony był w sercu, lecz w przekonaniu niezachwiany. Żona jego Zoe, klęcząc przed Sebastianem, wzrokiem błagała, ręce wyciągała, lecz nic nie mówiła.

— Pójdź, Sebastianie — rzekł pisarz sądowy, bo taki był urząd Nikostrata — czas, abyś już wyszedł. Podziwiam szczerą wiarę i nieuleknione serce, które cię popchnęło do czynu, który teraz spełniłeś, przemawiając do młodzieńców za wiarę na śmierć skazanych; lecz obowiązek musi przeważać własne uczucie moje.

— Nie uwierzyłeś więc tak, jak tamci? — zapytał Sebastian.

— Nie, Sebastianie, nie tak łatwo mnie przekonać; potrzeba dla mnie silniej jeszcze przemawiających dowodów, niż sam nawet widok cnoty twojej.

— Och, przemów więc ty do męża — rzekł Sebastian do Zoe — mów, wierna żono; przemów do serca małżonka twego; bo chybabym się wielce zawiódł, jeślibym się omylił, co w twoich oczach czytam, żeś ty w Chrystusa uwierzyła.

Zoe zakryła twarz rękami i gwałtownie płakać poczęła.

— Wzruszyłeś ją do żywego, Sebastianie — rzekł mąż — czy nie wiesz, że ona jest niemą?

— Nie wiedziałem, Nikostracie; bo gdym ją ostatni raz widział w Azji, mówiła.

— Od sześciu lat — odrzekł mąż wzruszonym głosem — język jej został tknięty paraliżem i zaniemówiła.

Sebastian milczał przez chwilę, a potem rozłożył ręce i wznosił je do góry, jak zwykli byli czynić chrześcijanie w czasie modlitwy, a wzniosłszy oczy ku niebu, zawołał:

— O Boże! Ojciec Pana naszego, Jezusa Chrystusa! Twoim jest początek dzieła tego; dozwól, aby dokonanie było twoim jedynie dziełem. Okaż swoją potęgę, bo wielka stała się tego potrzeba. Uczyni tę łaskę najłaskawszemu i najniebezpieczniejszemu z narzędzi Twoich. Dozwól mnie wielce niegodnemu rozpędzić zwycięskim orężem krzyża Twego duchy ciemności i niechaj miłosierdzie Twoje obejmie nas wszystkich! Zoe, spojrzij raz jeszcze na mnie!

Wszyscy milczeli i prawie nie oddychali, gdy Sebastian po krótkiej wewnętrznej modlitwie prawą ręką znak krzyża na ustach Zoy czyniąc, przemówił:

— Zoe, mów, czy wierzysz?

Wierzę w Pana Jezusa Chrystusa! — zawołała czystym i doniosłym głosem i rzuciła się do nóg Sebastiana.

Krzyk wyrwał się z piersi Nikostrata i padając na kolana, łzami oblewał rękę Sebastiana.

Zwycięstwo było zupełne. Wszyscy byli nawróceni i natychmiast obmyślono sposób zachowania tajemnicy. Osoba odpowiedzialna za więźniów, miała prawo umieszczać ich podług swego upodobania; Nikostratus dał im wszystkim zupełną wolność w domu swoim, nie wyjmując Trankwilinusa i żony jego. Sebastian, nie tracąc czasu, powierzył więźniów troskliwej opiece świątobliwego księdza Polikarpa. Była to okoliczność tak wyjątkowa i tak głębokiej tajemnicy wymagająca, a czasy tak groźne, w których wszelkiego drażnienia pogan tak starannie trzeba było unikać, że nauka dzień i noc trwała, i wkrótce chrzest święty był więźniom udzielony.

Świeżo ponawracane chrześcijańskie owieczki zachęczone i pocieszone zostały nowym cu-

dem. Trankwilinus, mocno cierpiący na podagrę, nagle przy chrzcie uleczonym został.

Chromacjusz był prefektem miasta, a Nikostratus, odpowiedzialnym będąc za więźniów swoich, niedługo mógł tać zaszczyt wypadki przed zwierzchnikiem swoim.

Była to sprawa gardłowa dla wszystkich, lecz wzmocnieni wiarą, gotowi byli na śmierć. Chromacjusz był człowiekiem prawego charakteru i nie sprzyjał prześladowaniu; słuchał ze współczuciem opowiadania Nikostrata. Lecz, gdy usłyszał o uzdrowieniu Trankwilinusa, mocno się zastanowił. On także cierpiał na tę chorobę i doznawał nieznosnych bólów.

— Jeśli—rzekł—to, co mówisz, jest prawdą i gdybym sam mógł się przekonać o tej uzdrawiającej potędze, nie oparłbym się rzeczywistości.

Posłano po Sebastiana. Dawać chrzest niewierzącemu dla doświadczenia uleczającej siły tego Sakramentu nie godziło się, lecz Sebastian cud Boży sprowadził, i Chromacjusz zupełnie zdrowie odzyskał. Potem przyjął chrzest św. z synem Tyberiuszem.

Od tej chwili niepodobieństwem dlań było urząd prefekta piastować i złożył go w ręce cesarza. Tertulus, ojciec obiecującego młodzieńca Korwina, i prefekt pretorian mianowany został następcą Chromacjusza.

Powyższe wypadki działy się jakiś czas przed początkiem naszej powieści, i w pierwszym rozdziale mówiliśmy o ojcu Korwina już jako o prefekcie miasta.

Powrócimy teraz do tego, jak Sebastian i Pankracjusz zeszli się z wszystkimi prawie osobami, z którymi zabraliśmy znajomość w domu urzędnika. Wielu zamieszkałych było w sa-

mym pałacu lub w pobliżu, a oprócz tych osób przybył także Kastulus, zajmujący wysokie stanowisko u dworu i żona jego Irena. Kilka takich zgromadzeń już się odbyło, aby obmyśleć bezpieczny sposób udzielania nauki religii nowo nawróconym i aby wyszukać ciche schronienie dla osób, które wskutek nagłej zmiany życia lub przez opuszczenie urzędu mogły popaść w podejrzenie.

Sebastian otrzymał od cesarza pozwolenie, aby Chromacjusz mógł się oddalić do willi swojej w Kampanii, postanowiono więc, aby neofici zamieszkali z nim w tej willi i pod jednym dachem słuchając nauki; wspólnie chrześcijańskie nabożeństwo odprawiali. Zbliżała się pora roku, w której wszyscy rozjeżdżali się na wieś, i cesarz nawet wybierał się ku wybrzeżom neapolitańskim, aby stamtąd objechać południowe Włochy. Sprzyjała więc chwila do skutecznego obmyślenia planu. I papież, odprawiając mszę świętą w domu Nikostrata w pierwszą niedzielę po cudownym nawróceniu, zachęcał do opuszczenia miasta.

Na terazniejszym zebraniu wszystkie drobne szczegóły zostały załatwione. Wierni, na kilka oddziałów podzieleni, mieli ruszyć w przeciagu kilku następujących dni, różnymi drogami: jedni appijską, drudzy łatyńską, inni zaś idąc brzegiem Tybru, a następnie górzystą drogą przez Arpinum, wszyscy zaś mieli się zejść w willi pod Kapuą. Podczas tego nieco nużącego umawiania się, Torkwatus, jeden z więźniów nawróconych przez Sebastiana, okazał się zbyt niecierpliwym, a nawet niesfornym. Niedogodności upatrywał w każdym planie; sprzeciwiał się rozkazom, jakie mu dawano; z pogardą mówił o ucieczce przed nie-

bezpieczeństwem (jak się wyrażał) i przechwalał się, że gotów zaraz nazajutrz pójść na Forum, obalić jaki ołtarz, lub przedstawić się sędziemu jako chrześcijanin. Starano się wszelkimi sposobami jego usposobienie złagodzić i gorliwość ostudzić, a przynajmniej zniewolić, aby się z innymi przeniósł na wieś. Upart się wszakże przy swoim.

Jedna trudność pozostawała jeszcze do załatwienia, a tą była: kto by stanął na czele małej gromadki i przewodniczył jej czynnościom? I świątobliwy ksiądz Polikarp i Sebastian chcieli pozostać w Rzymie, by pierwsi mieć sposobność do męczeństwa. Lecz wkrótce położył koniec sprzeczce list przyniesiony od papieża, pisany do „kochanego syna Polikarpa, kapłana przy kościele św. Pasterza”, w którym rozkazywał papież Polikarpowi, aby towarzyszył neofitom na wieś, zostawiając Sebastiana przy trudnych obowiązkach zachęcania wyznawców i opieki nad chrześcijanami w Rzymie. Narada zakończyła się modlitwą dziękczynną.

Sebastian, serdecznie pożegnawszy przyjaciół, sam chciał odprowadzić Pankracjusza do domu.

Gdy wychodzili, Pankracjusz odezwał się:

— Sebastianie, nie podoba mi się Torkwatus, nie spodziewam się nic dobrego po nim.

— Prawdę powiedziałwszy — odrzekł żołnierz — i mnie się nie podoba; lecz nie zapomnijmy, że jest dopiero neofitą i z czasem przy łasce Bożej może się poprawić.

Przechodząc przez wchodową sień pałacu, słyszeli pomieszanе różne grubiańskie głosy i głośnie śmiechy, a czasem krzyki rozlegające

się w pobliskim ogrodzeniu, gdzie były kwatery maurytańskich strzelców.

Ogień zdawał się płonąć po środku, gdy iskry z dymem latały ponad otaczającymi portykami. Sebastian zaczepił strażnika stojącego w sieni, przez którą przechodzili, i zapytał się:

— Przyjacielu, co się tam dzieje u twoich sąsiadów?

— Czarna niewolnica — odrzekł — która jest ich kapłanką a przyszlą żoną dowódcy, jeśli się wykupi z niewoli, przyszła na jakieś nocne obrządki religijne; ta wrzawa zawsze bywa, ilekroć ona tu przychodzi.

— Doprawdy? — rzekł Pankracjusz — a nie możesz powiedzieć nam, jakiej religii są ci Afrykanie?

— Nie wiem, panie — odrzekł legionista — tyle tylko mogę ci powiedzieć, że są tak zwanymi chrześcijanami.

— Czemu ci się tak zdaje?

— Bo słyszałem, że chrześcijanie schodzą się w nocy, śpiewają okropne pieśni i różnych zbrodni się dopuszczają, że gotują i jedzą dziecko w tym celu zamordowane¹⁾ i tu coś podobnego dziać się musi.

— Dobranoc, przyjacielu — rzekł Sebastian, a potem wychodząc z sieni, rzekł: — Czyż nie dziw, Pankracjuszu, że mimo wszystkie nasze usiłowania, i pomimo pewności, że cześć oddajemy jednemu żywemu Bogu w duchu i prawdzie, a z takim staraniem unikamy skazy grzechowej, iżbyśmy raczej umrzeć woleli, niż jedno słowo nieczyste wymówić; że my po 300

latach istnienia uważani jesteśmy za zwolenników najpodlejszych zabobonów, i że wyznanie nasze w większej jest pogardzie od samego tyle nam obrzydłego bałwochwalstwa. Jak długo jeszcze, o Panie! jak długo!

— Tak długo — rzekł Pankracjusz, zatrzymując się na zewnętrznych schodach sieni i wpatrując się w zachodzący księżyc, — tak długo, póki mamy błakać się przy tym bladym świetle i póki słońce sprawiedliwości nie zaświeci nad naszym krajem w całej swej piękności i nie ozłoci głów naszych swoją światłością. Sebastianie, powiedz mi, skąd ci się wydaje najmiłszym wschód słońca?

— Najpiękniejszy wschód słońca, jakim kiedykolwiek widział — odrzekł żołnierz w odpowiedzi na poetycką przenośnię młodego towarzysza — był wtenczas, gdy słońce ukazywało się z poza wierzchołka góry Lacjalnej¹⁾ i wznosząc się nad górę, rzucało ogromny onej cień jakby piramidę na dolinę daleko ku morzu rozestaną, a gdy się posuwało wyżej, cień się zmniejszał i kurczył, i co chwila nowy przedmiot światło zajmowało; najprzód galary i łódki na morzu, potem wybrzeża z bijącymi falami. Stopniowo zaś białe gmachy jeden po drugim zabłysły od złotych strzał słońca, a nareszcie cały wspaniał. Rzym z wieżami i szczytami kapał się w dziennej jasności. Był to wspaniały widok, jakiego widzieć ani wyobrazić sobie nie mógł, ktoby stał na dole.

— Właśnie o takim wschodzie myślałem, Sebastianie — rzekł Pankracjusz — i tak będzie, gdy jaśniej słońce wzejdzie nad tym krajem, w mroku pogrążonym. Jak pięknie będzie wte-

¹⁾ Takie panowały wyobrażenia o chrześcijańskiej wierze.

¹⁾ Teraz Monte Cavo nad Albano.

dy przypatrywać się kurczącemu się cieniowi i coraz wyraźniej dostrzegać ukryte dotąd piękności naszej świętej wiary, i religię opromienioną światłem uwielbienia, a potem całe miasto cesarzów tą chwałą oblane będzie na święte podobieństwo miasta Chrystusowego. A ludzie żyjący w tych czasach i patrzący czy potrafią godnie tyle piękności ocenić? lub może do ciemnoty przywykli, zasłonią oczy rękoma, aby wzrok uchronić przed nagłą jasnością? Nie wiem, dlaczego, Sebastianie, lecz mam niezachwianą nadzieję, że ty i ja spoglądać będziemy na ten wspaniały widok z tego miejsca, skąd jedynie może być godnie oceniony, z góry wyższej od góry Jowisza, czy Albańskiej, czy Olimpijskiej, mieszkając na tej górze, na której stoi Baranek, od którego stóp spływa strumień żywota.

Szli dalej w milczeniu pośrodku oświetlonych ulic i gdy zbliżywszy się do domu Lucyny, serdecznie życzyli sobie dobrej nocy, Pankracjusz zatrzymał się jeszcze i powiedział:

— Sebastianie, powiedziałeś dziś wieczór pewną rzecz, którą bardzo pragnąłbym zrozumieć.

— Co takiego?

— Gdyś się układał z Polikarpem o wyjechanie do Kampanii lub pozostanie w Rzymie, obiecałeś w razie gdybyś mógł zostać, że będziesz ostrożniejszy i że się nie będziesz wystawiał niepotrzebnie na niebezpieczeństwa. Potem dodałeś, że masz na myśli zamiar, który cię tu koniecznie przytrzymuje. Lecz gdy go wypełnisz, trudno ci przyjdzie oprzeć się gwałtownemu życzeniu oddania życia za Chrystusa.

— I dlaczego, Pankracjusz, pragniesz tak bardzo wiedzieć tę myśl moją, tak mało ważną.

— Dlatego, że jestem w istocie ciekawym, jaki może być przedmiot tak wzniosły, aby przeważał w tobie pragnienie tego, co uważasz za najwyższe szczęście dla chrześcijanina?

— Żal mi, drogi chłopcze, że ci tego nie mogę teraz powiedzieć. Lecz dowiesz się kiedyś.

— Obiecujesz mi?

— Najsolennie. Bóg z tobą.

ROZDZIAŁ XL

Rozmowa z czytelnikiem.

Ze zwyczajnego, bardzo skróconego wykładu historii pierwszych czasów Kościoła łatwo możemy powziąć mylne wyobrażenie o dziejach pierwszych chrześcijan. I to podwójnie mylne.

Możemy wyobrazić sobie, iż podczas trzech pierwszych wieków Kościół cierpiał nieustanne prześladowania, że wierni czcili Boga w ciągłej bojaźni i drzeniu, i ledwie, że nie mieszkali w katakumbach, że wiedli życie pozbawione wszelkiej sposobności zewnętrznego rozwijania się lub wewnętrznego urządzenia, nie mówiąc już o zupełnym braku świetności, i że to było w tych wiekach jedynym życiem Kościoła; wkońcu, że ten przeciąg czasu był pasmem cierpień i niepokojów, nieprzerwanych żadną chwilą pociechy i wytchnienia. Z drugiej strony dzielą niektórzy te trzy wieki na dziesięć osobnych dłuższych i krótszych prześladowań,

poprzegradzanych przestankami zupełnego wypoczynku.

Te wyobrażenia są mylne.

Od czasu, jak prześladowanie rozpoczęło się dla Kościoła, można rzec nigdy zupełnie nie ustało, aż do chwili ostatecznego uspokojenia za Konstantyna. Wyrok prześladowania, raz wydany przez cesarza, rzadko kiedy był odwoływany, i chociaż te lub owe, mniej lub więcej okrutne obostrzenia mogły stopniowo słabnąć lub ustawać za wstąpieniem na tron mniej srogiego monarchy, wszakże nigdy za literę zupełnie martwą uważane nie były, a w rękach gubernatorów prowincji i miast, okrutnych lub gorliwych urzędników, były zawsze gotową i niebezpieczną bronią. Stąd w przerwach między większymi ogólnymi prześladowaniami, nakazanymi nowym edyktem, widzimy tylu męczenników, zawdzięczających palmy swoje albo ludowym rozruchom, albo nienawiści miejscowych rządców ku wierze chrześcijańskiej. Stąd też czytamy o prześladowaniu, na wielkie rozmiary prowadzonym w jednej części państwa w tym samym czasie, kiedy inne kraje rzymskie zażywały zupełnego pokoju.

Może przykłady, wybrane z pomiędzy rozlicznych faz prześladowania, lepiej objaśnia prawdziwy stosunek Kościoła do cesarstwa, niżeli długa w tym przedmiocie rozprawa.

Trajan nie należał wcale do sroższych cesarzów, przeciwnie, był nadzwyczaj sprawiedliwy i litościwy. A przecież, chociaż nie wydawał nowych edyktów przeciw chrześcijanom, wielu świętych męczenników, a między nimi św. Ignacy, biskup antiocheński, i św. Symeon

w Jerozolimie krew przelali na świadectwo Pana pod panowaniem tego cesarza.

A gdy Pliniusz młodszy zapytał cesarza, w jaki sposób ma się obchodzić z chrześcijanami, którychby stawiono przed nim, jako gubernatorem Bitynii, Trajan dał mu odpowiedź, zdradzającą wcale niski stopień jego sprawiedliwości, mianowicie, że nie należy poszukiwać chrześcijan, lecz oskarżonych powinien karać.

Hadrian, który nigdy nie wydał rozkazu ogólnego prześladowania, podobną dał odpowiedź na podobne zapytanie Sereniuszowi Granianowi, prokonsulowi Azji.

Za panowania i nawet za własnym Hadriana rozkazem nieustraszona Symforosa matka z siedmiu synami poniosła okrutną, męczeńską śmierć w Tibur czyli w Tivoli. Z pięknego napisu, znalezionej w katakumbach, dowiadujemy się o młodym oficerze Mariuszu, który przelał krew za Chrystusa. A św. Justyn męczennik, wielki apologeta chrześcijaństwa, powiada, że winien nawrócenie swoje stałości męczenników za tego cesarza.

Podobnie przed wydaniem srogich ukazów cesarza Septyma Sewera wielu chrześcijan cierpiało męki i poniosło śmierć. Do tych należą sławni męczennicy w afrykańskim mieście Scillita, dalej święte Perpetua i Felicita z towarzyszkami. Akta tych męczeństw, zawierające dzienniki szlachetnej dumy dwudziestoletniej męczennicy Perpetuy pisane przez nią samą aż po dzień śmierci, są dla nas jedną z najbardziej rozczułających i najpiękniejszych pamiątek dawnego Kościoła.

Z tych historycznych faktów jest widoczne, że gdy czasami powstało sroższe i ogólne prze-

śladowanie chrześcijan w całym państwie, trafiały się miejscowe i chwilowe przerwy, a czasem nawet ogólne wytchnienia dla prześladowanych. Przypadek tego rodzaju dostarcza nam bardzo zajmującego przykładu, będącego w związku z tą powieścią. Gdy prześladowanie Sewera ustało, w innych częściach państwa Scapula, prokonsul Afryki, nie przestał prześladować z uporczywym okrucieństwem. Skażał między innymi, Mawilusa z Adrumetum, na pożarcie bestiom, gdy w tym wpadł w ciężką chorobę. Tertulian, najdawniejszy z chrześcijańskich łacińskich pisarzy, napisał do prokonsula, aby korzystał z tego napomnienia i żałował za zbrodnię, przypominając mu sądy Boże, spełnione na tych okrutnych prześladowcach chrześcijan w różnych częściach świata. Taka zaś była miłość u tych świętych ludzi, że gdy pisał Tertulian, wszyscy się gorąco modlili o wyzdrowienie nieprzyjaciela.

Dalej uczył prokonsula Tertulian, jak może bardzo wiernie wypełniać powinności, nie dopuszczając się okrucieństw i postępując tak, jak wielu innych sędziów. Naprzykład Cincius Sewerus poddawał oskarżonym, co mieli mówić, aby się uniewinnić. Wespronius Kandidus uwolnił chrześcijanina na tej zasadzie, że śmierć jego wznieciła by gwałty publiczne. Asper, widząc chrześcijanina bliskiego odstąpienia wiary przy zbyt ciężkich mękach, kazał mąk poprzestać i głośno żałował, że był świadkiem podobnego wypadku. Pudens, czytając akt oskarżenia, oświadczył, że zawiera kłamliwe oskarżenie, jest za tym nie ważny, i podarł pismo.

Widzimy więc, jak wielce zależało od usposobienia charakteru gubernatorów i sędziów zastosowanie, a czasem i obostrzenie prześla-

dowczych ukazów cesarskich. A święty Ambroży opowiada nam, jak niektórzy gubernatorowie chwalili się, iż z prowincji swoich z orężem krwią nie skalanym powrócili.

Łatwo więc możemy pojąć, dlaczego czasem uporczywe prześladowanie panuje w Galii, Afryce lub Azji, gdy główna część Kościoła kwitnie w pokoju.

Lecz nigdzie tak często jak w Rzymie duch prześladowczy nie wybuchał: tak dalece, że można uważać za przywiliej, papieżom właściwy podczas trzech pierwszych wieków, że stwierdzali krwią swoją wiarę, której nauczali. Każdy nowo obrany papież był przyszłym męczennikiem.

W czasie naszego opowiadania Kościół odpoczywał w jednym z tych dłuższych przeciągów pokoju, dających sposobność do wielkiego rozwinęcia. Od śmierci Waleriana r. 268, nie było znacznego prześladowania, chociaż te lata uświetniło niejedno męczeństwo. W takich epokach chrześcijanie mogli wyznawać swobodnie swą wiarę i spełniać obrzędy przy pewnej zewnętrznej, nawet wspaniałości. Miasto podzielone było na dzielnice, czyli parafie; w każdej parafii był kościół obsługiwany przez księży, diakonów i niższego stopnia kleryków. Wspieraniem ubogich, odwiedzeniem chorych, nauczaniem katechumenów, udzielaniem św. Sakramentów, odprawianiem codziennego nabożeństwa, przestrzeganiem kanonów pokutnych, trudniło się duchowieństwo każdego stopnia, jak też i zbieraniem jałmużn na podobne cele, będące, w związku z pobożnością, miłosierdziem i gościnnością. Zapisane jest, że r. 250 podczas papieństwa Korneliusza w Rzymie, 46 księży i 154 niższego stopnia duchow-

nych utrzymywanych było z jałmużn wiernych, razem z 1500 ubogimi.

Ta liczba księży zgadza się dosyć z liczbą ówczesnych kościołów rzymskich, o których mówi św. Optatus. Chociaż groby męczenników w katakumbach nie przestawały być przedmiotem nabożeństwa w spokojniejszych czasach, i chociaż te schronienia prześladowanych utrzymywane były w dobrym stanie i porządku, nie były wszakże używane do zwyczajnych nabożeństw. Kościoły, o których już mówiliśmy, często bywały publiczne, obszerne, a nawet wspaniałe; poganie nawet przychodzili na kazania i obrządki te, do których liturgia przepuszczała katechumenów pozwalając.

Lecz częściej jeszcze mieściły się kościoły w prywatnych domach, zapewne przerabiane z tych dużych sal, czyli trykliniów, znajdujących się w każdym bogatszym domu. I taki był, jak nam wiadomo, początek wielu kościołów rzymskich.

Tertulian wspomina o chrześcijańskich cmentarzach pod taką nazwą i z takimi szczegółami, że można wywnioskować, że były na powierzchni ziemi, bo przyrównywa te cmentarze do boisk, które w owym czasie w Italii miały być pod gołym niebem.

Zwyczaj jeden w pożyciu dawnych Rzymian wytłumaczy pytanie, jakie sobie każdy może zadać, jakim sposobem wielka liczba wiernych mogła się gromadzić w takich kościołach, nie ściągając na siebie uwagi, a zatem prześladowania? Co rano w każdym większym domu odbywało się ranne przyjęcie; pan domu, otoczony sługami i klientami, przypuszczał do siebie niektórych posłańców od przyjaciół, niewolników lub wyzwolenców, gdy jednocześ-

nie inni posłańcy sprawiali się sługom pałacowym ze zleceń swoich i nie przestąpiwszy progów wewnętrznych, oddalali się. Tym sposobem wiele bardzo osób po wielkich domach mogło wchodzić i wychodzić wraz z tłumem niewolników, handlarzy, i innych mających codziennie wstęp dozwolony, to głównym wejściem, to tylnymi drzwiami, nie ściągając na siebie wielkiej lub prawie żadnej uwagi.

Inne jeszcze ważne bardzo zjawisko w społeczeństwie pierwszych chrześcijan wydałoby nam się zupełnie nie do uwierzenia, gdyby nie było potwierdzone wiarygodnymi aktami męczenników i tradycją kościelną. A tym zjawiskiem jest tajemnica, jaką się umieli otaczać.

Jest rzeczą niewątpliwą, że osoby, żyjące w najwyższym towarzystwie, piastujące najwyższe w kraju urzędy i zbliżone do osoby cesarskiej, wiarę chrześcijańską wyznawały, nie obudzając posądzenia nawet w najpoufalszych przyjaciółach w pogaństwie trwających. Co większa, trafiało się, że najbliżsi krewni w tym względzie w zupełnej zostawali nieświadomości. Ani kłamstwo, ani udawanie, a tym mniej uczynki niezgodne z chrześcijańską moralnością i prawdą nie były dozwolane dla utrzymania tajemnicy. Lecz nie zaniedbywano żadnych ostrożności, byleby zgodnych z najzupełniejszą rzetelnością, dla ukrywania wiary chrześcijańskiej przed okiem niewiernych.

Jakkolwiek potrzebne było tak ostrożne postępowanie dla uniknięcia zbyt częstego prześladowania, wszakże ciężko w skutkach swoich dawało się czuć zachowującym tajemnicę. Świat pogański, świat bogactw i potęgi, wpływów i wysokich stanowisk, świat, który nadawał prawa i stosował się do nich podług upo-

dobania swego, świat ubóstwiający ziemskie szczyście, a nienawidzący wiary, czuł się otoczonym, przesiąkniętym, przepelnionym tajemniczą religią, która się rozszerzała nie wiedząc jak, i wywierała wpływ, którego źródła nikt nie znał. Rodzice ze zgrozą odkrywali, że syn lub córka przyjęli to nowe prawo, z którym ani się domyślali, aby byli w tak bliskim zetknięciu, a które według powszechnych wyobrażeń uważano za głupie, podłe i społecznie przewrotne.

Stąd nienawisć ku wierze chrześcijańskiej zarówno polityczna jak religijna. Świat chrześcijański uważany był za nie rzymski, przeciwny w dążnościach swoich rozszerzaniu się i powodzeniu państwa, i jako podległy niewidzialnej obcej potędze. Chrześcijanie uznani zostali za „niewiernych cesarzom” i to wystarczyło. Stąd spokojność i bezpieczeństwo chrześcijan wielce zależały od usposobienia ludu; gdy demagog lub fanatyk zdołał lud podburzyć ani uniewinnienie się z narzuconych przewinień, ani w cichości pędzone życie, ani prawa obywatelskie nie mogły zasłonić chrześcijan przed swawolą prześladowców.

ROZDZIAŁ XII.

Wilk i lis.

Rady afrykańskiej niewolnicy nie poszły w las dla chciwego Korwina. Jej własna nienawisć ku chrześcijanom stąd pochodziła, że pani, do której pierwiej należała, przeszedłszy na wiarę chrześcijańską, uwolniła wszystkich

swoich niewolników z wyjątkiem Afry. Wiedząc ta pani, jak szkodliwą mogłaby być puszczona na wolność osoba tak niebezpiecznego charakteru, jak Afra, albo raczej Jubala, tak się właściwie Afrykanka zwała, odstąpiła ją innej pani.

Korwin nieraz widywał Fulwiusza w łaźniach i innych publicznych miejscach i zazdrośnie podziwiał piękną powierzchowność jego, strój i wymowę. Lecz dla niezgrabnej dzikości swojej i ponurego usposobienia, nigdy nie byłby się odważył zacząć Fulwiusza, gdyby nie był odkrył, że choć więcej wykształcony, nie ustępował mu w przewrotności. Fulwiusza dowcip i rozum a zwierzęca siła i nieczuła obojętność Korwina mogły być bardzo przydatne dla obu.

Korwin miał młodego cudzoziemca w mocy swojej od chwili, w której poznał prawdziwy jego charakter. Postanowił więc gwałt sobie zadać i wejść w porozumienie z tym człowiekiem, który nie będąc sprzymierzeńcem, mógłby się stać niebezpiecznym dla niego współzawodnikiem.

Około dziesięciu dni po schadzce wyżej opisanej Korwin szedł ku ogrodowi Pompejusza. Te ogrody otaczały teatr Pompejusza w pobliżu teraźniejszego placu Farnese. Za panowania Nerona ogień pochłonął tak zwaną scenę, część gmachu, którą później Dioklecjan z wielką wspaniałością odnowił. Ciemne ulice klonowe, posagi dzikich zwierząt, fontanny, strumyki obficie zdobiły te ogrody, po których wąż się, Korwin zoczył Fulwiusza i zbliżył się do niego.

— Czego chcesz ode mnie?—zapytał cudzo-

ziemieć, spoglądając z zadziwieniem i pogardą na brudną odzież Korwina.

— Chcę z tobą pomówić, może dla twego dobra... i dla mego.

— Cóż ty mi możesz powiedzieć w moim interesie? Że w twoim, o tym nie wątpię.

— Fulwiuszu, jestem szczerym człowiekiem i nie mam na myśli ubiegać się z tobą o rozum i polor; lecz powiadam ci: jesteśmy jednego rzemiosła, a zatem i jednej myśli.

Fulwiusz wzdrygnął się i mocno zarumienił. Potem rzekł pogardliwym tonem:

— Co sobie myślisz, hultaju?

— Jeśli ściskasz pięść — odrzekł Korwin — aby pokazać piękne pierścienie na delikatnych palcach, to bardzo ładnie. Lecz jeśli myślisz grozić silniejszemu, dam ci dobrą radę: schowaj rękę napowrót w fałdy wspaniałej togi, a tak bardziej do twarzy ci będzie.

— Skończ odrazu. Pytam powtórnie, co sobie myślisz?

— Myślę Fulwiuszu — szepnął mu do ucha — że jesteś szpiegiem i donosicielem.

Fulwiusz odskoczył pomieszany, lecz opamiętawszy się, rzekł:

— Skąd masz prawo znieważać mnie haniebnym oszczerstwem?

— Odkryłeś — rzekł z mocnym przyciskiem — spisek na wschodzie, a Dioklecjan...

Fulwiusz przerwał mu i zapytał:

— Jak się nazywasz? Kto jesteś?

— Nazywam się Korwin, jestem synem Tertulusa, prefekta miasta.

To objaśnienie za wszystkie inne starczyło i Fulwiusz rzekł łagodniejszym tonem, jakby zwyciężony:

— Dosyć na teraz; widzę zbliżających się

znajomych. Jutro przede dniem przyjdź przebrany na ulicę Patrycjuszów, znajdziesz mnie pod portykiem łaźni Nowatusa. Pomówimy z sobą do woli.

Korwin powrócił do domu, zadowolony z pierwszego kroku swego na drodze dyplomacji: wziął od jednego z niewolników ojca odzież bardziej obdartą od swojej i z pierwszym brzaskiem dnia udał się na naznaczone miejsce. Długo czekał i tracił już cierpliwość, gdy ujrzał zbliżającego się Fulwiusza.

Fulwiusz okryty był szerokim płaszczem z kapturem na twarz spuszczoneym. Tak przywitał Korwiną:

— Dzień dobry, przyjacielu, obawiam się, czym cię zbyt długo nie wystawił na chłód zimnego poranku, zwłaszcza żeś niezbyt ciepło ubrany.

— Przyznaję — odrzekł Korwin — że byłbym zmęczony, gdyby mnie nie był ubawił dziwny widok, jaki miałem przed sobą.

— Cóż to było?

— Oto bardzo rano, domyślałem się, że jeszcze przed moim przyjściem, schodzili się tu ze wszystkich stron i wchodzili do tego domu jtylnymi drzwiami od wąskiej uliczki przeróżni nędzarze, najradszy zbiór dziwolągów, jakich sobie wystawić możesz, ślepi, kulawi, ułomni, zgrzybiali, garbaci wszelkiego kształtu, gdy przednimi drzwiami wchodziły osoby zupełnie innego stanu.

— Czyje to mieszkanie, nie wiesz? Zdaje się duży, stary dom prawie opustoszały.

— Należy do bardzo bogatego i jak mówią do bardzo skąpego starego patrycjusza. Lecz patrz, oto idą znowu tacy, jak pierwsi.

W tej chwili bardzo słaby człowiek wie-

kiem pochyłony zbliżał się wsparty na ramieniu młodej i wesołej dziewczyny, która wspierając starca, mile rozmawiała.

— Oto już jesteśmy u celu — mówiła do niego — jeszcze parę kroków, a siądziesz sobie i wypoczniesz.

— Dziękuję ci, moje dziecko — odrzekł biedny staruszek — jaka dobroć twoja, tak rano po mnie przychodzić!

— Widziałam — rzekła — że ci trzeba pomocy, a że jestem najmniej użyteczną z równiennic moich, pomyślałam, że powinnam pójść po ciebie i przyprowadzić cię.

— Słyszałem zawsze, że ślepi są nieużyteczni i to się zdaje bardzo naturalne; lecz ty, Cecyljo, niezawodnie jesteś wyjątkiem.

— Wcale nie, tylko to jest mój sposób dogadzania sobie.

— Jakto?

— Najprzód korzystam z twoich oczu i sprawiam sobie przyjemność, służąc ci za podporę. „Byłem okiem ciemnych”, to ty jesteś; „a nogą kulawych”, to ja.

Dochodzili do drzwi, gdy te słowa mówiła.

— Ta dziewczyna jest ślepa — rzekł Fulwiusz do Korwina. — Czy uważasz jak prosto idzie, nie zbaczając ani w lewo, ani w prawo?

— Tak jest — odrzekł Korwin — ale wszakże to nie jest miejsce, o którym tak często słyszeć można, gdzie się dziady schodzą, a ślepi widzą, kulawi chodzą i wszyscy razem ucztę wyprawiają. Lecz uważałem, że ci ludzie zupełnie się różnią od żebraków na moście w Aricia¹⁾. Zdają się do rzeczy i nawet

¹⁾ Miejsce znane w pobliżu Rzymu z natarczywości i piskliwości żebraków.

weseli; a żaden, przechodząc, nie prosił mnie o jałmużnę.

— Bardzo to dziwne i pragnąłbym zgłębić tę tajemnicę. Możeby się tu co dobrego dla nas nawinęło. Stary patrycjusz, jak powiadasz, bardzo bogaty?

— Niezmiernie.

— Hm! jakby się tam dostać można?

— Wiem sposób! Zdejmę obuwie, skurczę nogę jak kulawy i wmieszam się w pierwszą gromadę dziadów, jaka nadejdzie, i śmiało wejść, tak się zachowując, jak oni.

— To się łatwo nie uda, bo któż wie, czy każdy z nich nie jest znany w tym domu.

— Pewny jestem, że nie, bo wielu z nich pytało się, czy to jest dom Agnieszki.

— Czyj? — zapytał Fulwiusz zdziwiony.

— Czemuż tak patrzysz — rzekł Korwinus. — To dom jej rodziców; lecz ona więcej znana, aniżeli rodzice, jako młoda i posażna panna, prawie tak bogata jak krewna jej Fabiola.

Domysł zbyt przenikliwy i ważny, aby się mógł Fulwiusz zwierzyć przed podłym towarzyszem, zabłysnął mu przed oczyma; po chwili milczenia rzekł więc do Korwina.

— Jeśliś pewny, że ci ludzie nie są wszyscy znani w domu, spróbuj plan swój wykonać. Znam panią domu skądinąd i odważę się wejść przednimi drzwiami. A tak na dwa sposoby może nam się udać.

— Czy wiesz, co ja myślę, Fulwiuszu?

— Coś bardzo mądrego bezwątpienia.

— Myślę, że gdy ty i ja usiłowania nasze ku jednej skierujemy sprawie, zawsze możemy mieć podwójną nadzieję powodzenia.

— Jakto?

— Jak wilk i lis, gdy razem owcom wojnę wydadzą.

Fulwiusz przeszył towarzysza pogardliwym okiem, na co Korwin odpowiedział szkaradnym spojrzeniem, i rozeszli się każdy na swoje stanowisko.

ROZDZIAŁ XIII.

Miłosierdzie.

Rodzice Agnieszki z dawnego i szlachetnego pochodzili rodu, i nawrócenie ich nie było świeże, gdyż od kilku pokoleń wiara wyznawana była w ich domu.

Jak w pogańskich rodzinach czczono pamięć przodków wstawionych tryumfem lub sprawowaniem najwyższych w kraju urzędów, tak w tej rodzinie i innych chrześcijańskich przechowywano z pobożnym uszanowaniem i miłości pełną chlubą pamięć krewnych, którzy w ostatnich dwóch wiekach i dawniej zdobywali palmy męczeńskie lub ozdobieni bywali wyższymi godnościami w Kościele. Chociaż nieustający potok krwi płynął za Chrystusa z gałęzi rodowego drzewa, samo drzewo tą krwią uszlachetnione stało nieścięte, przeżywszy niejedną burzę. Może się to wydać zadziwiającym, lecz jeśli się zastanowimy, jak wielu żołnierzy odbywa całą kampanię i częste utarczki, nie odniósłszy rany, lub jak wiele rodzin Bóg ochroni nieraz przed ogólną plagą, wtedy nie będziemy się dziwili, że Opatrzność czuwała nad Kościołem, przechowując przez pokolenia dawnych rodzin łańcuch niezerwany pamiętek, dając wiernym sposob-

ność wyznania: „że gdyby nam Pan Zastępów wzrastać i mnożyć się nie dozwolił, zginęlibyśmy jak Sodoma, przepadlibyśmy jak Gomora”.

Wszystkie zaszczyty i nadzieje tej rodziny spoczywały teraz na ostatnim i jedynym potomku tego starożytnego rodu, na Agnieszce, której imię znane już czytelnikom naszym.

Przyszedszy na świat, gdy rodzice nie śmieli już spodziewać się potomstwa, obdarzona była słodkim, i tak giętkim i pojętnym umysłem, taką prostotą i niewinnością serca, że od kolebki stała się przedmiotem miłości, a nawet poszanowania całego domu, począwszy od rodziców, aż do ostatniego sługi. I nic nie zdawało się psuć ani nadwierać niezachwianej cnoty; przeciwnie, przymioty jej rozwijały się w pełnym harmonii postępie, a gdy nam ją niniejsza powieść okazuje w latach jeszcze tak młodziuchnych, łączy się w jej osobie wdzięk z dojrzałą już mądrością. Dzieliła wszystkie cnotliwe zajęcia rodziców, równie mało światu oddana, jak oni. Mieszkała z rodzicami w małej części domu, urządzonej dostatnio, ale bez przepychu, i to pomieszkanie zastosowane było do wszystkich jej potrzeb. Tam przyjmowali kilku przyjaciół, z którymi zostawali w bliższych stosunkach; a że niewiele przyjmowali i mało odwiedzali, liczba tych przyjaciół nie była wielka. Fabiola należała do tych rzadkich gości, chociaż Agnieszka wołała widywać się z nią w jej własnym domu, i nieraz Fabiola wyrażała młodej przyjaciółce pragnienie, aby Agnieszka, wstępując w stosowne małżeństwo, odświeżyła i otworzyła wspaniałe pokoje domu swego. Bo mimo dawne prawo „przeciw dziedziczeniu kobiet”, Agnieszka odzie-

dziczyła po dalszych krewnych wielkie bogactwa w dodatku do rodzicielskiego majątku.

W ogólności też świat pogański, odwiedzający ten dom, przypisywał skromne życie skąpstwu, mniemając, że ogromne bogactwa gromadzą rodzice, i że poza kutymi drzwiami, zamkniętymi wewnątrzne podwórze, cały gmach jest tylko rudera. Tymczasem wcale tak nie było. Wewnętrzna część domu, to jest duża sień, ogród z osobną salą jadalną, obrócona została na kościół, a wyższa część domu, do której się z kościoła dostać można było, poświęcona sprawowaniu niewyczerpanej dobroczynności, którą kościół zarządzał, jako własnym swoim wydziałem. Ten zarząd zostawał pod dozorem i przewodnictwem diakona Reparata i jego egzorcysty Sekundusa, urzędowo naznaczonych przez Ojca św. do opatrywania ubogich, chorych i podróżnych w jednej z siedmiu dzielnic, na które papież Kajus około pięciu lat pierwej w tym celu podzielił miasto, powierzając każdą jednemu z siedmiu diakonów Kościoła rzymskiego.

Osobne pokoje przeznaczone były do przyjmowania wędrowców, poleconych przez inne kościoły i skromny stół był zawsze dla nich nakryty.

Pokoje na piętrze użyte były na szpital dla chorych i starców pod zarządem diakonisek i niektórych wiernych, poświęcających się miłosierdnym posługom. Tu ślepa dziewczyna miała swój pokój, chociaż nie chciała przyjmować przeznaczonego sobie pożywienia, jakieśmy pierwej widzieli.

Tablinum, czy archiwum, stało jak zwyczajnie osobno na środku wewnętrznego podwórza i służyło w tym domu jako biuro do załatwia-

nia interesów chrześcijańskiej miłości i jako archiwum do przechowania dokumentów, jak np. akta męczenników złożone i uporządkowane przez przynależnego do tej dzielnicy jednego z siedmiu notariuszów, ustanowionych w Kościele rzymskim od św. Klemensa I.

Drzwi pomiędzy dwiema częściami domu dozwalały osobom domowym brać udział w tym miłosierdnym zajęciu. Agnieszka przyzwyczajona była od dzieciństwa przybiegać i wybiegać kilkanaście razy na dzień i godziny całe przesiadywała w tym miejscu, zawsze jak anioł światła promieniejąca pociechą i weselem dla cierpiących i nieszczęśliwych.

Dom ten może więc być nazwanym domem jałmużniczym dzielnicy miłosierdzia i gościnności, do której należał, i z tej przyczyny był wstęp do niego przez tylne drzwi, wychodzące na wąską uliczkę mało uczęszczaną.

Nie dziw, że tym sposobem bogactwa panów tego domu łatwo się rozchodziły. Słyszeliśmy prośbę Pankracjusza, ale Sebastian zajął się rozdaniem sreber i klejnotów między ubogich bez wymienienia dawcy.

Nie zapomniał Sebastian o tym zleceniu i obrał dom Agnieszki jako najstosowniejszy do wykonania zamiaru. Tego samego poranka, któryśmy opisali, miało się odbyć rozdanie; inne dzielnice poprzysyłały swoich ubogich pod przewodnictwem diakonów, a Sebastian, Pankracjusz i inne osoby wyższego stanu weszły przednimi drzwiami, aby być przytomnymi rozdawaniu. Niektóre z tych osób widział Korwinus, gdy wchodziły.

ROZDZIAŁ XIV.

Przeciwieństwa się stykają.

Zbliżająca się do drzwi gromada pół nagich dała sposobność Korwinowi przyczepić się do nich z podobieństwem najdokładniejszym we wszystkim, wyjawsz skromność ułożenia. Szedł za nimi dość zbliśka, aby słyszeć, że każdy wchodząc, mówił: „Deo gratias”, (dzięki Bogu). Było to poganom znane katolickie powitanie, a św. Augustyn powiada, że heretycy drwili z tego zwyczaju katolików, utrzymując, iż to nie powitanie, ale raczej odpowiedź; katolicy zaś wierni zostali zwyczajowi, uświęconemu pobożnym używaniem, i dotąd można słyszeć we Włoszech słowa te w podobnym wypadku.

Korwin wymówił je i wpuszczono go. Postępując za drugimi i naśladować, ile mógł, ich ułożenie i ruchy, wszedł do wewnętrznego dziedzińca już zapelnionego ubogimi i kalekami. Mężczyźni stali po jednej stronie, kobiety po drugiej. Na końcu pod portykiem były stoły zastawione kosztownymi naczyniami i klejnotami. Dwaj złotnicy ważyli i oceniali najsumienniejszą każdą sztukę, a obok nich leżały pieniądze, którymi płacili za te kosztowności, ale były sprawiedliwie podzielone i rozdane pomiędzy ubogich.

Korwin chciwym okiem spoglądał na te bogactwa; chętnie byłby wszystkie zagarnął, i namyślał się, czyby choć części nie pochwycić i nie uciec. Lecz odrazu zmiarkował, jak nierozsądny i szalony byłby czyn podobny i postanowił czekać na wydzieloną sobie część i zarazem przyglądać się wszystkiemu, aby

Fulwiuszowi zdać sprawę. Niebawem wszakże spostrzegł, w jak trudnym znalazł się położeniu. Póki ubodzy wszyscy razem przechodzili się tu i owdzie, nikt na Korwina nie zważał. Wkrótce jednak zobaczył kilku młodzieńców szczególnie miłego ułożenia i widocznie pewną władzę piastujących, ubranych w suknię, znaną mu pod imieniem dalmatyki, iż pochodziła z Dalmacji, to jest na tunice, zamiast togę, mieli obcisłą krótszą tunikę, z wolnymi lecz nie długimi i nie bardzo szerokimi rękawami; strój ten przyjęty i noszony był przez diakonów nie tylko przy uroczystych obrządkach kościelnych, lecz także przy wypełnianiu podrzędnych powinności koło chorych i ubogich.

Ci diakoni przechodzili się i rzędem ustawiali ubogich; każdy, znając widocznie biednych swej dzielnicy, prowadził ich w jedno miejsce wewnątrz portyku. A ponieważ żaden diakon nie znał Korwina, ani nie uznał za swego, wkrótce Korwin pozostał sam na środku dziedzińca. Nawet z zakutą głową swoją ocenił dziwaczne położenie, w które się wplątał. On, będąc synem prefekta miasta, którego powinnością karać gwałcicieli praw domowych, stał tutaj w najgłębszym zakątku patrycjuszowskiego domu, wszedłszy podstępem w żebraczy odzieniu i przyłączywszy się do gromady żebraków, prawdopodobnie w zbrodniczych, a przynajmniej nieprawych zamiarach. Spoglądał ku drzwiom, myśląc o ucieczce; lecz przy drzwiach stał podeszłego wieku człowiek imieniem Diogenes, z dwoma silnymi synami, którzy z trudnością powstrzymywali burzącą się krew na zuchwalstwo podejrzanego gościa; lecz tylko po ściągniętych wargach poznać można było ich oburzenie.

Postrzegł Korwin, że był przedmiotem narady pomiędzy młodymi diakonami, którzy z boku na niego spoglądali; zdawało mu się, że nawet ślepi oczy w niego wlepiają, a że kula wi gotowi podpory swoje na jego głowę podnieść. Jedną tylko miał pociechę: pewnym był, że go nikt nie zna, spodziewał się więc, że za pomocą zmyślonej bajki wymknie się z pułapki.

Nareszcie diakon Reparatus zbliżył się do niego i łagodnie zapytał:

— Przyjacielu, zapewne nie należysz do żadnej z dzielnic tu dzisiaj wezwanych. Gdzie mieszkasz?

— W dzielnicy *Alta Semita*.

Tą odpowiedzią nadmienił Korwin cywilny a nie duchowny podział Rzymu; Reparatus odrzekł wszakże:

— *Alta Semita* należy do mojej dzielnicy, lecz nie pamiętam, abym cię kiedy widział.

Gdy te słowa wymawiał, spostrzegł z zadziwieniem, jak nieznajomy śmiertelnie pobladł i chwiał się na nogach, jakby miał upaść, oczy we drzwi wlepiając. Reparatus spojrzał w tę samą stronę i zobaczył Pankracjusza, który właśnie wchodził i żywo o coś pytał Sekundusa. Znikła ostatnia nadzieja Korwina. W jednej chwili stanął tuż przy nim Pankracjusz (prosząc Reparata, aby się oddalił), podobnie jak tego dnia, w którym się po raz ostatni widzieli, z tą tylko różnicą, że zamiast koła poklaskujących sprzymierzeńców, Korwin otoczony był tłumem bezwątpienia lepiej usposobionych dla przeciwnika. Nie mógł także Korwin nie uważać, jak pięknie od niewielu tygodni rozwinął się i męskiej postawy nabrał dawny szkolny towarzysz. Wyglądał wylewu ostrych

wyrzutów, a może zemsty, jakiejby się sam dopuścił w podobnych okolicznościach.

Jakież było jego zadziwienie, gdy Pankracjusz przemówił najłagodniejszym głosem:

— Korwinie, czy istotnie do takiej nędzy przyszedłeś i kalectwa? I czemu opuściłeś dom rodzicielski?

— Jeszcze niezupełnie tak, jak mi życzysz — odrzekł złośnik, zachęcony do zuchwalstwa uprzejmym zapytaniem — chociaż wiem, żebyś się serdecznie cieszył.

— Wcale nie, wierz mi; nie mam do ciebie urazy. Jeśli więc potrzebujesz pomocy pieniężnej, powiedz mi, i choć nie masz prawa tu się znajdować, mogę cię poprowadzić do osobnego pokoju, i tam wesprzeć cię, a pozostaniesz nieznanym.

— A więc powiem ci prawdę, przyszedłem jedynie dla zabawy, i radbym, żebyś mnie stąd szczęśliwie wyprowadził.

— Korwinie — rzekł młodzieniec nieco surowo — to prawdziwa obraza. Coby twój ojciec powiedział, gdybym kazał tym dwom młodzieńcom, stojącym u drzwi, aby cię wzięli tak jak jesteś boso, w ubraniu niewolnika, udającego kalekę i zaprowadzili do forum przed trybunał ojca i publicznie oskarżyli o przestępstwo, któreby każdego Rzymianina oburzyło, o wkradanie się wewnątrz patrycjuszowskiego domu?

— Na imię bogów! dobry Pankracjusz, nie karz mię w tak okropny sposób.

— Wiesz, Korwinie, że twój ojciec musiałby z tobą postąpić za przykładem Juniusa Brutasa, lub narazić się na utratę urzędu.

— Błagam cię na wszystko, co kochasz, na wszystko, co ci święte, nie okrywaj hańbą mnie i mojej rodziny. Mój ojciec i dom jego upadł-

by i zginął na zawsze. Pójdę na kolanach przeproszać cię za dawne urazy, byleś się zli-tował.

— Dosyć, dosyć, Korwinie; powiedziałem ci, że dawnej nie pamiętam urazy. Lecz słuchaj: wszyscy, prócz ślepych wokoło ciebie, są świadkami twojej winy. Będzie tysiąc dowodów na twoje potępienie. Jeśli więc kiedykolwiek mówić będziesz o tym zgromadzeniu, a tym bardziej, jeśli będziesz chciał komu przez to zaszkodzić, będzie w naszej mocy stawić cię przed sąd twego własnego ojca. Rozumiesz, Korwinie?

— Rozumiem—odrzekł więzień płaczliwym głosem. — Nigdy, jak długo żyć będę, nie powiem żywej duszy, że byłem w tym strasznym miejscu. Przysięgam na...

— Cicho, cicho! nie potrzeba nam takich przysięg. Weź mnie pod rękę i wyjdźmy razem.—A obracając się do stojących wokoło, dodał:—Znam tego człowieka, przez pomyłkę dostał się tutaj.

Widzowie, wziawszy błagalne ruchy i głos mniemanego ubogiego za tym mocniejszy wyraz opowiadanej nędzy i nieszczęścia, oraz usilnej prośby o wsparcie, razem zawołali:

— Pankracjuszu, nie odsyłaj biedaka bez posiłku i wsparcia!

— Zostawcie mnie tę sprawę—odpowiedział.

Straż ochotników u drzwi rozstała się przed Pankracjuszem, który wyprowadził kulejącego ciągle Korwina na ulicę i pożegnał go, mówiąc:

— Korwinie, teraz między nami, zgoda, ale o przyrzeczeniu pamiętaj.

Fulwiusz, jakiegoś powyżej widzieli, próbował szczęścia przednimi drzwiami, które stosownie do rzymskiego zwyczaju, zastał niezam-

knięte, bo któżby przypuszczał u nieznanomego śmiałość przestąpienia szanownych progów o tej godzinie. Zamiast odzwiernego, zastał u drzwi dziewczynkę, mogącą mieć około dwunastu lat, w wieśniaczej odzieży. Nikogo więcej nie widząc, uznał tę chwilę za szczęśliwą sposobność przekonania się o prawdziwości domysłu, który go niepokoił. Zaczepił więc dziewczynę.

— Jak się nazywasz dziecko, i kto jesteś?

— Na imię mi Emerencianna, jestem siostrą mleczną Agnieszki.

— Czy jesteś chrześcijanką? — zapytał podstępnie.

Mała wieśniaczka wytrzeszczyła zdziwione oczy w najgłębszej niewiedomości i odrzekła:

— Nie, panie.

Nie można wątpić o nieudanej prostocie dziewczyny i Fulwiusz był już pewnym, że się omylił.

Emerencjanna była w istocie córką wieśniaczki, dawnej mamki Agnieszki. Ta kobieta niedawno umarła, a dobra Agnieszka posłała po osierocone dziecko, aby je wyuczyć i ochrzcić. Emerencjanna przybyła właśnie na parę dni przed tym porankiem i nic jeszcze nie wiedziała o wierze chrześcijańskiej.

Fulwiusz stał zakłopotany, nie wiedząc co dalej począć. Położenie jego w odosobnieniu równie mu się niemiłym i trudnym wydało, jak Korwinowi w tłumie. Myślał o wycofaniu się lecz tym sposobem straciłby nadzieję nasycenia dręczącej go ciekawości; chciał postąpić naprzód, lecz wstrzymywała go obawa, że się narazi na nieprzyjemności. W tym przykładem położeniu ujrzał idącą ku niemu wzdłuż dziedzińca młodocianą panią domu, wesolą jak

wiosna, jasną jak słońce. Skoro tylko spostrzegła Fulwiusza, zatrzymała się, aby wysłuchać jego żądania, a Fulwiusz zbliżył się z najśłodszym uśmiechem i ukłonem i rzekł:

— Wyprowadziłem zwykłą godzinę odwiedzin i obawiam się, abym się nie wydał pani natrętnym; lecz pilno mi było zapisać się w poczet pokornych klientów waszego szlachetnego domu.

— Dom nasz — odrzekła z uśmiechem — nie szczyci się żadnymi klientami, ani klientów nie szuka, gdyż nie pragniemy wpływów, ani zaszczytów.

— Wybacz pani, ale dom, mający takiego władcę, wywiera wpływ największy; panuje bez oporu nad sercami, niby wiernymi poddanymi.

Niezdolna przypuścić, aby te słowa do niej się ściagały, odrzekła z niewinną prostotą:

— Och, jak prawdziwe słowa twoje! Pan domu tego w istocie panuje nad sercami wszystkich mieszkańców.

— Lecz — przerwał Fulwiusz — ja mówię o tym słodszy panowaniu piękności nad sercami tych, co je zbliżka uwielbiać mogą.

Agnieszka była w zachwycie; oczy jej miały przed sobą zupełnie inny przedmiot, a nie nędznego pochlebę, i z oczyma wzniesionymi ku niebu, zawołała.

— Tak, On, na którego piękność słońce i księżyc patrzą z podziwieniem, On ma przysięgę miłości mojej i wiary.

— Fulwiusz zmieszał się i nie wiedział, co począć. Ogniste spojrzenia i postać w zachwycie, przenikający dźwięk głosu, gdy wymawiała te słowa, ich tajemnicze znaczenie nadzwyczajność całej sceny przykuła go do miejsca, w którym stał, i odebrała mu

mowę; nareszcie czując, że marnuje najlepszą sposobność, jakiejby się mógł spodziewać dla wyjawienia Agnieszce uczuć swoich, odezwał się śmiało:

— O tobie mówiłem i błagam cię, abys wierzyła uwielbieniu i najgłębszemu przywiązaniu mojemu ku tobie.

Wymawiając te słowa, ukląkł, i chciał jej rękę schwycić, lecz panienka odskoczyła z przestraszeniem i odwróciła płonąca twarzyczkę.

Fulwiusz podniósł się nagle, widząc Sebastiana, który, idąc wezwać Agnieszkę do ubogich, zasmuconych ich nieobecnością, szybkim krokiem i z groźną twarzą zbliżał się ku niemu.

— Sebastianie — rzekła Agnieszka — nie gniewaj się; ten pan przyszedł tutaj zapewne przez pomyłkę i oddali się spokojnie.

Mówiąc to, odeszła.

Sebastian ze spokojem rzekł do napastnika, który spuścił oczy pod jego wzrokiem:

— Fulwiuszu, skąd się tu wzięłeś? Co cię tu przywiodło?

— Zdaje mi się — odrzekł, nabierając odwagi — że spotkawszy panią domu w tym samym miejscu co ty, u stołu jej szlachetnej krewnej, mam prawo odwiedzać ją zarówno jak inni dobrowolni klienci.

— Lecz przecie nie o tak niezwykłej godzinie?

— Godzina, stosowna dla młodego żołnierza — odrzekł Fulwiusz zuchwale — jest pewnie stosowną i dla kogo innego.

Sebastian musiał użyć całej mocy nad sobą, aby powstrzymać oburzenie, i powiedział:

— Fulwiuszu! nie unoś się i pamiętaj, że dwie osoby mogą być na zupełnie innej stopie

w jednym domu. Lecz ani nawet najdawniejsza poufała znajomość, a tym mniej chwilowe u stołu poznanie nie może usprawiedliwić zuchwałej twojej napaści na młodą panią tego domu.

— O, jesteś zazdrosnym, zdaje mi się, waleczny żołnierzu! — odrzekł Fulwiusz uszczypliwym tonem. — Mówią, że jesteś pożądanym, jeśli jeszcze nie przyjąłym konkurentem Fabioli, która teraz jest na wsi; i bezwątpienia chcesz sobie zapewnić majątek jednej lub drugiej z najposażniejszych panien w Rzymie. To się zowie mieć dwie cięciwy do jednego łuku.

Ten podły i gorzki żart ubódl do żywego szlachetne serce młodego żołnierza, i gdyby oddawna nie był wyćwiczony w chrześcijańskiej słodyczy, gorąca krew wzięłaby górę nad rozsądkiem.

— Niedobrze dla nas obu, abyś tu dłużej pozostał, Fulwiuszu. Grzeczna prośba szlachetnej pani, którąś obraził, nie była skuteczną; muszę być ostrzejszym wykonawcą jej rozkazu.

To mówiąc, silną dłonią uchwycił rękę nieproszonego gościa i poprowadził go do drzwi. Gdy wyszli z podwórza, Sebastian, nie puszczając go z ręki powiedział:

— Idź teraz, Fulwiuszu, w pokój, i pamiętaj, żeś się dzisiaj naraził niegodnym postępowaniem na surowość prawa. Nie wydam cię, jeśli milczeć będziesz; lecz dobrze, żebyś wiedział, że znane mi jest twoje rzemiosło, a dzisiejsze zuchwalstwo zostanie nad twoją głową, jako zakład milczenia. Teraz powtarzam, idź w pokój.

Lecz zaledwo puścił rękę Fulwiusza, uczuł się z tyłu pochwycyconym przez niewidzialnego,

atletycznie silnego napastnika. Był to Eurotas, przed którym Fulwiusz z niczym się nie tając, wyjawiał zamierzoną schadzke z Korwinem, i który idąc zdala, nie spuszczał z oka pana swego. Od czarnej niewolnicy wiedział Eurotas o podłym i gwałtownym charakterze zwolennika jej czarów i obawiał się zasadzki. Gdy ujrzał zdaleka, jakby walkę u drzwi, przybiegł z cicha, stanął za Sebastianem, przez omyłkę mając go za Korwiną, i objął żołnierza niedźwiedzimi łapami. Lecz trafił na niezwyklego przeciwnika. Nadaremnie usiłował, nawet z pomocą Fulwiusza obalić Sebastiana na ziemię, i nareszcie tracąc nadzieję zwyciężenia w ten sposób, odwiązał od pasa małą lecz śmiertelną broń, pałkę stalową doskonalej syryjskiej roboty i podniósł ją z tyłu nad głowę Sebastiana, gdy nagle wypadła mu z ręki, a on sam, żelazną dłonią młynkiem w powietrze wyrzucony, padł jak długi na środku ulicy.

— Boję się, Kwadratusie, czyś nie uszkodził nieboraka — rzekł Sebastian do centuriona swego, który w tej chwili przychodził do zgromadzonych braci chrześcijan, a był Herkulesowej budowy i siły.

— Zasłużył na to, trybunie, podłą napaścią — odrzekł Kwadratus, wchodząc do domu.

Dwaj pobici cudzoziemcy uszli z miejsca porażki i skręcając na rogu ulicy zobaczyli Korwiną, który już nie kulejąc, uciekał, ile nogi nastarczyć mogły, od nieszczęśliwych tylnych podwoi. Jakkolwiek często spotykali się później, żaden nie wspomniał nigdy o wypadkach tego poranku. Wiedzieli o sobie, że każdy wstydem się okrył i nic nie dokazał, i obaj przekonali się, że jest w Rzymie trzódka, na którą ani wilk, ani lis napaść nie mogą bezkarnie.

ROZDZIAŁ XV.

Znowu miłosierdzie.

Gdy zmieszana chwilowo cisza powróciła, rozdawnictwo dalej się odbywało spokojnie. Oprócz większych jałmużn, jak np. te, które rozdawał św. Wawrzyniec ze skarbu Kościoła, często w pierwszych wiekach całkowite majątki rozdawane były odrazu przez osoby, pragnące świat opuścić.

Słusznie można było spodziewać się, że wzniosłe miłosierdzie Kościoła katolickiego w Jeruzolimie nie zostanie daremnym przykładem dla Kościoła rzymskiego. Lecz tak hojna dobroczynność bardzo naturalnie rozwijała się w czasach, gdy Kościół zagrożony był prześladowaniem i gdy chrześcijanie z położenia i okoliczności przewidując dla siebie męczeństwo, chcieli oczyścić serca i dom, jak do boju, wypróżniając jedno i drugie z wszystkiego, co mogło przywiązywać do ziemi, lub stać się łupem bezbożnych żołnierzy, a miało być raczej wsparciem dla ubogich.

Nie zapominano też przytem o wielkim przykładzie, by światło dobrych uczynków jaśniało przed ludźmi, a ręka, która lampę napelnia, wlewała olej potajemnie, widziana od Tego tylko, przed którym nic ukrytego nie ma. To, że srebra i klejnoty możnej rodziny publicznie oceniano, sprzedawano i pieniądze rozdawano pomiędzy ubogich, musiało być zaprawdę świetnym przykładem dobroczynności, który napelniał Kościół pociechą, zachęcał szczodrych, zawstydział skąpych, wzruszał serca katechumenów, a ubogich do błogosławieństwa i modłów pobudzał. A przecież co prawa ręka czyniła,

to ściśle taila przed lewą, a pokora i skromność dawcy bezpiecznie się ukrywała na łonie Tego, któremu te ziemskie bogactwa były oddane w zamian za przyszłą wieczną i nieskończoną zapłatę.

I tak się też działo teraz. Gdy wszystko było przygotowane, Dionizjusz, kapłan a zarazem lekarz, któremu było powierzono pielęgnowanie chorych, i następca Polikarpa przy kaplicy św. Pasterza, wszedł i zająwszy miejsce w krześle na końcu podwórza, tak przemówił do zgromadzonych:

— Kochani bracia, miłosierny Pan nasz natchnął serce dobroczynnego chrześcijanina, aby się ulitował nad ubogą bracią swoją i poświęcił swe wielkie ziemskie bogactwa dla miłości Chrystusowej. Kto on jest, nie wiem i nie dochodzę. Nie pragnie on przechowywać bogactw swoich tam, gdzie je rdza pożera i gdzie złodzieje skraść je mogą, lecz jak błogosławiony Wawrzyniec chce, aby były zanesione rękami ubogich Chrystusowych do niebieskiej skarbnicy. Przyjmcież więc, jako dar od Boga, który natchnął ten miłosierny uczynek, jałmużnę, którą rozdamy, a która może być użytecznym zasłaniem w zbliżających się czasach nawiedzenia. I wypełniając jedyną prośbę dawcy, zmówmy zwyczajną modlitwę, którą co dzień odmawiamy za tych, co nas wspierają i dobrodziejstwa nam świadczą.

Podczas tej krótkiej przemowy, biedny Pankracjusz nie wiedział, w którą stronę patrzeć. Skrył się w kącie poza słuchaczami, a Sebastian z litości zasłaniał go sobą. Wzruszenie chłopięcia zdradzało go jawnie, gdy wszyscy zgromadzeni, uklękawszy z wyciągniętymi rękami i wzniesionymi oczami, rzewnym i jakby jednym głosem zawołali:

„Racz Panie doprowadzić do życia wiecznego wszystkich, którzy w Twoim imieniu dobrodziejstwa nam świadczą”.

Rozdano wtedy jałmużny, które przewyższyły wszelkie oczekiwanie. Obfite jadło rozdzielono także pomiędzy wszystkich i wesoła uczta zakończyła budującą uroczystość. Wczasy jeszcze było, więc wielu nie spożyło ziemskiego pokarmu, bo słodsza daleko i duchowa uczta gotowała się dla nich w pobliskim parafialnym kościele.

Gdy wszystko było skończone, Cecylia chciała koniecznie odprowadzić biednego paralityka, aby widzieć, jak mówiła, starego kalekę szczęśliwie wypoczywającego w domu; tak wesoło szczebiotała po drodze, dźwigając dobrze naładowaną torbę płócienną nędzarza, że się dziwił staruszek, gdy prędko doszli do drzwi ubogiego, lecz czystego mieszkania. Ciemna przewodniczka wcisnęła mu wtedy w rękę worek i, spiesźnie pożegnawszy, z oczu znikła. Sakwa wydała się starcowi bardzo ciężką, przechował więc starannie pieniądze i z wielkim zdziwieniem spostrzegł, że ma dział podwójny. Za pierwszą sposobnością wywiadywał się u Reparata, lecz się niczego nie dowiedział. Gdyby był widział Cecylię, jak na zakręcie ulicy śmiała się wesoło, że się jej udało podejście, a potem biegła lekko, ciężaru się pozbywszy, byłby z łatwością rozwiązał zagadkę bogactwa swego.

ROZDZIAŁ XVI.

Miesiąc październik.

Miesiąc październik jest uroczą porą we Włoszech. Słońce, mniej gorące, nie straciło jeszcze świetności; mniej dopieka, lecz niemniej

przyświeca. Gdy wstaje zrana, oblewa pięknym światłem budzącą się przyrodę, jak indyjski książę, gdy, nim wejdzie do tronowej sali, rzuca pełne garści drogich kamieni i złota skłaniającym czoło poddanym, a góry nadstawiają skaliste szczyty, lasy niebotyczne powiewają wierzchołkami, niecierpliwie wyglądając królewskich promieni słońca. I gdy przebiegłszy błękitne niebo, dochodzi do kresu, zastaje łoże zasłane miękkim złotem na zachodnim morzu pod baldachimem purpurowych obłoków, lamowanych złocistymi a strzępiastymi frendzlami świetniejszymi od tych, które Ofir dostarczał Salomonowemu łożu; i rozplywa się w ogromnym kole coraz łagodniejszego światła, jakby żegnając nas i przebytą drogę; lecz wkrótce po zejściu swoim przysyła z innego świata błogimi odwiedzinami uradowanych — jasnych gońców, aby nam zwiastowali, że wkrótce powróci monarcha i znowu uszczęśliwiać nas będzie. Jeśli mniej gorące są promienie jesienne, bez wątpienia bogatsze są i dobroczynniejsze.

Kilka miesięcy potrzeba było, aby wyschnięta i pomarszczona winna latorośl najprzód zielone wypuściła listki, potem zwite wątle pączki, na koniec małe gronka twardych i kwaśnych jagód, których wzrost niezmiernie też wolno postępował. Lecz teraz liście są duże i szerokie, a drobne kulki wyrosły na gęste, piękne grona. I niektóre nabierają już bursztynowego koloru, a inne, które później płonąć mają bogatą cesarską purpurą, przechodzą teraz szybko w mieniącą opalową barwę, zaledwo purpurze ustępującą w piękności.

Miło wtenczas z książką w rękę spocząć

w chłodnym cieniu na wysokiej górze, a odrywając oczy od książki, spoglądać na rozmaite i zmienne widoki. Bo gdy wietrzyk porusza gałązkami drzew oliwnych na pochyłości góry i listki przewraca, wtedy raz srebrem błyszczą, drugi raz posępną zielonością się okrywają, gdyż listek po każdej stronie inny; a gdy słońce oświeca lub chmury mroczą winnicę w okalającej dolinie, piękna tkanina nieruchomych winnych liści maluje śliczną zieloność swoją raz żółtym, to znowu brunatnym kolorem. Dalej mieszają się z tymi barwami niezliczone inne odcienie; od ciemnego cyprysu ciemniejszy dąb, bogata leszczyna, rumiane drzewo owocowe, ogorzała ściern, smutna jodła,—która jest tym we Włoszech, czym drzewo palmowe na wschodzie—wznosząca się ponad bukszpanem, jeżynami i oleandrem, około pałaców wiejskich tu i owdzie na pagórku, w dolinie porozrzucanych; wodotryski i wodospady, portyki z błyszczącego marmuru, posągi z brązu i kamienia, malowane fronty domów, kwiatami, a niezliczonymi trawnikami przystrojonych, oto masz słabe wyobrażenie o powabach, które w tym miesiącu ścigały, tak jak teraz, rzymskich patrycjuszów i młodzież z pośród tego, co Horacjusz nazywa zgiełkiem i dymem rzymskim, do spokojniejszych i oko napawających wiejskich piękności.

I tak, gdy piękny miesiąc się zbliżał, otwierano i wietrzono wiejskie pałace, niewolnicy czyścili wszystko i porządkowali, obcinali żywopłoty w najdziwniejsze kształty, oczyszczali kanały i sztuczne strumyki i wyrywali chwasty ze ścieżek wyspanych żwirem. Rządca miał dozór nad tym niezliczonym, pracującym mrowiem i ostrym słowem, albo ostrzej-

szym powrozem przynaglał niewolników do usilniejszej pracy.

Nareszcie po drogach, pełnych kurzawy, ujrano mnóstwo wozów wszelkiego rodzaju, od ogromnych ładowanych i zwolna wołami ciągnionych, aż do lekkich wózków, unoszonych przez chyże afrykańskie konie, a ponieważ najlepsze drogi były wąskie, a woźnice tamtejszych czasów nie mieli łagodniejszego języka od naszych, możemy sobie wyobrazić, jaki na tych drogach gwar, kłótnie i zamieszanie było.

I wszędzie to samo. Sabińskie, tuskulańskie i albańskie wzgórza były zasiane wspinalnymi willami, lub skromniejszymi wiejskimi domami, nawet płaska okolica Rzymu, Kampania, pełna jest dotąd rozwalin ogromnych wiejskich mieszkań; a od źródła Tybru wzdłuż brzegów, przy Laurentium, Lanuvium i Antium, aż do Gaety, i Baiów i innych wykwinnych w okolicy Wezuwiusza kąpeli, rozciągała się, rzec można, ulica patrycjuszowskich rezydencji. A przecież nie była ta przestrzeń dostateczną do zaspokojenia zwykłego zamięłowania Rzymian do życia wiejskiego.

Brzegi Benakusa (dzisiejszego Lago Maggiore na północ od Mediolanu), jezioro Como i śliczne brzegi Brenty zaludniły się gośćmi nie tylko z miast sąsiednich i z nad granic Germanii, ale nawet ze stolicy Cezarów.

Do jednego z tych „śmiejących się oczek Italii” jak Pliniusz nazywa wille, bo istotnie należą do najpiękniejszych ozdób tego kraju, pośpieszyła Fabiola nazajutrz po rozmowie czarnej niewolnicy z Korwinem. Willa stała na pochyłości góry, kąpiącej podnóże swoje w zatoce Gaety, i odznaczała się zarówno jak dom Fabioli w mieście, urządzeniem pełnym

smaku i wykwintu w najdrobniejszych szczegółach. Wszystko tam było ozdobne i rozkoszne. Z tarasu frontowego ozdobnej willi rozciągał się widok na spokojną lazurową zatokę, oprawną w rozkoszne wybrzeże, jak zwierciadło w pysznej ramie, upstrzone w białe, od słońca błyszczące żagle jachtów, galarów, łódek spacerowych lub rybackich, z których czasem dolatują głośne śmiechy żeglujących, śpiew albo harfa z grona bawiącej się rodziny, lub grube, ostre i rubaszne śpiewki rybaków. Galeria, okryta wijącymi się roślinami, prowadzi do łazienki na wybrzeżu, a w pół drogi znajduje się trawnik prześliczny, zawsze odświeżany chłodem kryształowej fontanny, wytryskującej ze skały. Zatrzymana zrazu w naturalnym wyźłobieniu, woda pieni się i kłębi, a potem spada z szumem wzdłuż galerii do morza. Klasyczny ten zakątek ocieniają dwa olbrzymie klony, podobne do owych, pod których cieniem przechadzając się, Plato i Cycero prawdy odwiecznej szukali. Najpiękniejsze kwiaty, krzewy z dalekich krajów, nie tęskniąc za ojczyzną, rosły wesoło w tym zakątku, zarówno od upału i zimna osłonionym. Fabiusz (dla przyczyn, które później wymienimy) rzadko kiedy na dłużej jak na dni parę zawitał do willi i to najczęściej w przejeździe do modnych miejscowości, gdzie świat rzymski najwięcej się zbierał i bawił. Córka jego była więc przeważnie sama i chętnie przebywała w samotności. Oprócz bogatej biblioteki, składającej się głównie z dzieł gospodarskich lub w związku z nauką rolnictwa będących, zapas książek z dawna ulubionych i lżejszych a świeżych pism (których zwykle za wysoką cenę wczesny odpis otrzymywała Fabiola) przywożono każdego roku z Rzymu wraz

z wielką liczbą mniejszych, domowych utworów sztuki, które zdołały i zaludniały nową siedzibę. Wiele porannych godzin spędzała Fabiola w ulubionym, dopiero co opisanym zaciszu, nad skrzynią książek, z których wybierała to tę, to ową. Lecz ktokolwiekby ją odwiedził w tym roku, dziwiłby się, zastając ją prawie zawsze nie samą, lecz z towarzyszką, i to z niewolnicą! Możemy wyobrazić sobie, jak zdziwiona była Fabiola, gdy nazajutrz po obiedzie, danym w jej domu, Agnieszka doniosła jej, że Syra podziękowała za ofiarowaną sobie służbę, chociaż nadzieją wolności nęcona. Jeszcze bardziej zadziwiła się, słysząc, że Syra odmówiła z przywiązania ku niej. Nie mogła Fabiola nic sobie takiego przypomnieć, coby jej tłumaczyło to przywiązanie: nigdy dla niewolnicy swojej najmniejszej nie okazała przychylności, ani nawet wdzięcznego uczucia za jej wierne i troskliwe w chorobie staranie. Przepuszczała więc, że to postępowanie było szaleństwem po tym wszystkim, co od niej Syra wycierpiała, lecz i tego pojąć nie mogła. Nieraz, prawda, czytała lub słyszała o przykładach wierności i poświęcenia niewolników nawet dla srogich panów, lecz przykłady te były zawsze uważane za szczególne wyjątki; cóż znaczą wreszcie tak nieliczne przez wiele wieków przykłady miłości w porównaniu z tysiącami przykładów nienawiści, którym się sama przypatrzyła? A przecież jasny i niewątpliwy przykład miłości miała przed sobą i ten ją mimowoli zastanawiał. Czas jakiś czekała i sługi swojej z oka nie spuszczała, aby zobaczyć, czy nie zdradzi postępowaniem swoim mniemania, że coś wielkiego uczyniła, i że pani czuć to powinna. Nigdy nic podobnego nie dostrzegła. Syra odda-

wała się obowiązkom z tą samą pilnością, pełną prostoty, i niczym nie dawała poznać, aby uważała się za coś wyższego, niż pierwaj. Serce Fabioli miękło coraz bardziej i poczęła myśleć, iż nie jest niepodobna kochać niewolnicę, jak to niegdyś w rozmowie z Agnieszką utrzymywała. I poznała inną jeszcze prawdę, że istnieje na świecie bezinteresowna miłość, przywiązanie, niewymagające odpłaty.

Rozmowy Fabioli z niewolicą po owej, którąśmy opowiedzieli, przekonały ją, że Syra wyższe odebrała wychowanie. Delikatność nie pozwalała jej dopytywać się o przeszłość niewolnicy. Zdarzało się, że kupcy nie raz starali się o wysokie wykształcenie dla młodych niewolnic, aby ich wartość podnieść. Lecz wkrótce odkryła, że Syra greckich i łacińskich autorów z łatwością i wdziękiem czytała i obu językami poprawnie pisała. Stopniowo wywyższała ją nad inne niewolnice z wielką tamtych zazdrością i rozkazała Eufrozynie, aby Syra miała osobny pokój, co było największą pociechą dla biednej dziewczyny, i uważała ją za przyboczną lektorkę i sekretarkę. Wszakże Fabiola żadnej nie dostrzegła zmiany w postępowaniu niewolnicy, ani dumy, ani zarozumiałości, gdy bowiem Syra przypadkiem miała wykonać jaką podlejszą pracę, do której dawniej używaną była, nigdy nie pomyślała wyręczyć się kim innym, lecz od razu i z prostotą wypełniła, czego od niej żądano.

Książki, którym Fabiola najwięcej czasu poświęcała, należały, jakieśmy już mówili, do wyższej i uczonej literatury filozoficznej. Dziwiła się Fabiola, słysząc, jak niewolnica czasem prostą uwagą zbiła niezachwianą na pozór maksymę lub jakiś ustęp deklamacji o cnocie

albo z wyższego stanowiska, aniżeli autorowie zdawna przez Fabiolę podziwiani, zapatrywała się na moralną prawdę, lub nasuwała praktyczniejszy sposób postępowania. A źródłem tych uwag i myśli nie zdawała się być przenikliwość głębokiego umysłu, ani bystrość dociętu, ani nawet czytanie, ani głębokie myślenie, ani wyższość w słowach, myślach i postępowaniu Syry: książki — teraz razem czytane i wspólne nauki — były dla niej widocznie nowością — lecz w sercu niewolnicy zdawał się być ukrytym nieomylny zmysł do poznania prawdy, klucz do wszystkich tajników nauk moralnych, struna dźwięczna, najdoskonalej zgodna z tym, co sprawiedliwe i dobre, a nigdy się nie zgadzająca z tym, co złe, zepsute, lub nawet tylko dwuznaczne. Tej tajemnicy nie mogła Fabiola zgłębić, lecz nic dotąd tak podobnego do tak zwanej intuicji nie widziała. Nie była jeszcze w stanie zrozumieć, że ostatni i najmniejszy w królestwie niebieskim (a cóż mniejszego od niewolnika?), wyższy jest w duchowej mądrości i w świetle niebiańskich przywilejów od każdego świętego, żyjącego przed przyjściem Zbawiciela, a nawet od samego Jana Chrzciciela.

Ślicznego poranku, pani i niewolnica, siedząc przy fontannie, zajęte były czytaniem; pierwsza, zmęczona poważną książką, szukała lżejszej i nowszej, i wyjmując rękopis z teki, rzekła:

— Syro, rzuć tę głupią książkę na bok. Oto jest coś, jak mi mówiono, bardzo zabawnego, a właśnie pod ręką. Będzie to nowość dla nas obu.

Sluga uczyniła, jak jej rozkazano, spojrziała na tytuł książki i zarumieniła się. Rzuciła

okiem na pierwszą kartkę i utwierdziła się w obawie, że miała w ręku jedną z tych przewrotnych książek, które, jak się użala święty Justyn, wolno z rąk do rąk przechodziły, chociaż bardzo niemoralne i wszelką cnotę depczące, gdy tymczasem pisma chrześcijańskie zakazywane były i wyśmiewane.

Położyła książkę ze spokojem i rzekła stanowczo:

— Nie żądam ode mnie, łaskawa pani, abym tobie z tej książki czytała. Jest nieestosowna dla mnie do czytania i tobie do słuchania.

Fabiola zdziwiła się. Nigdy nie słyszała, ani pomyślała, aby cokolwiek mogło ograniczać ochotę do czytania. To, co w naszych czasach mamy za najnieprzyzwoitsze, było wtenczas powszechną i modną lekturą.

— Cóżby nam się stać mogło? — zapytała z uśmiechem. — Nie wątpię, że wiele szkaradnych zbrodni i brzydkich uczynków opisanych jest w tej książce; lecz to nas nie nakłoni do naśladowania ich. A tymczasem zabawnie jest czytać o tym, co drudzy złego popełnili.

— A czy chciałabyś dla jakiegokolwiek przyczyny sama te zbrodnie popełnić?

— Za nic w świecie.

— A przecież gdy czytasz, wyobrażenie zbrodni musi zajmować twój umysł; gdy cię zbrodnie bawią, myśli twoje z przyjemnością nad nimi się zatrzymują.

— Zapewne. I cóż stąd?

— To wyobrażenie jest nieczyste, a ta myśl przewrotna.

— Jakże to być może? Wszak przewrotności nie ma, gdzie nie ma działania czynu?

— Prawda, pani; ale czymże jest myśl, jeśli nie działaniem umysłu, lub jak ją nazywam,

duszy. Namiętność, która pragnie śmierci czyjej, jest działaniem tej niewidzialnej potęgi i jest tak jak ona niewidzialna; raz, który śmierć zadaje, jest tylko machinalnym czynem ciała widocznym tak, jak ciało. Lecz która potęga rozkazuje, a która rozkaz wypełnia? Na której ciąży odpowiedzialność za ostateczny skutek czynu?

— Rozumiem — rzekła Fabiola, po chwilowym milczeniu. — Lecz jedna jeszcze pozostaje trudność. Utrzymujesz, że jest odpowiedzialność za wewnętrzny zarówno, jak za zewnętrzny czyn. Przed kim? Jeśli jeden po drugim nastąpi, jest zjednoczona odpowiedzialność za oba przed społeczeństwem, przed prawami, przed sprawiedliwością, przed sobą samym; lecz jeżeli tylko wewnętrznie czyn popełniony, przed kim może być odpowiedzialność? Kto sądzić może? Kto wysłodzi czyn?

— Bóg — odrzekła Syra z uroczystą prostotą.

Fabiola była zawiedziona w nadziei. Spodziewała się usłyszeć jaką nową teorię, nową naukę. Tymczasem usłyszała tylko to, w czym upatrywała prosty zabobon, chociaż może nie z taką, jak dawniej, zarozumiałością.

— Jakto, Syro, wierzysz więc w Jowisza, Junonę, może w Minerwę, która z całej olimpijskiej rodziny jeszcze najgodniejsza poszanowania? Czy myślisz, że mają jakąkolwiek wspólność z naszymi sprawami?

— Daleka ta myśl ode mnie; nie nawidzę tych imion, i brzydzę się przewrotnością, której one są w bajkach symbolem. Nie, nie mówiłam o bogach i boginiach, lecz o jednym Bogu.

— A jak go nazywasz, Syro, po swojemu?

— Nie ma innego imienia, jak tylko Bóg i to imię dlatego Mu ludzie dali, aby mogli mówić o Nim. To imię nie objaśnia ani Jego natury, ani trwania i przymiotów.

— A jakież są przymioty, trwania i natura Jego?—zapytała pani domu z obudzoną ciekawością.

— Prosta, jak światło, jest Jego natura, jedna i ta sama w każdym miejscu, niepodzielna, nieskazona, przenikająca, wszystko napędzająca, wszędzie przytomna i nieograniczona. Istniał przed wszelkim początkiem, istnieć będzie po skończeniu wszystkiego. Potęga, mądrość, dobroć, miłość, sprawiedliwość i nieomylność są przymiotami Jego natury i tak nieograniczone, tak nieskończone, jak On sam. Przez Niego tylko stworzenie trwać może i w nicłość się obrócić.

Fabiola nie raz czytała o natchnionym wejrzeniu Sybilli czyli kapłanki wyroczni Delfickiej, lecz nigdy dotąd nic podobnego nie widziała na własne oczy. Oblicze niewolnicy płonęło, oczy jaśniały niebiańskim, spokojnym blaskiem, postać cała była nieruchoma, słowa płynęły z ust jej, jak z dzwicznej fletni, w którą cudze piersi dmuchają. Wyraz jej twarzy i postać mimowoli przypomniały Fabioli oderwane od ziemi i tajemne wejrzenie, które nieraz uważała u Agnieszki, lubo u dziecięcia było czulsze i wdzięczniejsze, u Syry zdawało się gorętsze i prorocze.

— Jaka zapalona, gorąca, wschodnia natura!—pomyślała Fabiola, patrząc na niewolnicę.—Nie dziw, że wschód uważamy za ojczyznę poezji i natchnienia!

Gdy wreszcie Syra ochłonęła nieco z zachwycenia, rzekła Fabiola wesołym, o ile mogła, tonem:

— Lecz, Syro, czy możesz myśleć, że Istota, którąś opisała, tyle wyższa nad wszelkie dawne wyobrażenia bajeczne, chciałaby zatrud-

niać się ciągłym dozorem uczynków, a co więcej błahych myśli milionów stworzeń?

— Nie jest to zatrudnienie dla niej, ani nawet upodobanie. Nazwałam Ją światłem. Czyż jest zatrudnieniem lub pracą dla słońca przenikać promieniami wskroś tę kryształową fontannę aż do najdrobniejszych na dnie kamyczków? Patrz, jak przenikają nie tylko te iskry, które spadające krople sypią po bokach fontanny; nie tylko diamentowe bańki, co powstają, zaświecają na chwilę i znikają na powierzchni; nie tylko złote rybki, które się pluszczą w ich świetle, ale także obrzydliwe, czarne, pełzające stworzenia, które chcą się ukryć w ciemnych zakątkach na spodzie, a nie mogą, bo je światło opromienia. Czyż jest w tym zatrudnienie lub praca dla słońca, które te wszystkie rzeczy oświeca? Daleko prędzej można by nazwać pracą, gdyby słońce chciało załrzymać promienie swoje na powierzchni przezroczystego żywiołu, aby wskroś światłem nie przeszedł. A co tu słońce czyni, to powtarza w najbliższym i o tysiąc mil odległym strumyku z równą łatwością, a przypuszczając najniepodobniejsze pomnożenie się lub rozszerzenie strumyków, nie możemy myśleć i wierzyć, żeby promieni nie wystarczyło lub światła zabrakło dla oświecenia wskroś wszystkich.

— Teorie twoje zawsze piękne, Syro, i zadziwiające, jeśli prawdziwe—rzekła Fabiola po chwilowym milczeniu, wlepiwszy oczy w fontannę, jakby przekonać się chciała o prawdzie słów Syry. — I wydają się prawdziwymi — dodała—bo czyżby kłamstwo mogło być piękniejsze od prawdy? Lecz co za straszna myśl, nigdy nie być samą, nigdy najskrytszego ży-

czenia, nigdy najmniejszej myśli, najłżejszego pomysłu dumnej lub dziecinnej głowy nie mógł ukryć przed Istotą, nie znającą niedoskonałości. Straszna myśl, że się żyje, jeśli prawdę mówisz, pod ciągłym wejrzeniem oka, którego słońce jest tylko cieniem, bo słońce nie przenika duszy! Myśl taka mogłaby doprowadzić do samobójstwa, aby się uwolnić od okropnego, wszechwidzącego oka!

Fabiola patrzyła z pewną dzikością, mówiąc te słowa. Pycha pogańskiego serca gwałtownie powstała i Fabiola nie chciała poddać się tej pewności, że nigdy nie będzie samą z myślami swymi, albo że istnieje potęga, śledząca najskrytsze jej chęci, myśli lub marzenia. A ciągle powracała myśl: „Przecież zdaje się to tak prawdziwym!” Szlachetny umysł bił się z rozburzoną namiętnością, jak orzeł w walce z wężem raczej okiem, niż dziobem i szponami pokonywa podłego nieprzyjaciela. Po walce, widocznie malującej się na twarzy i w ruchach, pokój wstąpił w duszę Fabioli. Zdawało się, że po raz pierwszy uczuła obecność wyższej od siebie istoty, której się bała, a którą pragnęła kochać. Ugięła umysł przed Nim, uchyliła do stóp Jego rozum; i serce także przyznało po raz pierwszy, że ma Pana i Króla.

Syra z wzruszeniem w milczeniu śledziła wpływ słów na umysł pani. Wiedziała dobrze, co zależało od wypadku tej wewnętrznej walki; widziała, w jak wielkiej niewiedomości pogrążona była uczennica, i gorąco się modliła o zesłanie dla niej łaski poznania prawdy. Nareszcie Fabiola podniosła głowę jakby myślami obciążoną i z wdzięczną łaskawością rzekła.

— Syro! Pewna jestem, że nie doszła do dna nauki twojej; jeszcze wielu rzeczy masz mnie pewnie uczyć. Lecz dzisiaj odkryłaś przed umysłem moim świat nowy i życie nowe. Świat cnoty, wyższy nad opinie i sądy ludzkie, wiadomość o wszechwidzącej, pochwalającej i nagradzającej potędze: wszak się nie myłę?

Syra potwierdziła mniemanie Fabioli.

O potędze przytomnej działaniom naszym, gdy żadne oko nie może nas widzieć, ani powstrzymać, ani zachęcić; z tym uczuciem, chociażby na wieczną skazani samotność, musielibyśmy być zawsze ciż sami, ponieważ ten wpływ musi być silniejszy w prowadzeniu nas nad wszelkie ludzkie nauki, a opuścić nas nie może; takie jest, jeśli zrozumiała teorię twoją, stanowisko wyższości duchowej, do którego teoria ta każdego człowieka podniosła. Utracić to wysokie stanowisko, nawet przy cnotliwym powierzchownie życiu, byłoby tylko obłudą i prawdziwą przewrotnością. Czy nie tak?

— O moja droga pani — zawołała Syra — o ile lepiej wyrazić to umiesz ode mnie!

— Nie pochlebiałaś mi nigdy dotąd, Syro — rzekła Fabiola z uśmiechem — nie zaczynajże i teraz. Lecz nowym światłem rozjaśniłaś dzisiaj inne jeszcze rzeczy, dotąd niezrozumiałe dla mnie. Powiedz mi teraz, czyś tak myślała, mówiąc mi kiedyś, że w twoich oczach nie ma różnicy między panią a niewolnicą; że ponieważ różnica jest tylko powierzchowna i społeczna, nie może być przyrównaną do tej równości, która istnieje przed obliczem najwyższej Istoty, o której mówisz, i do tej duchowej wyższości, którą ta Istota upa-

trywać może w jednym człowieku nad drugim bez względu na ziemskie stosunki?

— Taka była główna myśl moja, szlachetna pani; lecz inne jeszcze względy miały w niej udział, które teraz nie mogłyby cię zająć.

— A przecież, gdyś wyraziła to zdanie swoje, wydało mi się tak potworne, tak niedorzeczne, że duma i gniew wzięły nade mną górę. Pamiętasz Syro?

— Och! nie, nie — odrzekła pocziwa służka — nie wspominaj o tym, błagam cię, pani!

— Czyś mi przebaczyła dnia tego, Syro? — rzekła pani z nieznanym dotąd wzruszeniem.

Biedna dziewczyna nie wiedziała, co z sobą począć. Powstała i rzuciła się do nóg pani, i chciała uchwycić jej rękę, lecz Fabiola nie dała ręki, i po raz pierwszy w życiu rzuciła się w objęcia niewolnicy i płakała.

Strumień łez płynął długo i obficie. Serce Fabioli brało górę nad rozumem wskutek coraz wyższego polotu ku doskonałości. Nareszcie uspokoiła się i rzekła:

— Jeszcze jedno słowo, Syro: czy można wznosić serce i czcić tę Istotę, którąś mi opisała? Czy nie jest zbyt wielką, zbyt wysoką, zbyt daleką?

— Och, nie, wcale nie, pani! — odrzekła służka. — Nie jest On dla nikogo daleki; bo tak, jak w świetle słońca, tak w pełni Jego potęgi, dobroci i mądrości żyjemy, ruszamy się i jesteśmy. Stąd też każdy może modlić się do Niego, nie jako do oddalonej, lecz przytomnej w nas i około nas Istoty, tak jak my wobec tej Istoty przytomni jesteśmy; i On nie słyszy nas uszami, lecz słowa nasze przyjmuje wprost do łona swego i życzenia serca nasze-

go zanurza w głębokościach bezdennych Boskiego serca.

— Lecz — mówiła dalej Fabiola z niejaką nieśmiałością — czy nie ma wielkiego aktu wiary, uroczystego, stanowczego na wyznanie i uwielbienie jej, aktu podobnego do ofiar nasyżych?

Syra wahała się odpowiedzieć, bo rozmowa zdawała się przenosić na punkt tajemniczy i święty, którego Kościół nigdy nie odsłaniał przed pogańskim okiem. Odpowiedziała więc prostym i ogólnym potwierdzeniem.

— A czybym nie mogła — zapytała pokorniej jeszcze Fabiola — być wtajemniczoną w szkołę waszą, abym mogła ten wzniosły hołd złożyć?

— Obawiam się, że nie; trzeba, aby ofiara godną była Bóstwa.

— Ach zapewne! — odrzekła Fabiola. — Wół może być ofiarą godną Jowisza lub koza Bakchusa, lecz gdzież szukać ofiary godnej Tego, któregoś mi poznać dała?

— Trzeba, zaprawdę, aby ofiara ze wszech miar godną Go była, najczystsza, najwyższa, zasługująca bez granic.

— I jakąż jest ta ofiara, Syro?

— On sam jest tą ofiarą.

Fabiola zakryła twarz rękami, potem pełne ognia oczy wlepiła w twarz Syry i rzekła:

— Jestem pewna, że w tym wszystkim, co mi mówisz, jest myśl prawdziwa, głęboka, tajemna, ale tajemnica ta przeraża mnie i rozumieć jej nie mogę.

— Jako niezawodna jest, że On mnie słyszy i zna myśli moje, tak i to pewna, że ci powiedziałam prawdę.

— Nie mam siły dłużej mówić z tobą; umysł mój potrzebuje wypoczynku.

ROZDZIAŁ XVII.

Chrześcijańskie zgromadzenie.

Po tej rozmowie Fabiola odeszła i przez resztę dnia widocznie była poruszona. Gdy z silną wolą spoglądała na wzniosłość duchowego życia, która się przed jej umysłem rozciągała, doznawała dziwnego uspokojenia; zdawało jej się, że odkryła coś nadzwyczajnego, czego poznanie wprowadzić ją miało w świat nowy i wielki, skąd jedynie litować się będzie nad szaleństwem i obłąkaniem rodu ludzkiego. Lecz gdy się zastanowiła nad odpowiedzialnością, którą to światło za sobą pociągało, gdy pomyślała o straży nad sobą samą, o wewnętrznych walkach bez nagrody, o cnocie niepodziwianej, może nawet współczucia niewzbudzającej i prowadzącej do rozpacz, wtenczas odwracała się znowu do życia, któreby przebyć musiała bez wytchnienia lub pomocy ze źródeł, jakie dotąd знаła. Czuła, że nie posiada środków do wcielenia pięknej teorii. Wydawała jej się ta teoria jakby jasna lampa pośród ogromnej, próżnej i ogołoconej sali, oświecającej próżnię. Jaki pożytek z tej pięknej, marniejszej jasności.

Następny poranek naznaczony był na odwieziny, które co rok Fabiola odbywała, będąc na wsi, mianowicie odwiedzić miała byłego prefekta miasta, Chromacjusza. Po nawróceniu się i ustąpieniu z urzędu, Chromacjusz udał się do willi w Kampanii, zabierając z sobą wielką liczbę nawróconych przez Sebastiana i kapłana Polikarpa dla ukończenia ich nauki religijnej. O tych okolicznościach Fabiola nie wiedziała, lecz słyszała różne dziwne szczegóły

o willi Chromacjusza. Mówiono, że liczba gości w jego domu przechodzi wyobrażenie; że nie urządził zabaw, że uwolnił wszystkich wiejskich niewolników, lecz, że wielu dobrowolnie przy panu pozostało i że owo liczne zgromadzenie było bardzo szczęśliwe, chociaż żadne nadzwyczajne zabawy ani wesołe biesiady, jak się zdawało, nie były dozwolone... Te wszystkie szczegóły drażniły ciekawość Fabioli, pragnącej prócz tego wypełnić miły obowiązek grzeczności względem dawnego przyjaciela i życzyła sobie widzieć na własne oczy to, co jej się wydawało doświadczeniem utopii Platona.

W lekkim wiejskim wózku wyjechała Fabiola z rana, pędząc wesoło po równej drodze wśród „szczęśliwej Kampanii”. Jesienna rosa zwilżyła kurzwę i błyszczącymi diamentami obsypała winne latorośle, wijące się przy drodze zamiast płotu od drzewa do drzewa. Wkrótce ujrzała ładny pagórek okryty bukszpanem, arbutusem i laurami, wspartymi o wysokie cyprysy, wśród których na wyniesieniu jaśniały białe mury obszernej willi. Zmiana, z której sobie z początku zdać sprawy nie mogła, widocznie nastąpiła w tym miejscu, lecz zaraz za bramą, wielka liczba próżnych framug i postumentów przypomniła jej, że willa utraciła jedną z charakterystycznych ozdób swoich, to jest mnóstwo pięknych posągów wdzięcznie ustawionych wzdłuż wiecznie zielonych, strzyżonych płotów, i nadającą willi teraz zupełnie nieestosowną nazwę: „Wśród posągów”.

Chromacjusz, cierpiąc na podagrę za ostatnim widzeniem się z Fabiolą, a teraz czerstwy starzec, przyjął ją grzecznie, dopytując się troskliwie, czy prawda, że się wkrótce do Azji

wybiera. Na to pytanie zmartwiła się i strokała Fabiola, bo dotąd nie wyjawiał Fabiusz zamiaru swego przed córką. Chromacjusz pocieszał Fabiolę nadzieją, że wiadomość jest fałszywa, i prosił, aby przeszła do ogrodu. Uznała, że zawsze z równym staraniem utrzymywany i pełen pięknych roślin, lecz brak w nim było starych posągów. Nareszcie doszli do groty z fontanną, którą pierwiej nimfy i wodne bóstwa zdobiły, a która teraz przedstawiała ciemną i próżną pieczarę. Nie mogła dłużej powstrzymać się Fabiola i zwracając się do Chromacjusza, rzekła:

— Cóż to się stało, Chromacjusz, żeś te wszystkie posągi usunął i zniweczył szczególną ozdobę tej ładnej willi? Co ciebie do tego nakłoniło?

— Moja droga pani — odpowiedział wesoło staruszek — nie gniewaj się na mnie. Jakież dla kogokolwiek użytek z tych figur.

— Chociaż ty tak myślisz, inni nie są twego zdania — odrzekła: — Lecz powiedz mi, coś z nimi uczynił?

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć, pod młot je oddałem.

— Jakto! I nigdy mi słówkiem znać nie dałeś? Wiesz przecie, że nie jeden posąg byłaby z ochotą kupiła.

Chromacjusz roześmiał się serdecznie i rzekł z poufalością, do której go upoważniała dawna od dzieciństwa z Fabiolą znajomość:

— Moja droga! Jak szybko biegnie twoja wyobraźnia! Mój biedny stary język nie dotrzyma jej kroku; nie mówiłem o młotku licytacji, lecz o młocie kowalskim. Bogi lub boginie wszystkie potłuczone, i w proch obrócone! Jeśli przypadkiem potrzebujesz oderwanej

nogi lub ręki bez kilku palców, możebym mógł odszukać co takiego dla ciebie. Lecz nie mogę obiecać ci twarzy z nosem lub głowy niepopękanej.

Fabiola, bardzo zdziwiona, zawołała:

— Co za barbarzyńiec z ciebie, mój mądry, dobry sędzio! Czym zdołasz wytłumaczyć czyn tak niewłaściwy?

— Oto widzisz, postępując w latach, postąpiłem w mądrości i przekonawszy się, że pan Jupiter i pani Junona nie są bardziej bogami jak ty lub ja, pozbyłem się ich.

— Tak, może to być wielką prawdą i chociaż nie jestem ani starą, ani mądrą, oddawna przekonaną o tym jestem. Lecz czemu nie zachować posągów jedynie jako dzieła sztuki?

— Dlatego, że postawione były nie jako dzieła sztuki, lecz jako bóstwa. Stały tu jako oszusty na mocy kłamliwych przywilejów; podobnie gdybyś ty wyrzuciła z domu swego popiersie lub portret znaleziony pośród pamiątek naddziadów twoich, a nie należący do twojej rodziny, tak też i ja uczyniłem z tymi obłudnikami, mającymi pretensję do wyższych ze mną stosunków, gdy ja wiedziałem, że niesłusznie. Nie chciałem także, aby były kupione na ten sam użytek.

— Ale powiedz-że mi, mój surowy przyjacielu, nie jestże to oszukaństwem nazywać willę twoją „Wśród posągów”, kiedy już w niej ani cienia posągu nie ma?

— Bezwątpienia — odrzekł Chromacjusz, ubawiony jej uwagą. — To też zobaczysz, że wszędzie pozasadzał drzewa palmowe; i jak tylko wyrosną ponad zielony płot, willa nazywać się będzie „Wśród palm”.

— Och, to ładna będzie nazwa — rzekła

Fabiola, nie domyślając się ukrytej w nim mistycznej myśli. Nie wiedziała oczywiście, że willa była teraz szkołą katechumenów, w której przyspasabiano pilnie zapaśników do wielkiej walki za wiarę, to jest do męczeństwa i śmierci; podobnie jak w szkołach publicznych, ćwiczano i zaprawiano przyszłych szermierzy i gladiatorów. Ci, co do domu tego weszli i co wychodzili z niego, mogli mówić o sobie, że idą drogą, na której zerwać mają palmy zwycięskie, aby je złożyć u podnóża tronu Boga Sędziego na znak tryumfu nad światem. Wiele z tych gałązek wkrótce zerwać miano w tym pobożnym pierwszych chrześcijan ustroniu.

Tu wypada opowiedzieć historię zniszczenia posągów Chromacjusza, która tworzy osobny ustęp w aktach świętego Sebastiana.

Gdy Nikostratus zawiadomił Chromacjusza, jako prefekta Rzymu, o wypuszczeniu na wolność więźniów i o wyzdrowieniu Trankwilina z podagry po odebraniu Chrztu św., Chromacjusz, przekonawszy się o prawdziwości tego zdarzenia, posłał po Sebastiana, przyrzekając przyjąć wiarę chrześcijańską, byle go chrzest z choroby wyleczył. Sebastian odmówił żądaniu; byłoby to albowiem świętokradztwem. Postanowił dać mu nowy i szczególnie dowód prawdziwości wiary chrześcijańskiej, nie narażając go na chrzest obłudny. Chromacjusz posiadał mnóstwo obrazów i posągów pogańskich; Sebastian zapewnił go, że jeżeli wszystkie pokruszy, odzyska zdrowie. Trudny to był warunek, wszakże Chromacjusz przystał, ale syn jego, Tyburecjusz, gniewem uniesiony, kłął się na wszystkie bogi Olimpu, że gdy zniszczenie bożków obiecanego skutku nie sprawi, wrzuci Sebastiana i Polikarpa w piec ognisty; groźba

zaiste nie tak trudna do wykonania dla syna prefekta.

W jednym dniu dwieście pogańskich posągów rozbito w willi i w domu prefekta w Rzymie. Ale Chromacjusz nie powstał z choroby. Posłano po Sebastiana i potokiem obelg go przyjęto. Lecz on, spokojny i nieuleknlony, rzekł:

— Pewny jestem, że nie wszystko zniszczone. Coś jeszcze musiało pozostać.

Tak istotnie było. Niektóre małe posąжки, uważane raczej za arcydzieła sztuki snycerskiej niż za religijne przedmioty, utajono. Za ledwie je zniszczono, Chromacjusz wyzdrowiał. Nie tylko on się nawrócił, lecz i syn, Tyburecjusz, wkrótce stał się gorliwym chrześcijaninem; i gdy wkrótce potem umarł śmiercią męczeńską, imieniem jego nazwano jedną z katakumb. Prosił o pozwolenie pozostania w Rzymie dla zachęcania i wspierania braci chrześcijan podczas zbliżającego się prześladowania, co nie trudnym było mającemu wolny wstęp do pałacu cesarskiego, przy wielkiej odwadze i niezmordowanej gorliwości.

Stąd wielka przyjaźń Tyburecjusza z Sebastianem i Pankracjuszem.

Wróćmy do rozmowy Chromacjusza z Fabiolą, która w końcu dodała:

— A czy wiesz, Chromacjuszu... lecz siądźmy w tym miłym ustroniu, gdzie stał, pamiętam, śliczny Bakchus; czy wiesz, że różne i dziwne wieści krążą po okolicy o tym, co się tu u was dzieje?

— Doprawdy? A jakie wieści? Powiedz.

— Oto, że mieścisz tutaj mnóstwo ludzi, których nikt nie zna; że nie widzisz nikogo i nigdzie nie bywasz, i że żyjesz niby filozof,

— jak żebyś chciał marzenie rzeczypospolitej Platona w życie wprowadzić!

— Bardzo mi to pochlebia — przerwał Chromacjusz, kłaniając się z uśmiechem.

— Lecz to jeszcze nie wszystko — dodała Fabiola — mówią, że żyjesz nie tylko jak odłudek, ale jak więzień; żadnej zabawy, żadnej biesiady, i owszem utrzymują, że prawie umieracie z głodu.

— Lecz spodziewam się, że ci, co się tak nami zajmują, tę nam przynajmniej sprawiedliwość oddają, że płacimy rzetelnie szczupłe wydatki nasze? — Rzekł Chromacjusz. — Spodziewam się, że nie mówią, iż nie płacimy rachunków piekarza albo korzennego kupca?

— Och, nie! — odrzekła Fabiola, śmiejąc się.

— Jacy łaskawi! — mówił dalej wesół starszec: — Jak widzę, wielce się zajmuje nami cała publiczność. Lecz czy nie dziwna, moja droga pani, że póki w tej willi panowały wolne i łatwe zasady, lekkomyślne rozmowy i nie umiarkowane picie, częste wybryki młodocianej wesołości bardzo dla sąsiadów natrętne, tak jak się dzieje w innych willach, (przepraszam cię, że śmiem o podobnych rzeczach przed tobą wspominać), lecz prawdziwie, póki ja i przyjaciele moi nie byliśmy przykładem ani powściągliwości, ani skromności, nikt się o nas nie troszczył. Lecz niech kilka osób odosobni się w życiu spokojnym, powściągliwym, pracowitym, nie mieszając się do spraw światowych, nie zajmując się polityką lub plotkami towarzyskimi, a wnet obudza się między niby najpoważniejszymi osobami natrętna ciekawość dowiedzenia się wszelkich szczegółów o tych samotnikach, mieszania się w ich sprawy; i wnet rozlatują się pomiędzy ludzi

roje fałszywych wieści i niecnym podejrzeniom o ich postępowaniu, o pobudkach ich odosobnienia. Nie jest że to zadziwiające?

— Bezwątpienia, lecz jakże to tłumaczysz?

— Jedynie przez tę skłonność poziomych umysłów do zazdrośczenia drugim wyższego poziomu, na jaki się sami zdobyć nie mogą, tak, że prawie mimowolnie uwłaczają temu, co się im lepsze od ich własnych dążeń wydaje.

— Lecz jaki jest w istocie twój cel i sposób twego tu życia?

— Przepędzamy czas na kształceniu najwyższych władz człowieka. Wstajemy bardzo rano, och, tak rano, że ci nawet nie śmiem powiedzieć; poświęcamy następnie chwil kilka religijnym ćwiczeniom; potem zatrudniamy się rozmaicie: jedni czytają, drudzy piszą, inni pracują w ogrodzie, i ręczę ci, że nigdy najęci robotnicy pilniej nie pracowali. Zgromadzamy się w pewnych godzinach i śpiewamy razem śliczne pieśni, pocziwe i czyste; czytamy pouczające książki, słuchamy ustnych nauk bardzo wymownych mistrzów. Stół nasz w istocie bardzo jest skromny, jadamy tylko owoce i jarzyny; lecz przekonałem się, że wesołość nie ucieka przed soczewicą, że się bez smacznej i wykwintnej kuchni obejdzie.

— Istnie więc z was Pitagorejczyki; nie myślałam, aby dziś coś podobnego udać się mogło. Lecz musi to być bardzo oszczędne życie — dodała Fabiola z figlarnym spojrzeniem.

— A ty uszczypliwe stworzenie! — rzekł sędzia — myślisz więc istotnie, że ten sposób życia ma tylko oszczędność na celu? Wcale tak nie jest, jak się przekonasz z dalszych zamiarów naszych.

— Cóż to może być?—zapytała młoda pani.

— Oto słuchaj i powiedz, czyśmy oszczędni. Postanowiliśmy w całej naszej okolicy nie cierpieć ani jednego ubogiego; chcemy okryć na zimę wszystkich nagich, nakarmić głodnych, pocieszać i leczyć chorych. Wszystkie nasze oszczędzone pieniądze na to pójdą.

— Jest to wprawdzie bardzo piękna, chociaż bardzo nowa myśl w naszych czasach, i nie wątpię, że za całą waszą pracę będziecie wyśmiani i nagana ze wszystkich stron obrzuceni. Gorzej nawet o was mówić będą, aniżeli dotąd, gdyby gorzej jeszcze mówić można.

— Jakto?

— Nie obrażaj się, jeśli ci to powiem, lecz do tego stopnia doszła obmowa, że nawet utrzymują, że może jesteście chrześcijanami. Wierzaj mi, że to oszczerstwo przy każdej sposobności z oburzeniem zbijała.

Chromacjusz uśmiechnął się i rzekł:

— Dlaczego tak przecyzysz z oburzeniem, kochane dziecko?

— Dlatego, że ciebie, i Tyburcjusza, i Nikostrata, i tę kochaną milczącą Zoę zbyt dobrze znam, aby przypuścić na chwilę, żeście przyjęli wyznanie, które jest zbiorem wszelkiego głupstwa i podłości.

— Pozwól mi jedno pytanie. Czyś zadała sobie pracę przeczytać jedno przynajmniej chrześcijańskie pismo, aby wiedzieć, jakie jest prawdziwe wyznanie i uczynki wzgardzonych chrześcijan?

— Och, nie! Zaprawdę, nie chciałabym czasu na tym trawić; nie miałabym cierpliwości czegokolwiek o nich się uczyć. Zbyt nimi gardzę, jako nieprzyjaciółmi wszelkiego umy-

słowego postępu, jako podejrzanymi obywatelami i ludźmi łatwowiernymi w najwyższym stopniu, a uświęcającymi najszkaradniejsze zbrodnie, abym się miała starać kiedykolwiek o bliższe poznanie z nimi.

— Droga Fabiolo, zupełnie to samo myślałem niegdyś o chrześcijanach, lecz teraz bardzo się zdanie moje zmieniło.

— Dziwi mię to, ponieważ będąc prefektem miasta, nieraz musiałeś karać tych podłych ludzi za ciągle gwałcenie praw.

Oblicze wesołego starca zachmurzyło się. Pomyślał o św. Pawle, który niegdyś przesłał do Kościoła Boży. Fabiola spostrzegła smutek starca i zmartwiła się. Najczulszym głosem rzekła:

— Wyrwałam się bardzo lekkomyślnie, jak się obawiam, i obudziłam wspomnienia niemiłe twemu czułem sercu. Wybacz mi, drogi Chromacjusz, mówmy o czym innym. Odwiedzając cie, miałam także na celu dowiedzieć się od ciebie, czy nie wiesz o okazji do Rzymu. Słyszałam już z wielu stron o zamierzonej podróży ojca mego, i muszę koniecznie pisać do niego, w obawie, aby nie uczynił tak, jak już innym razem, jadąc, nie pożegnawszy się ze mną, aby mi zmartwienia oszczędzić.

— Jest tu młody człowiek—odrzekł Chromacjusz—który jutro bardzo rano wyrusza do miasta. Pójdź do biblioteki i napisz list; tam zapewne zastaniemy tego młodzieńca.

Powrócili do domu i weszli do pokoju na dole, w którym stały skrzynie, pełne książek. Przy stole na środku pokoju siedział młody człowiek i przepisywał z grubej książki, którą na widok nieznałomej osoby zamknął i na bok odłożył.

— Torkwacie — rzekł Chromacjusz do młodzieńca — ta pani pragnie przesłać list do ojca swego w Rzymie.

— Zawsze z radością — odrzekł Torkwatus — służę Fabioli lub dostojnemu jej ojcu.

— A skąd znajomość masz z nimi? — zapytał sędzia, nieco zdziwiony.

— Będąc jeszcze bardzo młodym, miałem zaszczyt, a przede mną ojciec mój, być pod rozkazami szlachetnego Fabiusza w Azji. Wątpliwie zdrowie zmusiło mnie opuścić służbę tego pana.

Kilka arkuszy welinu, na równe ćwiartki pakrajanego zapewne do przepisywania książki, leżało na stole. Jedną z tych ćwiartek pocziwy staruszek położył przed Fabiolą wraz z atramentem i trzcina, którą napisała krótki, serdeczny list do ojca. Złożyła papier, związała nitką i przyłożywszy nieco wosku, wycisnęła pieczętkę swoją, którą wyjęła z haftowanej torebki. Zamierzając przytym wynagrodzić posłańca, wzięła drugą ćwiartkę papieru i zapisaławszy dla pamięci imię Torkwata i miejsce zamieszkania, starannie schowała przy sobie. Potem, posiliwszy się nieco, wsiadła do powozu i uprzejmie pożegnała Chromacjusza.

Było coś rozrzucającego i ojcowskiego w wejrzeniu starca, jakby czuł, że już jej nigdy nie zobaczy. To samo myślała Fabiola; lecz nieznanne pogance uczucie przejmowało serce starca. Czyż ona na zawsze pozostanie w ciemności? Czyż on ma pozwolić na zgubę jej duszy w grubej niewiedomości? Czy tak szlachetne serce i wzniosły umysł na zawsze zagrzebane być mają w mule obrzydliwego bałwochwalstwa, gdy uczucia i myśli Fabioli wydawały się starcowi jakby mocne a miękkie nici, pośród których światło prawdy utkaćby

mogło najbogatszą z dobrych uczynków tkaninę? Do tego dopuścić nie chciał, a przecież tysiączne przyczyny nie pozwalały mu wyznać tego, co teraz — obawiał się — powstrzymałoby Fabiolę od zbliżenia się do wiary.

— Żegnaj cię, moje dziecko! — zawołał — życzę ci wszelkich z nieba błogosławieństw i aby ono cię powiodło drogą chwalebna, której nie znasz jeszcze.

Odwrócił się, kryjąc rozrzewnienie swoje, ostatni raz uściśnął jej rękę i śpiesznie się oddalił.

Fabiola także wzruszona była tajemniczością zarówno jak czułością tych wyrazów; lecz nie wyjechawszy jeszcze za bramę, zdziwiła się na widok Torkwata zatrzymującego powóz. Różnica pomiędzy ułożeniem prawie poufałym, chociaż przyzwyczajonym młodzieńca, a łagodną i uprzejmą powagą starego exprefekta, zastała Fabiolę.

— Przebac, że śmiem zatrzymać cię, pani — rzekł — lecz powiedz, czy pragniesz, aby list ten śpiesznie doszedł?

— Zapewne, bardzo pragnę, aby doszedł ojca, o ile być może najśpieszniej.

— A więc obawiam się, że nie będę w stanie służyć ci. Nie mogę podróży odbywać inaczej, jak piechotą, wyjąwszy przy taniej a przypadkowej sposobności, wskutek czego droga zabierze mi kilka dni czasu.

Fabiola, wahając się, rzekła:

— Czyby nie było zbyt wielką śmiałością z mej strony, wziąć na siebie kosztą śpieszniejszej podróży?

— Bynajmniej — rzekł Torkwatus z żywo-

ścią — jeśli tym sposobem będę w stanie lepiej służyć szlachetnemu domowi twemu.

Fabiola podała mu sakiewkę, zawierającą nie tylko pieniądze na podróż, ale i sówite wynagrodzenie. Przyjął z radosnym uśmiechem i zniknął w bocznej alei. Było coś odrażającego w jego ułożeniu; nie mogła sobie Fabiola wyobrazić, aby Torkwatus był stosownym towarzyszem dla starego, kochanego przyjaciela. Gdyby Chromacjusz był przytomnym tej rozmowie, byłby dostrzegł judaszowskie podobieństwo w skwapliwym pochwyceńiu sakiewki. Fabiola wszakże zadowolona była, że wypłaceniem pewnej sumy pozbyła się odrazu wszelkiego długu za usługę Torkwata. Wyjęła więc notatkę, aby ją podrzeć, jako już niepotrzebną, gdy spostrzegła, że druga strona była zapisana; przepisywacz książki, którą widziała na bok odłożoną, zaczął być właśnie na tej ćwiartce pisać. Fabiola przebiegła ją wzrokiem: zoczyła kilka zdań oderwanych, przeczytała je z naturalną, dziedziczną ciekawością córki Ewinej. Myśli te zastanowiły ją — nie знаła książki podobnej — nauka w nich zawarta zdawała się jej dziwną i nadzwyczajną.

„Powiadam wam, kochajcie nieprzyjaciół waszych, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, i módlcie się za tych, którzy was prześladują i czernią: abyście byli dziećmi Ojca waszego w niebie, który każe słońcu świecić zarówno złym i dobrym, a deszczowi padać dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych”.

Możemy sobie wystawić zakłopotanie indyjskiego wieśniaka, który znalazł na dnie potoku białą, przeźroczystą kamyczek, szorstki i ciemny z wierzchu, lecz za potarciem sypiący iskry

jasności; przygląda się i nie wie, czy znalazł kosztowny diament, czy kamień bez wartości; czy godną ozdobę królewskiej korony, czy kamień do wyrzucenia na drogę pod nogi przechodnia. Czy ma położyć koniec niepewności, rzucając kamyczek daleko od siebie, czy ma zanieść do złotnika i zapytać się o wartość, a może wystawić się na śmiech. Takie były naprzemian uczucia Fabioli wracającej do domu.

— Czyje mogą być te zdania? Ani greckiego, ani rzymskiego filozofa; są albo bardzo fałszywe, albo bardzo prawdziwe; albo wzniosłą cnotą, albo podłym kłamstwem. Czy można podług tej nauki postępować, czy też jest ona tylko świetnym paradoksem? Nie chcę dłużej męczyć się nad tym przedmiotem. Albo raczej poradzę się Syry; podobne to do jej pięknych a niepraktycznych teorii. Nie, lepiej nie mówić z nią o tym. Bałamuci mnie wzniosłymi dążnościami, tak niedostępnymi dla mnie, chociaż jej się tak prostymi wydają. Umysł mój potrzebuje spoczynku. Otóż najlepszy sposób pozbycia się odrazu przyczyny niespokojności i zapomnień o tych męczących słowach. Niechaj lecą na wiatr lub niepokoją tego, kto je znajdzie przy drodze...

Ho! Stój Formio, zatrzymaj konie i podnieś ten kawałek pergaminu, który upuściłam.

Woźnica wypełnił rozkaz pani, chociaż pomyślał, że karta umyślnie została wyrzucona. Fabiola schowała ją na piersi, jakby pieczęć na sercu; a to serce już ciche było i spokojne, dopóki nie stanęli w domu.

ROZDZIAŁ XVIII.

Pokusa.

Bardzo rano przewodnik z mułem stanął pod drzwiami Chromacjusza. Zawieszone na mule dwie niewielkie sakwy stanowiły cały majątek Torkwata. Wielu przyjaciół odprowadziło go do bramy, aby z nim zamienić pocałunek rozstania. Bodajby nie był podobny pocałunkowi w ogrodzie Getsemane! Niejeden szepnął w ucho przyjaciela czule, łagodne słowo, zachęcając, aby był wierny łasce Pana, a Torkwatus gorąco i zapewne szczerze obiecywał dotrzymać przyrzeczenia. Inni, wiedząc, że odjeżdżający niebogaty, wcisnęli mu w rękę skromny datek i błagali, aby unikał dawnych znajomości i miejsc, gdzie uczęszczał przed nawróceniem. Nareszcie Polikarp, przewodnik i nauczyciel gromadki, wziął go na bok, i ognistymi słowy, błagał, aby się poprawił z niedoskonałości, nieznaczących może, ale niebezpiecznych, które się w postępowaniu jego dostrzegać dawały; aby nie puszczał wodzów lekko-myślności, której często w postępowaniu swoim dał dowody, a pilniej się do chrześcijańskich cnót przykładał. Torkwatus obiecywał być posłusznym; ukląkł, ucałował rękę czcigodnego kapłana i przyjął błogosławieństwo; potem odebrał listy polecające i niewielką sumkę na opędzenie kosztów.

Nareszcie wszystko było gotowe, ostatnie „bywaj zdrów” zamienione, ostatnie szczęśliwej drogi życzenie; Torkwatus, dosiadłszy muła prowadzonego przez przewodnika, jechał zwolna wzdłuż ulicy prowadzącej do bramy. Długo potem, gdy wszyscy już powracali do

domu, Chromacjusz stał we drzwiach zamyślony, spoglądając za odjeżdżającym. Takim wzrokiem musiał spoglądać ojciec ewangeliczny za marnotrawnym synem.

Ponieważ willa nie była na bitej drodze, skromny czworonogi ekwipaż najęty był dla zaprowadzenia podróżnego przez pola do Fundi (teraz Fondi), jako do najbliższego miasta. Tam miał obmyśleć sobie dalszy sposób odbycia podróży. Pieniądze Fabioli usunęły wszakże wszelkie w tym względzie trudności.

Droga, którą jechał, rozmaite roztaczała piękności. Czasem wiała się wzdłuż brzegów rzeki Liris, strojnych w wille i chaty. Czasem spuszczała się z Apeninów przez maleńkie samotne dolinki, obmurowane skałami, wysłane mirttem, aloesem, dzikim winem, a na zieleni odbijała się tu i owdzie biała kózka, niby płatek śniegu, a wzdłuż drogi kręcił się i mruczał wąski strumyczek, który zapewne zazdrościł górskim potokom, bo z takim szumem pędził i tak usiłował pienieć miniaturowe nurty swoje i zdawał się cieszyć dokonanym skokiem, przeskakując dwa naraz kamyki i wpadając w przepaść ukrytą pod ogromnym akan-towym liściem. Potem droga wychodziła z jaru wśród prześlicznych widoków na rozległe ogrody Kampanii, z błękitną zatoką Gaecką w głębi, na której zdala jaśniały białe żagle, jakby gromady jasnopiórych ptaków, kąpiących się i pluskających w jeziorze.

Jakie były myśli podróżnego pośród tych zmiennych scen nowego aktu w dramacie życia jego? Czy te sceny bawiły? Czy rozkoszą napawały? Czy unosiły ducha jego, czy przygnębiały? Oko wędrowca zaledwie spostrzegało tyle piękności. Odbiegało wraz z myślą

lą daleko ku ciemnym portykom i hałaśliwym ulicom stolicy. Zakurzony ogród i sztuczna fontanna, marmurowa łaźnia i malowane sklepienie piękniejsze były w oczach jego, niż świeże jesienne, winne latorośle, przezroczyste strumyki, modry ocean i lazurowe niebo. Nie zwrócił wprawdzie myśli swej na chwilę ku haniebnym czynom, bezbożnym obyczajom, nie pomyślał o zbytku, o rozpuszcie, o bałwochwalstwie, o nierzetelności, o oszczerstwach, o oszukaństwach, o nieczystościach stolicy. O, nie! Cóżby on, chrześcijanin, mógł mieć wspólnego w tym wszystkim? Czasem gdy wpadł w zamyślenie, widział w ciemnym zakątku sali w Termach stół, naokół którego zadasani, lecz chciwi gracze rzucili po dwie kostki i czuł jak go zwolna a gorączkowo przejmowała żądza oddawna przytłumiona, lecz para łagodnych oczu, podobnych do oczów Polikarpa, zajaśniała za stołem, a żądza ucichła. Potem marzył, że siedzi u klonowego stołu, a złoty kielich Falernu, wraz z rozmową podochoconą wkoło stołu krąży, lecz zasmucone oblicze Chromacjusza ukazuje się naprzeciwko, a wino znika, rozmowa ustaje.

W istocie do niewinnych przyjemności stolicy cesarskiej wracała myśl młodzieńca: do spacerów, muzyki, malowideł i artystycznych piękności. Zapomniał, że ta wykwinność jest żywiołem niezmiernego zbioru ludzkich istot nieszczęśliwych i łaknących, że zapala namiętność, ambicję podnieca, postanowienia osłabia, hart tępi! Biedny młodzieniec! myślał, że może przechodzić przez ogień i nie spalić się! Biedna cma, chciała przelecieć przez płomień, a nie okopcić skrzydeł swoich.

W podobnym usposobieniu jechał przez

ciasny wawóz, a gdy ten nagle się rozszerzył i otworzył, ujrzał podróżny przed sobą małą zatokę morską, a na niej samotną, nieruchomą łódkę. Ten widok naraz przypomniał mu powieść, którą słyszał w dzieciństwie, czy prawdziwa czy nie, o tem nie myślał, lecz zdawało mu się, że scenę tę widzi przed sobą.

Był raz młody śmiały rybak, osiadły na wybrzeżu południowych Włoch. Jednej nocy burzliwej i ciemnej, gdy ojciec i bracia jego nie mieli odwagi puścić się na wodę w silnie zbudowanej łodzi, młody rybak, gardząc napomnieniami, puścił się sam w maleńkim czółenku, które odwiązał od ojcowskiej łodzi. Wiatr dał silnie, a rybak płynął bez troski w wąskiej, lekkiej łódeczce, póki nie zajaśniało słońce świetne i gorące nad spokojnym, jasnym morzem. Trudem i gorącym znużony, usnął; lecz po niedługim czasie obudzony został głośnymi krzykami. Obejrzał się wkoło i ujrzał rodzinną łódź, z której rybacy wołali głośno i rękami migali, aby się wracał; lecz nie starali się zbliżyć do niego. Czego chcieli? Dlaczego wołali? Uchwycił za wiosło i silnie pruć fale, chcąc się do wołających dostać; lecz wkrótce z zadziwieniem spostrzegł, że statek rybacki, do którego był obrócił pierś swej łódki, ukazał się teraz z tyłu, a potem, gdy znowu łódkę obrócił, ukazał się statek na przeciwnej stronie. Widocznie łódka wirowała kołem w spiralnych kręgach, i co chwila nowe zawodziła koło, a coraz ciasniejsze. Okropna prawda zabłysła; zrzucił tunikę i jak obłąkany machał wiosłami, lecz chociaż wyłamał się z koła, to mimo to wir ciągle i gwałtowny wściekłych, spienionych nurtów zbliżał go do środka, a w tym środku widniał punkt czarny, straszli-

wy, otchłań bezdenna! Wtenczas rozpaczliwie rzuca wiosło i rękami macha jak szalony, a ptak morski w pobliżu skrzeczący słyszał z piersi nieszczęśliwego krzyk tak głośny, jak swój własny: *Charybdis!* Tak się nazywał potężny wir morski między Sycylią i Sardynią.

Wreszcie koło, w którym wiruje łódka, zaledwie większe od niej samej; na dno łodzi rzuca się nieszczęsny, oczy i uszy zatyka rękami, wstrzymuje oddech, nareszcie czuje już ponad sobą szumiące nurty, i przepada w otchłani.

— Chciałbym wiedzieć — mówi Torkwatus sam do siebie — czy istotnie zginął kto kiedy w ten sposób? Albo czy to tylko alegoria? Jeśli tak jest, jakież jej znaczenie? Czyby można w ten sposób wciągniętym być w przepaść duchową? Czy terazniejsze myśli moje nie są tym zewnętrznym kołem, które mię ujęło...

— Fundi — zawołał przewodnik, wskazując na miasto tuż przed nimi, i muł począł stąpać po szerokich taflach bruku.

Torkwatus przejrzał listy i wyjął ten, który był przeznaczony do tego miasta. Przewodnik zaprowadził go do skromnej gospody dla najuboższych podróżnych i, zapłacony, oddalił się, klnąc na skapstwo podróżnego. Potem Torkwatus, wywiedziawszy się o drogę do domu Kassjana, nauczyciela szkolnego, udał się do niego i list oddał. Przyjęty był z taką czułością, jakby w domu rodzicielskim, i zaproszony na skromny obiad nauczyciela, usłyszał historię jego przeszłego życia.

Rodem z Fundi, Kassjanus utrzymywał w Rzymie z wielkim powodzeniem szkołę. Lecz widząc, że prześladowanie się zbliża, a że jego wyznanie odkryte, sprzedał szkołę i powrócił do rodowitego miasteczka, gdzie po wakacjach

miał sobie obiecane lekcje u dzieci możniejszych obywateli. W chrześcijańskim widział tylko brata, i jako z bratem rozmawiał z Torkwatem bez obawy o przeszłych zdarzeniach życia i o przyszłych widokach swoich. Dziwaczna myśl nasunęła się Torkwatowi, że może kiedyś te szczegóły opłaca się złotem.

Jeszcze wczas było, gdy Torkwatus pożegnał Kassjana, i pod pozorem interesu, który miał do załatwienia w mieście, nie dozwolił, aby go odprowadzał. Kupił sobie najpiękniejszą odzież, udał się do najlepszej gospody i obstałował parę koni z woźnicą na dalszą drogę, gdyż, aby dopełnić zlecenia Fabioli, musiał jechać dzień i noc, zmieniając konie za każdym popasem. Tak też jechał aż do Bovillae na początku Albańskich wzgórz. Tu wypoczął, zmienił odzież i jechał wesoło ulicą Grobów, prowadzącą do bramy stolicy, której mury więcej złego i dobrego zawierały, niż wszystkie razem wzięte prowincje państwa.

ROZDZIAŁ XIX.

Upadek.

Torkwatus, strojnie ubrany, udał się prosto do domu Fabiusza, oddał list, odpowiedział na wszystkie zapytania, i przyjął bez wielkiego nalegania zaproszenie na wieczerzę tego samego dnia.

Szedł potem szukać pomieszkania, zastosowanego do terazniejszego stanu kieszeni i z łatwością je znalazł.

Fabiusz, jakśmy rzekli, nie towarzyszył córce na wieś, i rzadko ją odwiedzał. W isto-

cie nie miał upodobania w zielonych łąkach i mruczących strumykach, wołał pogadanki i wolnomyślne towarzystwo rzymskie. W ciągu roku przytomność córki pozbawiała go części ulubionej wolności; lecz gdy pani domu z dworem swoim odjeżdżała do Kampanii, dom Fabiusza ożywiał się i napełniał ludźmi, którychby nigdy przy córce nie dopuścił. Rozpustnicy otaczali stół jego, a nieumiarkowane picie do późnej nocy z grą i wyuzdaną zabawą, zwykle następowało po sutej biesiadzie. Zaprosiwszy Torkwata na wieczerzę, szedł Fabiusz szukać innych gości. Wkrótce napotkał gromadę sykofantów, włóczących się w pobliżu dobrze mu znanych miejsc, wyglądających właśnie jego zaprosin. Lecz gdy powracał od łaźni Tytusowych, postrzegł dwóch ludzi w niewielkim gaju obok świątyni żywo rozmawiających. Przypatrzywszy się chwilę postąpił ku nim, lecz wstrzymał się w małej odległości czekając, aż przerwą rozmowę, którą posłyszał:

— Niema więc wątpliwości co do tych nowin?

— Żadnej. Niezawodnie lud powstał w Nikomedii, spalono chrześcijański kościół, tuż pod bokiem pałacu. Ojciec mój słyszał o tym dzisiaj rano z ust sekretarza cesarskiego.

— Co za szalona myśl tych ludzi budować swój kościół w najznaczniejszym miejscu miasta? Musieli przecie wiedzieć, że czy wcześniej lub później powstanie duch religijny narodu przeciw jawnemu wyznawaniu obcej religii, która jest solą w oku cesarstwa.

— Pewnie, jak mówi mój ojciec, gdyby ci chrześcijanie mieli rozum, ukrywaliby głowy i chowali się po kątach, gdzie są tak łaskawie cierpieni do czasu przez najlitościwszych mo-

narchów. Ale że nie chcą tak postępować i wnoszą kościoły na otwartych miejscach a nie po wąskich uliczkach jak dawniej, wcale się nie martwię. Można zdobyć sobie pewne imię, a także majątek, polując na to szkaradne plemię i wytępiając je, ile można.

— Prawda, lecz zmierzajmy do celu. Wszakże stało się między nami, że gdy odkryjemy chrześcijan bogatych, a nie zbyt wpływowych u dworu, będzie dobra gratka. Będziemy sobie pomagali nawzajem. Masz na myśli śmiałe i gwałtowne sposoby; ja, co do mnie, namyślać się będę. Lecz każdy zbierać będzie dla siebie wszystkie korzyści po tych, których sam odkryje, a wspólną zdobyczą dzielić się będziemy, prawda?

— Tak jest..

Fabiusz w tej chwili przystąpił z serdecznym uściskiem.

— Jak się masz, Fulwiuszu? Od wieków cię nie widziałem; pójdz na wieczerzę do mnie; zaprosiłem kilku przyjaciół, a twój przyjaciel zechce ci towarzyszyć, mam nadzieję. Wszak to Korwin, jeśli się nie mylę?

Korwin odpowiedział niezgrabnym ukłonem.

— Dziękuję ci — odrzekł Fulwiusz — lecz nie mogę, bo już jestem zaproszony na dzisiaj.

— Żarty! — rzekł dobroduszny Fabiusz — prócz mnie nie ma nikogo w mieście, u kogoś mógł być na wieczerzy. Lecz czy w moim domu morowe powietrze, żeś u mnie nogą ani razu nie powstał od owego obiadu, przy którym się z Sebastianem kłóciłeś? Albo czy cię jakie czary odstraszyły?

Fulwiusz pobladał, i biorąc Fabiusza na bok, powiedział:

— Prawdę powiedziawszy, coś podobnego do czarów.

— Spodziewam się — rzekł Fabiusz nieco zadziwiony — że nie od naszej czarnej niewolnicy; dałbym wiele, żeby jej się pozbyć z domu. Lecz — mówił dalej wesoło — myślałem doprawdy, że cię innego rodzaju czarodziejka opanowała tego wieczora. Widziałem dobrze, że nie spuściłeś oczu z mojej młodej krewnej, Agnieszki.

Fulwiusz spojrział z pewnym zadziwieniem i po chwili odrzekł:

— A jeśli by nawet tak było, zauważyłem, że córka twoja postanowiła mocno zniweczyć me zamiary.

— Czy tak myślisz? Więc to tłumaczy twój upór nie przestąpienia progu naszego. Lecz Fabiola jest filozofką i nie rozumie tych rzeczy. Pragnąłbym istotnie, by raz książki porzuciła i pomyślała o stosownym dla siebie małżeństwie, zamiast żeby miała drugim przeszkadzać. Lecz mam lepsze dla ciebie wiadomości: Agnieszka tyle jest tobie przychylna, ileś sam do niej przywiązany.

— Czy być może? Jakżeś się mógł tego dowiedzieć?

— Oto jeśli ci mam odkryć, cobym oddawna był powiedział, gdybyś od nas nie stronił, zwierzyła mi się tego samego dnia.

— Tobie?

— Tak jest, twoje klejnoty zdobyły serce. Tyle mi powiedziała. Wiem, że tylko o tobie mogła w ten sposób wspominać. Tak jest, pewny jestem, że o tobie.

Fulwiusz zrozumiał, że mowa o kosztownych klejnotach, które na sobie nosił; a Fabiusz wspominał o darach, które jak mniemał Agnieszka od Fulwiusza odebrała. Otóż — myślał Fulwiusz — nie tak trudna do zdobycia,

mimo powierzchownej oziębłości; i widział już przed sobą dostojęstwa i bogactwa jeśli zręcznie sprawę swoją poprowadzi, gdy Fabiusz przerwał mu błogie marzenie:

— Teraz tylko śmiało nalegaj, a powiadam ci, zdobędziesz ją mimo niechęci Fabioli. Lecz w tej chwili nie masz jej się czego obawiać. Z dworem swoim wyjechała, pomieszkanie jej zamknięte i tylnymi drzwiami wejdziemy do najweselszej części domu.

— Przyjdę z pewnością — odrzekł Fulwiusz.

— Korwin z tobą — dodał Fabiusz, oddalając się.

Nie będziemy szczegółowo opisywali uczty, powiemy tylko, że wina najrzadsze płynęły tak obficie, że wszyscy goście rozgrzali się i podochocili nadmiernie. Fulwiusz jeden zachował całą przytomność umysłu.

Mówiono o wiadomościach ze wschodu. Po zniszczeniu świątyni w Nikodemii, podłożony miał być ogień w pałacu cesarskim. Nie ulegało wątpliwości, że cesarz Galeriusz był sam sprawcą pożaru, lecz złożył winę na chrześcijan i tym sposobem poduszczał nieskorego Dioklecjana, aby nakazał prześladowanie. Każdy przewidywał, że przed upływem kilku miesięcy edykt cesarski ukaże się w Rzymie i znajdzie w Maksymianie chętnego wykonawcę rozkazu.

Goście byli w ogólności skorzy do pastwienia się nad ubitą zwierzyną. Sprawiedliwe bowiem ocenianie ludzi, głosem ogółu potępionych, wymaga odwagi bohaterskiej i nie może być cnotą powszednią. Nawet najwspanialszymiśniewierzyli wynajdowali przyczyny, aby chrześcijan wyłączyć spod wszelkiego prawa ludzkości.

Jeden nie mógł znieść ich tajemniczości, drugi się gniewał na ich tak zwany radykalizm, trzeci widział w nich przeciwników prawdziwej wielkości państwa, inny w wierze chrześcijańskiej upatrując obcy żywioł, chciał, by chrześcijanie byli z państwa wyrzuceni. Jeden gorszył się niegodziwą ich nauką, inny obyczajami haniebnymi. Podczas tych rozpraw, a raczej jednogłośnych krzyków, Fulwiusz, przeszedłszy wzrokiem wszystkich gości, wlepił badawcze oko w Torkwata. Młodzieniec milczał, lecz lica jego naprzemian blade i rumieńcem się okrywały. Wino podniecało oburzenie, inną jakąś siłą widocznie tłumione. To ścisnął pięści i do piersi przyciskał, to wargi przygryzał. To kruszył machinalnie chleb w palcach, to bezprzymtomnie wychylał nabyary wina.

— Ci chrześcijanie nienawidzą nas i chcieliby nas wszystkich wytepić—powiedział ktoś. Torkwatus chciał powstać, otworzył usta, lecz milczał.

— Rzeczywiście — rzekł inny — chcą nas wytepić. A czy nie spalili Rzymu za Nerona? Czy świeżo nie podpalili pałacu w Azji nad głową samego cesarza?

Torkwatus podniósł się na łożu, wyciągnął rękę, jakby miał odpowiedzieć, lecz napowrót ją spuścił.

— Ale co stokroć gorsza, szerzą antyspołeczną naukę, do okropnych zbrodni prowadzącą, upodlają siebie samych oddając obrzydliwą cześć ośle głowie—mówił trzeci.

Torkwatus był jak na mękach, i podnosząc się, wznosił rękę, gdy Fulwiusz dodał z zimnym wyrachowaniem i szyderstwem:

— Ba, i dziecię zarzynają i pożerają ciało i krew jego na każdym zebraniu swoim.

Ręka nieszczęśliwego Torkwata opadła na stół z taką siłą, że wszystkie kubki i puławy podskoczyły i zabrzęczały, a on zduszonym głosem zawołał:

— Kłamstwo!

— Jak możesz wiedzieć—zapytał Fulwiusz najśłodszy głosem i wejrzeniem.

— Jak?—krzyknął Torkwatus w najgwałtowniejszym uniesieniu—bo sam jestem chrześcijaninem i gotów jestem umierać za wiarę!

Gdyby przepyszny alabastrowy posąg z brązową głową, w framudze poza stołem stojący, był w tej chwili upadł i na kawałki się zdruzgotał na marmurowej posadzce, nie byłby strachu większego sprawił, niż to nagłe wyznanie. Wszyscy w pierwszej chwili osłupieli. Następnie w długim milczeniu odmalowały się na twarzach różne namiętności. Fabiusz był niezmiernie zawstydzony, że gościom swoim złego towarzysza sprowadził. Kalpurniusz zżymał się, uważając widocznie za ułóżenie dla siebie obecność człowieka, który rościł sobie większą od niego samego znajomość chrześcijan. Młodzieniec jakiś rozwarł usta, wlepiając oczy w Torkwata, jakby osobliwość jaką, a sąsiad jego, starzec surowego wejrzenia, zdawał się szukać wokoło, na kimby wywrzeć zapalczywość gniewu swojego. Zezowaty Korwin patrzył na biednego chrześcijanina z tym rodzajem rozkoszy napół głupiej, napół dzikiej, z jaką wieśniak spoglądać może na kreta, gdy go zastaje rano w zastawionej na noc łapce. Lecz wyraz twarzy Fulwiusza był nad wszystkie inne godny zastanowienia. Jeśli kiedy badacz natury miał sposobność przypatrzeć się przez mikroskop, jak pajak wygląda, gdy po długim czatowaniu spostrzeże muchę ociężałą,

pełną krwi wyssanej, zbliżającą się do jego sieci, z jakim nateżeniem śledzi każde poruszenie jej skrzydełek, i jak się namyśla, jakby najlepiej zarzucić pierwszą tylko nić koło niebacznej muchy, pewny, że wtenczas wszystko, co ją napelnia, jemu się dostanie, ten mógłby mieć dokładne wyobrażenie o wyrazie twarzy i o uczuciach Fulwiusza. Mieć w rękach swoich chrześcijanina gotowego do zdrady, było od dawna życzeniem i przedmiotem zabiegów jego. Miał tu właśnie takiego, szło tylko o to, jakby go opanować. Ale skąd to Fulwiusz naprzód wiedział? Oto, że znał chrześcijan o tyle, aby wiedzieć, że żaden prawdziwy wyznawca Chrystusa nie pozwoliłby sobie ani pić bez miary, ani popisywać się z gotowością szukania męczeństwa.

Biesiadnicy się rozeszli, każdy uciekał od jawnego chrześcijanina, jak od zarażonego morowym powietrzem. Widział się opuszczonym i ukorzonem, gdy Fulwiusz, szepnąwszy słowo Fabiuszowi i Korwinowi, zbliżył się, i biorąc go za rękę, przemówił uprzejmie:

— Obawiam się, żem nieroztropnie mówił, wywołując z ciebie wyznanie, które może być niebezpieczne.

— Nie boję się niczego — odrzekł Torkwatus znowu z uniesieniem. — Nie odstąpię sztan-daru mego do ostatniej chwili.

— Cicho — przerwał Fulwiusz — niewolnicy mogą cię zdradzić. Pójdź ze mną do drugiego pokoju, pomówimy z sobą spokojnie.

To mówiąc, wprowadził Torkwata do pięknej komnaty, w której Fabiusz kazał zwykle zastawiać kubki i flaszki wina dla tych, którzy stosownie do zwyczaju rzymskiego lubili się schodzić na pijatykę i rozpustę. Lecz tyl-

ko Korwin, wezwany przez Fulwiusza, wszedł za nimi.

Na ślicznie wykładanym stole leżały kostki. Fulwiusz, zaprosiwszy Torkwata do dalszego picia, niedbale wziął kostki i dla zabawy rzucał po stole, rozmawiając tymczasem o różnych przedmiotach.

— Na Jowisza! — zawołał, jaki ja niezgrabny; szczęście, że z nikim nie gram, bobym się zrujnował. Spróbuj, Torkwacie!

Gra, jakęśmy już pierwszej widzieli, była największym szczęściem Torkwata: za jej następstwa wtrącony był do więzienia, gdzie go Sebastian nawrócił. Gdy wziął kostkę w rękę, jakby mimowolnie, bez zamiaru grania, Fulwiusz wlepił weń oczy, jak ryś w upatrzoną zdobycz. Oczy zaś Torkwata ogniem płonęły, usta i ręka drżały. Fulwiusz w pewności ręki, w doświadczonym ruchu przegubu, w bystrym liczeniu wartości rzutu poznał od razu gwałtowność pierwszej zadanej pokusy.

— Zdaje mi się, że nie jesteś biegłym ode mnie w tej nie mądrej sztuce — rzekł obojętnie — lecz pewny jestem, że Korwin dałby ci się namówić, byleby do bardzo małej gry.

— O tak, musiałaby być bardzo mała, jedynie dla rozrywki, bo wyrzekłem się gry na prawdę. Kiedyś, zapewne... lecz nie o tym mowa.

— Chodź — rzekł Korwin, którego Fulwiusz spojrzaniem namówił do gry.

Poczęli rzucać na małe stawki i Torkwatus ciągle wygrywał. Fulwiusz poił go winem coraz cięższym i wkrótce niebaczny młodzieniec stał się bardzo rozmowny.

— Korwin, Korwin — szukając w pamięci

rzekł w końcu Torkwatus — czy to nie jest imię, o którym Kasjanus wspominał.

— Kto? — zapytał Korwin z zdziwieniem.
— Tak, właśnie to samo — mówił dalej Torkwatus sam do siebie: — Wielki gbur. Czy to ty — zapytał, patrząc w Korwina — targnąłeś się na tego miłego chrześcijańskiego chłopca, Pankracjusza?

— Korwin bliski już był napadu wściekłości; lecz Fulwiusz powstrzymał go skinieniem ręki i w samą porę mieszając się do rozmowy rzekł:

— Ten Kassjanus, o którym wspominasz, niepospolity podobno nauczyciel; proszę cię, gdzie on mieszka?

— Wiedział, że Korwin chciał się o tym dowiedzieć i dla dogodzenia mu podsunął za pytanie. Torkwatus odpowiedział:

— Mieszka, niech się namyśle... nie, nie; nie chcę być zdrajcą. Nie, gotów jestem na męczarnie lub na spalenie żywcem, lub na śmierć za wiarę, lecz nie zdradzę nikogo, tego nie uczynię.

— Ustąp mi miejsca, Korwinie — rzekł Fulwiusz, widząc, że Torkwatusa zapał do gry wzrasta. Użył więc tyle sztuki, że podwoił pilność i napięcie przeciwnika. Postawił cokolwiek większą stawkę. Torkwatus po chwilowym namyśle grał i wygrał. Fulwiusz zdawał się rozdrażniony. Torkwatus zabrał obie sumy. Fulwiusz zrazu niby się wahał, lecz postawił równej wartości sumy i znowu stracił. Gra szła dalej w milczeniu; naprzemian wygrywali i tracili, lecz Fulwiusz miał stalsze szczęście i więcej zbierał. Naraz Torkwatus podniósł oczy i zadrżał. Zdawało mu się, że widzi bogobojnego Polikarpa za stołkiem prze-

ciwnika swego. Przetarł oczy i zobaczył tylko Korwina, który w niego oczy wlepił. Teraz dobył całej sztuki swojej. Sumienie zamilkło, wiara się chwiała, łaska już go opuściła. Bo szatan chciwości, rabunku, nierzetelności i obojętności powrócił i przywiódł siedmiu duchów gorszych od siebie do tej duszy raz już oczyszczonej, lecz źle zabezpieczonej; i gdy szatany weszły, wszystko, co święte, wszystko co dobre, uleciało.

Nareszcie ciągłymi stratami i winem do szaleństwa doprowadzony, gdy częstym sięganiem ręki wypróżnił niemal ciężką sakiewkę Fabioli, rzucił ją na stół. Fulwiusz z zimną krwią otworzył sakiewkę, wypróżnił, porachował pieniądze i postawił naprzeciw też samą ilość złota. Obaj gotowali się do ostatecznej walki. Nieszczęsne kostki padały, każdy poglądał w milczeniu na kropki. Fulwiusz zgarnął pieniądze na stół, zakrywając głowę rękami. Fulwiusz dał znak Korwinowi, aby wyszedł z pokoju.

Torkwatus tupął nogami o ziemię, jęczał, zgrzytał zębami i włosy wyrывał. Głos szepotał mu do ucha: — Czy jesteś chrześcijaninem? — Który to był z siedmiu duchów? Zapewne najgorszy.

— Już nie ma ratunku — mówił głos dalej — znieważyłeś i zdradziłeś wiarę twoją.
— Nie, nie — jęczał nieszczęśliwy w rozpacz.

— Tak jest, w pijaństwie wszystko nam powiedziałeś; to dosyć, aby ci się zamknął na zawsze powrót do tych, których zdradziłeś.

— Precz, precz stąd — wołał żałośnie dręczony grzesznik. — Bóg mi przebaczy.

— Milcz! nie wymieniaj imienia tego: spod-

liłeś się, zdradziłeś, zgubiłeś się na zawsze. Jesteś nędzarzem, jutro żebrać będziesz musiał na chleb. Jesteś wygnańcem, zrujnowanym marnotrawcą i graczem. Kto o tobie myśleć będzie? Czy przyjaciele chrześcijanie? A mimo to jesteś chrześcijaninem; i na drobne kawałki poszarpanym będziesz, umrzesz okropną śmiercią, jako chrześcijanin, a przecież nie będziesz czczonym przez nich, jako męczennik. Jesteś obłudnikiem, Torkwacie, i niczym więcej.

— Któż to jest, kto mię tak dręczy? — zawołał i spojrzał w górę. Fulwiusz stał przy nim z założonymi rękami.

— A gdyby to wszystko prawdą było, co tobie do tego? Cóż mi masz więcej powiedzieć? — mówił dalej.

— Więcej daleko, aniżeli myślisz. Wpadłeś zupełnie w ręce moje. Jestem panem twoich pieniędzy — (pokazał sakiewkę Fabioli — twej czci, twego losu, twego życia. Niech tylko dam znać twoim braciom chrześcijanom coś uczynił, coś mówił, czemeś był tej nocy, a nie będziesz śmiał pokazać im się na oczy. Niech tylko puszczyć na ciebie tego „wielkiego gbura”, jak go nazwałeś, lecz który jest synem prefekta miasta (nikt prócz mnie nie zdoła go powstrzymać po takiej obeldze), a jutro rano staniesz przed trybunałem ojca jego, aby umierać za tę religię, którąś zdeptał i zdradził. Czy gotów jesteś teraz, pijany graczem, chwiejąc się na nogach, zataczając się, przedstawić przed trybunałem na forum twoje chrześcijaństwo?

Upadły nie miał odwagi pójść za przykładem żalu marnotrawnego syna, jak szedł za przykładem grzechu. Popadł w główny grzech swój, żalu nie czuł, nadzieja zgasła.

Siedział i milczał, nareszcie Fulwiusz obudził go zapytaniem:

— Jakiż twój wybór, czy wolisz powrócić odrazu do chrześcijan z dzisiejszym grzechem na sumieniu, czy stanąć jutro przed sądem? Cóż wybierasz?

Torkwatus podniósł oczy z osłupiałym wyrazem i słabo odpowiedział:

— Ani jedno, ani drugie.

— A więc coś chcesz począć — zapytał Fulwiusz, wlepiając weń sokołe oko.

— Co chcesz — rzekł Torkwatus — byle ani jedno, ani drugie.

Fulwiusz siadł przy nim i rzekł słodkim, łagodnym głosem:

— Teraz, Torkwacie, słuchaj mnie, uczyn to, co ci powiem, a wszystko się da naprawić. Będziesz miał mieszkanie i jedzenie, odzież i pieniądze do gry, jeśli tylko mnie usłuchasz.

— I cóż mam robić?

— Wstań jutro rano, jak zazwyczaj, pójdz jako chrześcijanin spokojnie pośród przyjaciół twoich, sprawiaj się tak, jak gdyby nic nie było zaszło, lecz odpowiadaj potem na wszystkie moje pytania, mów mi o wszystkim.

Torkwatus zajęczał:

— Zdradzić mi każesz.

— Nazwij to jak chcesz, lecz wybieraj: to, albo śmierć i śmierć w długich mękach! Słysz, jak Korwin niecierpliwie stąpa wzdłuż i wszerz podwórza, Prędko! co wybierasz?

— Nie śmierć, o, nie! wszystko, byle nie śmierć!

Fulwiusz wyszedł i zastał przyjaciela rozgniewanego gniewem i winem; z trudnością zdołał go uspokoić. Korwin był prawie zapomniat dawnej urazy do Kassjana, lecz teraz cała nie-

nawiść odżyła i pałał żądzą zemsty. Fulwiusz obiecał odkryć, gdzie mieszka Kassjanus i tym sposobem chciał się zabezpieczyć od gwałtownego i nierozmyślnego kroku ze strony Korwina, który obiecał czekać i odszedł do siebie. Wtedy Fulwiusz powrócił do Torkwata, chcąc mu towarzyszyć do domu, aby się upewnić, gdzie mieszka. Gdy tylko opuścił pokój, nieszczęśliwy wstał ze stolka i przechadzając się, usiłował uspokoić zmysły i odzyskać panowanie nad sobą. Lecz nadaremnie; zdawało mu się, że pokój obraca się wkoło i kołysze się z góry na dół; czuł się chorym i serce biło mu tak mocno, że słyszał każde uderzenie. Wstyd, zgryzota, pogarda siebie samego, nienawiść ku sprawcom zguby swojej i ku sobie, boleść wygnańca, rozpacz potępieńca, jak czarne fale przepływały przez duszę jego naprzemian, jedna górę biorąc nad drugą. Niezdolny utrzymać się dłużej na nogach, rzucił się na jedwabne łożo, przycisnął gorące czoło do lodowatych rąk i jęczał.

Wszystko kręciło się wirem wokoło niego i nieznośny szum miał w uszach.

Fulwiusz zastał go w tym stanie.

CZEŚĆ DRUGA

W A L K A.

ROZDZIAŁ I.

Diogenes.

Ryk lwów w pobliżu amfiteatru, który zadziwił, lecz nie przeraził Sebastiana, wiadomości ze wschodu, czarne zamysły Fulwiusza, groźby Korwina zapowiadały, że wkrótce ponowią się okropne prześladowania i krew chrześcijańska płynąć będzie obfitszym strumieniem, aniżeli kiedykolwiek dotąd. Kościół, zawsze spokojny i przezorny, dostrzegał liczne znaki, zwiastujące bliską walkę i czuwał nad swymi przyszłymi wojownikami.

W końcu października znany nam już młodzieniec, starannie okryty płaszczem, przebiegał ciemne i wąskie uliczki dzielnicy zwanej Suburra. Ta część miasta, której rozległość i dokładne położenie dotąd jeszcze jest przedmiotem badań, niewątpliwie niedaleko była od forum. Ponieważ zbrodnia najnieszczęśliwiej często idzie w parze z biedą, obie tutaj znalazły wspólne schronienie. Pankracjusz nie zdawał się bardzo obeznany z tą częścią miasta i kilka razy zmylił drogę, nim doszedł do

ulicy, do której zmierzał. I tak jeszcze dla braku numerów nie łatwo było trafić. Obejrzał się za najporządniejszym domem w ulicy, a ponieważ tylko jeden dom ochędóstwem odznaczał się między innymi, śmiało do drzwi zapukał. Wyszedł otworzyć stary człowiek, imieniem Diogenes. Wysoki był i szeroki w barkach, jakby przyzwyczajony do dźwigania ciężarów, co wszakże dawało mu chód pochylony. Włosy srebrne spadały po skroniach kolosalnej głowy, rysy głębokim smutkiem napiętnowane, choć spokojne, tchnęły jak i cała postać starca, uroczystą smętnością. Zdawało się, że często z umartwymi przestawać musiał, i że pomiędzy nimi najlepiej mu było. Dwaj synowie, Majus i Sewerus, piękni, atletycznej budowy młodzieńcy, pracowali przy ojc. Pierwszy rzeźbił albo raczej wydrapywał litery na starej tafli marmurowej, która na drugiej stronie nosiła jeszcze ślady pogańskiego grobowego napisu, zatartego przez nowego właściciela. Pankracjusz spojrzał na robotę i uśmiechnął się, gdyż każde słowo było przekrecone.

Drugi syn zajęty był rysunkiem, w którym można było rozpoznać Jonasza polkniętego przez wieloryba i Łazarza zmartwychwstającego. Grube rysy węglem na desce były widocznie szkicem do obrazu mającego być wyrobionym w sposób doskonalszy. Diogenes zaś, gdy do drzwi zapukano, zajęty był dorabianiem nowej rękojeści do starej siekiery. Te różne zatrudnienia w jednej rodzinie mogłyby zadziwić nieświadomego przybysza, lecz bynajmniej nie zadziwiły naszego młodzieńca; wiedział dobrze, że rodzina należała do szanownego i pobożnego cechu fossorów, czyli grabarzy chrześcijańskich cmentarzów. Diogenes był głową

i naczelnikiem tego bractwa. Jednostajność urządzania licznych cmentarzy wokoło Rzymu, tak zupełna od samego początku, że nie pozostawia żadnych śladów stopniowych ulepszeń lub zmian, daje nam powód do mniemania, że te zadziwiające i czcigodne dzieła dokonywane były pod jednym przewodnictwem i zapewne przez bractwo w tym celu zawiązane nie, jak przedsiębiorstwo pogrzebowe, ciągnące zyski z grzebania zmarłych, lecz jako bractwo pobożne i przez Kościół uznane. Ważny zbiór napisów znaleziony na cmentarzu świętej Agnieszki, dowodzi, że to zatrudnienie przechodziło z rąk do rąk w jednej rodzinie, ponieważ dziadowie, ojcowie i synowie z kolei poświęcali się onemu w tym samym miejscu. Tym sposobem łatwo pojąć możemy wielką sprawność i jednostajność wykonywania, którą zauważyć się daje w katakumbach. Lecz fossorowie niezaprzeczenie wyższe mieli zadanie albo nawet i urząd w tym podziemnym świecie. Chociaż Kościół miał groby dla wszystkich dzieci swoich, prostą jest rzeczą, że niektórzy wierni pewną opłatę składać musieli od miejsc, dowolnie obranego, np. w bliskości grobu świętego męczennika! Grabarze trudnili się załatwianiem podobnych transakcyi, o których często wzmianka w starych napisach grobowych.

Pankracjusz, uśmiechnąwszy się nad niebardzo udatną robotą Majusa, zapytał:

— Czy zawsze sam wykonywałeś te napisy?

— O, nie — odrzekł młody artysta, podnosząc oczy na pytającego i uśmiechając się tak — czynię to tylko dla ubogich ludzi, którzy nie mogą zrzęczniejszej ręki zapłacić. Była to

pocziwa przekupka i jak łatwo pojdziesz, nie wzbogaciła się, zwłaszcza, że była bardzo rzetelną. A przecież dziwna myśl uderzyła mnie, gdy robił ten dla niej napis.

— Powiedz, Majusie.

— Oto pomyślałem, że może za tysiąc lat lub więcej chrześcijanie z uszanowaniem czytać będą mój niezgrabny napis o przekupce i o jej jęczmieniu i pamięć jej czcić, gdy już może wtenczas nikt ani czytać, ani nawet znać nie będzie napisu grobowego żadnego z cesarzów, którzy Kościół prześladowali.

— Trudno mi wyobrazić sobie, aby wspańnię pomniki monarchów niszczały do szczytu, a pamięć przekupki przetrwała wieki. Lecz dlaczego tak myślisz?

— Prostu dlatego, że pragnąłbym przekazać potomności wspomnienie o cnotliwym ubogim, nie zaś o bezbożnym bogaczu. I mój napis będzie czytany gdy łuki tryumfalne już będą zburzone. A przecież okropnie koszlawy, jak ci się zdaje?

— Mniejsza o to, pobożna prostota lepsza nad piękne pismo. Co to za kamień oparty o mur?

— Ach, to bardzo piękny pomnik, który przyniesiono do nas, abyśmy go na grobie ustawili; zobaczysz, że kto inny ułożył napis, a kto inny na kamieniu wyrył. Jest przeznaczony do cmentarza w willi Agnieszki, przy nomen-tańskiej drodze. Zdaje mi się, że poświęcony pamięci miłego dziecięcia, którego śmierć głęboko dotknęła cnotliwych rodziców.

Pankracjusz przybliżył światło i czytał po grecku, jak następuje:

„Dionizjusz, dziecię niewinne, spoczywa tu pośród świętych. Pamiętajcie w świętych modłach waszych o tym, który wyrzeźbił, i o tym który napisał”.

— Kochane, szczęśliwe dziecko — mówił Pankracjusz, gdy przeczytał napis — przyłącz mnie, czytelnika, do pisarza, i rzeźbiarza twego napisu w świętych modłach twoich.

— Amen! — odpowiedziała nabożna rodzina.

Lecz Pankracjusz, zdziwiony chrapliwym dźwiękiem głosu Diogenesa, obejrzał się na starca usiłującego obciąć koniec klina, zatkniętego dla przytwierdzenia drewnianej rękokojeści w tylcu kilofa, lecz co chwila, jakby mu coś wzrok zasłaniało, twardą dłonią oczy przecierał.

— Co tobie jest, mój pocziwy stary przyjacielu? — zapytał młodzieniec słodko. — Dlaczego napis młodego Dionizjusza miałby cię tak rozrzewniać?

— Przypomina mi tyle cierpień z przeszłości i nasuwa tak wiele myśli o tych, co jeszcze przyjść mają, że prawie upadam pod tymi myślami.

— Jakież to są twoje smutne myśli, Diogenesie?

— Oto widzisz, prosta rzecz wziąć na ręce miłe dziecko jak Dionizjusz, owinięte w ceratę i woniejące balsamami i ułożyć w grobie. Rodzice mogą płakać, lecz przejście jego smutku do radości było łatwe i słodkie. Całkiem zaś

inna rzecz i wymaga serca tak zahartowanego w próbach jak moje (tu znowu ręka przesunęła się po powiekach), inna to rzecz ukradkiem zbierać poszarpane ciało i pogruchotane członki takiego młodzieńca jak ty na przykład, owijać śpiesznie w śmiertelne prześcieradło, potem złożyć w drugie prześcieradło, pełne wapna zamiast balsamów, a wkońcu nieznacznie wsunąć do grobu. Och, nie tak pragnęłoby się obchodzić z ciałem męczennika!

— Prawda, Diogenesie, lecz walecznemu wodzowi pożądaną prostą żołnierski grób na polu bitwy nad rzeźbiony sarkofag. Lecz czy takie chowanie często się trafia w czasach prześladowania?

— O często, często mój miły paniczu? Pewny jestem, że jako nabożny młodzieniec, musiałeś odwiedzić grób Restytuta na cmentarzu Hermesowym w rocznicę jego śmierci.

— Odwiedzałem go i nieraz z zazdrością myślałem o tak młodym męczenniku. Czy ty go grzebałeś?

— Tak jest, rodzice kazali mi zrobić śliczny grób. Mój ojciec i ja złożyliśmy ten grób z sześciu taflí marmurowych naprędce dobranych, a ja wryłem ten napis. Zdaje mi się nawet, że pisałem lepiej od Majusa — dodał starzec pogadanką ożywiony.

— Niewielka to dla ciebie pochwała ojciec — odrzekł syn wesoło — lecz tu jest kopia napisu, o którym mowa — dodał wyjmując kartkę pergaminu z kilku zeszytów.

— Pamiętam doskonale — rzekł Pankracjusz i czytając co następuje, a wymawiając jak się należy, poprawiał w czytaniu błędy ortograficzne, składni jednak poprawić nie mógł.

„Aeliuszowi Fabiuszowi Restytutowi, wielce pobożnemu synowi, rodzice wzniesli. Żył ośmnaście lat i siedm miesięcy. W pokoju”.

Pankracjusz dodał:

— Co za szczęśliwy młodzieniec, w samym poranku życia Chrystusowi świadectwo dał.

— Bez wątpienia — odrzekł starzec — lecz pewny jestem, żeś zawsze myślał, iż jedno tylko święte ciało spoczywa w tym grobie. Kaźdyby to mniemał, sądząc po napisie?

— Zapewne, zawsze tak myślałem. A czy niesłusznie?

— Otóż nie, szlachetny Pankracjuszu. Młodszy towarzysz spoczywa obok niego w tym samym łożu. Gdyśmy zamykać mieli grób Restytuta, przyniesiono nam ciało chłopca, najwięcej dwunasto lub trzynastoletniego. O! nigdy nie zapomnę tego widoku. Powieszony został nad ogniem; głowa i kadłub, uda i kolana spieczone były do kości i tak był zmieniony, że żadnego rysu rozpoznać nie można było. Biedny! co on wycierpieć musiał! Lecz czemuż się nam nad nim rozczulać! Mało mieliśmy czasu i uradziliśmy, że ośmnastoletni żołnierz Chrystusów nie odmówi przytułku dwunastoletniemu towarzyszowi broni, lecz przyjmie go za młodszego brata: tak więc położyliśmy go w nogach Aeliusza Fabiusza. Ale nie mieliśmy drugiej flaszeczki z krwią do wstawienia na znak, że drugi męczennik spoczywa w tym miejscu, bo ogień wysuszył krew w żyłach chłopca.

— Co za święty chłopiec! Pierwszy star-

szy, drugi młodszy ode mnie. Co myślisz, Diogenesie, czy nie uważałbyś za prawdopodobne, że mi kiedyś tę samą przysługę oddasz?

— O, nie! spodziewam, się, że nie — rzekł stary grabarz znowu z przytłumioną żalością. — Nie wspominaj, błagam cię, o takim prawdopodobieństwie. Zapewne pierwaj na mnie czas przyjdzie. Czemużby miały stare stać pniaki, gdy młode drzewka padają pod ciosem?

— Dosyć, mój drogi przyjacielu, nie chciałem cię smucić. Lecz o mało nie zapomniałem sprawić się ze zlecenia, które mam do ciebie. Oto jutro rano, skoro świt, masz przyjść do domu matki mojej, aby się ułożyć co do przygotowania cmentarzy na przyszłe prześladowanie. Ojciec święty będzie tam z duchowieństwem ze wszystkich parafji, z diakonami i notariuszami, których liczbę podwojono i z tobą, najstarszym fossorem, aby wszyscy mogli w porozumieniu działać.

— Przyjdę niezawodnie — odrzekł Diogenes.

— A teraz — dodał młodzieniec — mam cię prosić o łaskę.

— Mnie o łaskę? — zapytał starzec zdziwiony.

— Tak jest; myślę, że będziesz wkrótce musiał rozpocząć pracę swoją. Często zwiadałem dla nabożeństwa nasze cmentarze, lecz nie dla nauki. Otóż teraz chciałbym mieć za przewodnika ciebie, tak obeznanego z każdą piędzią tej uświęconej ziemi.

— Z największą przyjemnością — odpowiedział Diogenes, czuły na tę pochwałę swej biegłości, lecz jeszcze bardziej ucieszony, widząc w Pankracjuszu miłośnika przedmiotów staremu grabarzowi najdroższych. — Skoro tylko odbiorę rozkazy, zaraz się udam na cmentarz św. Ka-

liksta. Czekał na mnie za bramą Kapeną na pół godziny przed południem i pójdziemy razem.

— Lecz nie będę sam — dodał Pankracjusz. — Dwaj młodzieńcy, niedawno ochrzczeni, bardzo pragną oglądać nasze cmentarze, których dotąd nie znają, i prosili mię, abym ich wziął z sobą.

— Każdy twój przyjaciel będzie miłym gościem. Jak się nazywają, aby nie było po-myłki?

— Jeden jest Tyburcjusz, syn Chromacjusza, byłego prefekta, drugiemu na imię Torkwatus. Sewerus zdziwił się nieco i rzekł:

— Czy ufasz mu zupełnie, Pankracjuszu?

Diogenes zamknął usta synowi, mówiąc:

— Dosyć na tym, że przyjdzie z Pankracjuszem.

— Przyznaję — powiedział Pankracjusz — że nie tyle o nim wiem, co o Tyburcjuszu, który jest prawdziwie dobrym i zacnym. Torkwatus wszakże pragnie zaznajomić się z wszystkimi naszymi sprawami i zdaje się rozsądny. Co ciebie niepokoi, Sewerze?

— Drobnostka wistocie. Lecz gdy szedłem dzisiaj zrana na cmentarz, wstąpiłem do łaźni Antonina.

— Co? — przerwał Pankracjusz, śmiejąc się — bywasz w tak modnych miejscach?

— Ale nie — bronił się pełen prostoty artysta — lecz nie wiesz może, że Cucumio przechodzący szaty kąpiących się i żona jego są chrześcijanami?

— Czy być może? gdzież teraz chrześcijan nie znajdzie!

— Zamówili sobie tedy grób na cmentarzu św. Kaliksta; i szedłem pokazać im napis, zrobiony przez Majusa.

Ale zapominamy o Torkwacie!—zawołał Pankracjusz.

— Gdy więc wszedłem do łaźni—rzekł Sewerus—niemało się zadziwiłem, ujrawszy w kącie o tej rannej godzinie Torkwata w poufnej rozmowie z synem teraźniejszego prefekta, tym samym Korwinem, który za kalekę przebrany, wcisnął się do domu Agnieszki wtenczas, gdy bezimienna dobroczynna osoba (niech jej Bóg błogostawia) rozdać kazała tak wielkie jałmużny pomiędzy ubogich. Niedobre towarzystwo, pomyślałem, i o tej godzinie, dla chrześcijanina.

— Prawda, Sewerze—odrzekł Pankracjusz, rumieniąc się mocno — lecz on młody w wierze, i zapewne dawni przyjaciele nie wiedzą o zmianie. Bądźmy dobrej myśli.

Dwaj bracia ofiarowali się przeprowadzić Pankracjusza pośród ulic, z nędzy i złodziejstwa słynących. Przyjął ich towarzystwo z ochotą, a staremu grabarzowi życzył serdecznie dobrej nocy.

ROZDZIAŁ II.

Cmentarze.

„Markus Antonius Restitutus założył grób ten dla siebie i dla ufającej w Boga rodziny swojej”.

Dom Lucyny będąc kościołem parafialnym, albo raczej mieszcząc w sobie kościół, zaszczycony był obecnie bytnością Ojca Świętego.

Nadchodząca burza, podczas której naczelnicy duchowego królestwa Chrystusowego mogli się spodziewać pierwszeństwa w oskarżeniu o bunt przeciwko cesarzom, zmusiły Papieża do opuszczenia zwykłego mieszkania dla bezpieczniejszego schronienia. W tym celu obrano dom Lucyny, który z wielką jej rozkoszą tym samym się cieszył zaszczytem przez dalszy ciąg tego panowania i podczas następującego, gdy dzikie zwierzęta do tego domu wprowadzono, by je Papież Marcellus we własnym mieszkaniu chował i karmił. Hańbiącą tę karę wkrótce Papież życiem przypłacił.

Lucyna, przypuszczona w czterdziestu latach do urzędu diakoniski, oddawała się zupełnie powinnościom swego powołania. Opieka i dozór nad kobietami w kościele, pielęgnowanie chorych i ubogich płci żeńskiej, szycie i utrzymywanie w porządku kościelnych aparatów i bielizny, nauczanie dzieci i nowonawróconych kobiet, gotujących się do Chrztu świętego i maczenie im przy tym świętym Sakramencie było obowiązkiem diakonisek i dostarczało Lucynie zatrudnienia pod dostatkiem. Pracowite życie słodko zmierzało ku wieczności. Macierzyński obowiązek święcie spełniony, już do ziemi nie wiązał. Syn ofiarował się Bogu i żył, gotowy przelać krew swą za wiarę. Czuwać nad nim i modlić się za niego było raczej rozkoszą dla matki, aniżeli zajęciem w przydatku do domowych innych zatrudnień.

O rannej godzinie w dniu naznaczonym odbyło się posiedzenie, o którym wspomnieliśmy w przeszłym rozdziale. Uchwalono pomnożenie składek miłosiernych, celem rozprzestrze-

nia cmentarzy i chowania zmarłych, tudzież na wspieranie osób, zmuszonych do ukrywania się przed prześladowaniem, na pomoc dla więźniów, na opłacanie potajemnego do nich przystępu i na wykupywanie ciał świętych męczenników. Do każdej dzielnicy został wyznaczony jeden stały notariusz dla przechowywania aktów męczeńskich i spisywania ważniejszych szczegółów. Kardynałowie czyli kapłani przewodniczący parafiom rzymskim, odbierali instrukcje, w jaki sposób mają udzielać świętej Eucharystyi podczas prześladowania; każdemu wydzielono jeden lub parę cmentarzy, gdzie w podziemnym kościele mieli święte tajemnice odprawiać. Ojciec święty obrał dla siebie cmentarz św. Kaliksta, co niemało pochlebiało niewinnej próżności Diogenesa, naczelnego nad wszystkimi cmentarzami grabarza, przy cmentarzu św. Kaliksta swą rezydencję mającego.

Pogłoski coraz częstsze o bliskim prześladowaniu nie działały przygnębiająco na pocztowego starca, przeciwnie, grabarz zdawał się ożywiony i nowym duchem natchniony. Najsprężystszy inżynier, kierujący obroną miasta oblężonego, wydawaćby nie potrafił rozkazów tak pewnych, tak szczegółowych i dobitnych, jak instrukcje Diogenesa do podwładnych fosorów ze wszystkich cmentarzy.

Zegar słoneczny wskazywał południe, gdy Diogenes, przeszedłszy z synami bramę, która się nazywała Porta Kapina zastał już trzech młodzieńców czekających. Szli najprzód parami wzdłuż drogi appijskiej, dalej różnymi drogami (przemykając się każdy z osobna pośród różnych grobów wzdłuż drogi wzniesionych) do willi, położonej dwie mile za bramą po prawej ręce. Tu zastali w pogotowiu niezbędnie po-

trzebne do wyprawy w podziemne cmentarze świece, latarnie i krzesiwa. Ponieważ zwiedzający byli w równej z przewodnikami liczbie, Sewerus zaproponował, aby się na pary podzielono, sam zaś obrał sobie Torkwata za towarzysza. Z jakiej przyczyny, możemy się łatwo domysleć.

Utrudniającym byłoby słuchanie całej rozmowy zwiedzających, Diogenes bowiem nie tylko odpowiadał na wszystkie zadawane sobie pytania, ale i dawał obszernie objaśnienia o przedmiotach, które mu się zdawały szczególniejszej wagi.

Rzym otoczony był pasmem cmentarzy w liczbie około sześćdziesiąt; z tych cmentarzy każdy prawie nosił imię spoczywającego tam świętego lub świętej.

I tak mamy cmentarze św. Nereusza i Achillesa, św. Agnieszki, św. Pankracjusza, Praetektata, Priscilli, Hermesa, etc. Niektóre zaś cmentarze nazywają się od położenia swego.

Nazwa „ad Catacumbas” oznaczała najprzód wyłącznie ten cmentarz, potem się rozszeszyła na inne, aż nareszcie nazwujemy wszystkie podobne podziemne grzebowniska katakumbami.

Wchód do katakumb często był umieszczony w piaskowisku pod ziemią, co zapewne bardzo szczęśliwie ukrywało właściwy cmentarz; lecz różne okoliczności dowodzą iż piaskowiska nigdy nie były używane do grzebania chrześcijan, ani nie bywały na cmentarze przerabiane.

Wejście do katakumb zazwyczaj otwiera się nagle prostopadłymi schodami, prowadzącymi przez pokłady miążkiego piasku do głębokości, w której piasek zamienia się w miękką,

lecz już stały kamień, na którym znać dotąd każde uderzenie kilofu.

Na tej głębokości, znajduje się pierwsze piętro cmentarza, skąd schodami idzie się niżej na drugie i trzecie, podług tych samych zasad wykute piętro.

Katakumba bywa zwykle podzielona na trzy części: na korytarze czyli ulice, komory czyli czworokątne obszerne place i na kościoły. Korytarze są długie i wąskie, wykute dość regularnie, tak, że posadzka i sufit tworzą ką prosty z ścianami, czasem tak do siebie zbliżonymi, że dwie osoby zaledwie obok siebie iść mogą. Czasem przebiegają długą przestrzeń w prostej linii, lecz przecinane innymi korytarzami, które także coraz innymi krzyżowane tworzą prawdziwy labirynt, czyli sieć podziemnych ulic. Zgubić się pośród tych korytarzy byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną.

Korytarze zaś te nie są wykute, jakby mniemać można, jedynie dla komunikacji, lecz przeciwnie są właściwymi cmentarzami, czyli jak się teraz mówi, katakumbami. Ściany korytarzy, a nawet ściany od schodów wypełnione są grobami, to jest rzędami framug większych i mniejszych, dostatecznie długich dla pomieszczenia ciała ludzkiego, dzieciennego lub dorosłego, bokiem do korytarza. Czasem znajdujemy aż do czternastu framug, czasem tylko trzy lub cztery widzieć można jedne nad drugimi. Są tak dokładnie umierzone, iż się domyślać trzeba, że ciało leżało tuż obok, gdy grób kowano.

Gdy ciało owinięte złożono w ciasną komórkę, zamykano otwór albo marmurową taflą, albo częściej szerokimi dachówkami, obramowanymi kamieniem i spojonymi cementem. Na-

pis rzeźbiono na marmurze, lub ryto w świeżym wapnie. Tysiące tych napisów na marmurze widzieć można w muzeach; bardzo wiele napisów na cemencie przerysowano i rozpowszechniono; lecz najwięcej jest grobów bezimiennych, o których nie ma żadnej wiadomości.

Niepodobna przypuścić, aby chrześcijanie inne mieli cmentarze przed założeniem katakumb. Dwie zasady, tak dawne, jak chrześcijaństwo, były podstawą tego sposobu chowania.

Pierwszą to sposób, w jaki pochowano Chrystusa. Złożony był do grobu w pieczarze owinięty prześcieradłami, balsamowany korzeniami, a kamień zamykał grób jego. A ponieważ św. Paweł tak często podaje Jezusa za wzór naszego zmartwychwstania, i mówi, żeśmy w Chrście św. wraz z nim zostali, nie dziw, że wyznawcy Jezusa pragnęli być grzebani na wzór Jego, aby być gotowymi wraz z nim zmartwychwstać.

Spoczywanie w oczekiwaniu zmartwychwstania było drugą myślą przewodnią przy urządzeniu tych cmentarzy. Słowo „pogrzebać” nieznane jest w chrześcijańskich napisach. „Złożony” w pokoju, „złożenie” tego lub owej, są wyrazy zazwyczaj używane: co znaczy, że umarli tylko tymczasowo w tym miejscu spoczywają, czekając wezwania, jako zakład lub kosztowna rzecz powierzona wiernemu, lecz tymczasowemu przechowaniu. Stąd grób zwany jest „miejscem” albo jeszcze zwyczajniej domkiem zmarłych w Chrystusie.

Te dwie myśli, przewodniczące założeniu katakumb, nie są późniejszym dodatkiem do chrześcijańskich pojęć, przeciwnie, musiały najżywiej się objawiać w pierwszych czasach. Nie ma śladu, aby kiedykolwiek chrześcijanie

stosowali się do pogańskiego, a przeto wyznawcom Chrystusa obrzydłego zwyczaju palenia ciał.

Przy zamurowaniu grobu krewni lub przyjaciele wciskali w mokre wapno i zostawiali na znak medal, kameę lub rytowany drogi kamień, czasem nawet skorupkę lub kamyczek, w tym celu, aby móżdż później grób poznawać, szczególnie, jeśli napisu nie było.

W teraźniejszych czasach, gdyby przypadkiem na kamieniu grobowym brak miejsca nie dozwolił wypisania dokładnie daty śmierci, naznaczylibyśmy raczej rok, aniżeli dzień i miesiąc, w którym nastąpiła. Dla nauki historii jest tak lepiej. A przecie, chociaż tak mało chrześcijańskich napisów w katakumbach głosi datę roczną, tysiące podają dzień, w którym nieboszczyk zszedł z tego świata, czy to w ufnej nadziei, jako wierny, czy w pewności jako męczennik. Dlaczego tak? O! po wszystkich wiernych zmarłych męczennikach i nie męczennikach, czyniono roczne nabożeństwa pamiątkowe w sam dzień ich śmierci, dlatego dokładną o dniu wiadomość mieć chciano, i najczęściej dzień tylko zapisywano.

Na cmentarzu sąsiadującym z tym, w którym zostawiliśmy trzech naszych młodzieńców z Diogenesem i jego synami znaleziono niedawno napisy, poświęcone dwom rodzajom zmarłych.

Jeden napis grecki, wspominający: „Złożenie Augendy na trzysta dni przed Kalendami (czyli przed pierwszym dniem) miesiąca czerwca”, dodaje te słowa, prostoty pełne:

„*Żyć w Panu i módl się z nami*”.

Inny ułamek głosi:

„*Wiktorio! bądź ochłodzona, a niechaj dusza twoja będzie w dobru*”.

Ten napis przypomina nam inny osobliwy,

wyryty na cemencie obok pewnego grobu w cmentarzu Praetekstata, niedaleko cmentarza św. Kaliksta. Ważny najprzód dlatego, że w języku łacińskim literami greckimi pisany; potem, że zawiera świadectwo Bóstwa Pana naszego; nareszcie, że wyraża modlitwę o zbawienie duszy zmarłej.

„Dobrze zasłużonej siostrze Bon...
ósmego dnia przed kalendami listop.
Chrystus, Bóg wszechmogący
niechaj ochłodzi duszę twoją w Chrystusie”.

Gdy pokój nastał dla Kościoła, nie przestali pobożni chrześcijanie szukać miejsca spoczynku po śmierci obok męczenników i świętych ludzi dawniejszych wieków. Po czwartym zaś wieku, już nie tak głęboko, jak dawniej, lecz zwykle pod samą powierzchnią chowano wiernych. Stąd też poehodzi, że kamienie grobowe, które się często znajdują w rumowiskach, a czasem na swoim miejscu pod brukiem miasta, z datami konsularnemi z IV wieku, są grubsze, większe, lepiej rytowane i piękniej wykute, niż dawniejsze w ścianach. Lecz przed końcem tego wieku grobowce te stają się coraz rzadsze, a w końcu wieku następnego chowanie w katakumbach już zupełnie ustaje. Papież Damazy, zmarły w r. 384 nie w katakumbach pochowany.

Restytutus więc może być uważany jako przedstawiciel pierwszych chrześcijan i ogłaszający za ich dzieło i wyłączną własność podziemne miasto z sześciu milionami śpiących mieszkańców, który ufając w Panu, oczekują ostátniego zawołania.

ROZDZIAŁ III.

Czego Diogenes nie mógł opowiedzieć
o cmentarzach?

Diogenes żył pod koniec pierwszej epoki historii katakumb. Gdyby stary grabarz mógł wyczytać przyszłe losy katakumb, widziałby tuż przed sobą zmianę na lepsze, poprzedzającą czasy smutku i ucisku.

Gdy czasy pokoju i wolności nastały dla Kościoła, cmentarze stały się miejscem nabożeństwa i częstych odwiedzin. Na każdym cmentarzu oddawano cześć szczególną jednemu lub kilku słynniejszym męczennikom, którzy tam w grobach spoczywali. Zwłaszcza w rocznicę chwalebnej śmierci tłumy mieszkańców miasta i pielgrzymów cisnęły się do grobów, gdzie odprawiano nabożeństwa i w homiliach głoszone chwałę świętych. Stąd powstały pierwsze martyrologia, czyli kalendarze dni męczenników, które uczyły wiernych, dokąd się udawać mają. „W Rzymie przy Salariańskiej, Appijskiej, lub Ardeatyńskiej drodze” takie objaśnienia znajdujemy pod każdym dniem w martyrologium rzymskim, wzbogaconym następnie przybytkiem z późniejszych wieków.

A teraz rzućmy okiem na urządzenia pomocnicze tych nabożeństw po cmentarzach. Najprzód urządzono wygodne wejścia i obszerne schody, potem wzmocniono w sklepieniach otwory dla światła i powietrza. Wkońcu stawiano bazyliki czyli kościoły ponad otworem korytarza, prowadzącego pospolicie do głównego grobowca. Pielgrzym więc, przybywszy do miasta świętego, zwiedzał każdy z tych kościołów, który to zwyczaj przetrwał dotąd; scho-

dził na dół i nie potrzebując się błakać, szedł prosto, dobrze prowadzony chodnikami, aż ku framudze głównego męczennika i dalej do innych, będących także przedmiotami czci i nabożeństwa. W tej epoce nie było wolno ani wyjmować ciał, ani otwierać grobów. Dotykać no się świętych szczątków przez otwór, w grobie umyślnie zrobiony, zapomocą chustek lub zawijek (brandea zwanych), a potem rozsyłano te chusteczki w dalekie kraje, gdzie je z wielką czcią przechowywano.

Nie dziw, że św. Ambroży, św. Gaudencjusz i inni biskupi napotkali takie trudności w uzyskaniu dla swych kościołów ciał świętych, lub nawet większych relikwii.

Był jeszcze inny rodzaj relikwii, zwany olej męczennski, to jest zmieszany z balsamem olej z lampy, która się paliła u grobu. Często okrągły, kamienny słup około trzech stóp wysokości, wydrążony na szczycie stoi przy grobie: wyłobienie na wierzchu w kształcie miseczki służy zapewne do wstawienia lampy lub rozdawania szacownego płynu.

Św. Grzegorz pisał do królowej Teodolindy, że jej przysłał zbiór olejów po papieżach męczennikach. Oleje te przechowywane są dotąd w tymże skarbcu, w tych samych flaszkach, opieczętowanych w metalowych puszkach. Ta bojaźń niepokojenia ciał świętych uderza nas w zdarzeniu, opowiedzianym przez św. Grzegorza z Tours. Śś. Chryzantus i Daria należeli do rzędu męczenników najbardziej w dawnym Kościele rzymskim poważanych. Ich groby stały się tak słynnymi z uzdrowień, że im bracia w Chrystusie zbudowali a raczej wykuli sklepienie przepięknej roboty, pod którym tłumy wiernych zgromadzały się na modlitwę.

Poganie odkryli to miejsce, chrześcijanom drogie, cesarz kazał wejście zamknąć i zamurować, a potem z góry (zapewne przez otwór dla powietrza) zasypać ziemią i kamieniami, całe to zgromadzenie wiernych grzebiąc żywcem, tak jak przedtem śś. Chryzanta i Darię umęczono.

Miejsce samo nie było znane w czasach swobodniejszych dla Kościoła i dopiero odkryte zostało jakimś cudem. Mimo to pielgrzymom nie wolno wstępować w święcone miejsce, lecz tylko przez okienko, w tym celu zrobione, oglądać groby Chryzanta i Darii, jakoteż i ciała ich czcicieli. A ponieważ srogi rozkaz cesarza został spełniony podczas czynionych do Ofiary świętej przygotowań, widać było jeszcze porozrzucane srebrne ampułki, w których wino do Ofiary świętej kapłanowi podawano.

Jak pielgrzymom udającym się do Rzymu, potrzebna była książeczka - przewodnik po katakumbach, tak za powrotem do domu niejeden dla zbudowania mniej szczęśliwych od siebie sąsiadów starał się opowiedzieć to, co widział. Szczęściem więc nie tylko dla owych niepodróżujących przyjaciół, lecz i dla nas, powstało kilka pamiętników tego rodzaju w czwartym wieku, jako to: katalogi grobów rzymskich, pasterzy i świętych męczenników. Posiadamy jeszcze prócz tych trzy książki o pielgrzymce do katakumb, tym bardziej zajmujące, iż obrawszy różne drogi, dziwnie się zgadzają w opisach.

Kiedy Lombardowie, a później Saraceni niszczyli okolice Rzymu, katakumby były zagrożone znieważeniem, a papieżę wydobywali ciała najsławniejszych męczenników i umieszczali po bazylikach stolicy. Tak się działo aż po VIII lub IX wiek, kiedy to jeszcze czytamy o napra-

wach, uskuteczniionych po cmentarzach przez następców św. Piotra. Później katakumby przestały być celem tak licznych pielgrzymek, a kościoły, przez które się do tych cmentarzy schodziło, zostały zniszczone lub opustoszały. Tylko te zostały, co były obronne. Takimi były poza obrębem miejskich wałów położone bazyliki św. Pawła na drodze Ostyjskiej, św. Sebastiana na Appijskiej, św. Wawrzyńca na Tyburtyńskiej, św. Agnieszki na Nomentańskiej, św. Pankracego na Aureliańskiej, i największa z wszystkich, św. Piotra na Watykanie.

Bazylika św. Pawła za murami i bazylika św. Piotra na Watykanie miały osobne osady czyli miasta wokoło siebie i podróżny dotąd jeszcze dostrzec może ślady sinych murów, otaczających niektóre z wymienionych tu kościołów.

Ziemia, naniesiona przez deszcz otworami, jakie wszędzie urządzano dla odświeżenia powietrza, kilkunastowiekowe rabunki, których się dopuszczali złoczyńcy wchodząc ukradkiem niestrzeżonymi otworami, a prócz tego niszczące działanie czasu i niepogody zostawiły nam tylko szczątki dawnych katakumb. A i tak jeszcze bardzo wiele zostało. Dostyc mamy na sprawdzenie opisów z lepszych czasów, a zapomocą tych wiarogodnych dokumentów możemy uzupełnić w myśli i wskrzesić święte ruiny.

ROZDZIAŁ IV.

Co Diogenes opowiadał o katakumbach?

Wszystko, cośmy opowiedzieli czytelnikom o pierwszym okresie historii podziemnego Rzymu bezwątpienia lepiej było opowiedziane

przez Diogenesa młodym słuchaczom, gdy z świecą w ręku zwolna postępowali wzdłuż długiego, prostego korytarza, przecinanego pod kątem prostym wielu innymi.

Nareszcie Diogenes skrzył na prawo, a Torkwatus oglądał się wkoło niespokojnie.

— Chciałbym wiedzieć—rzekł—ile przecznic minąłeś, zanim opuściłeś główną ulicę?

— Wiele bardzo—odrzekł krótko Sewerus.

— Jak wiele myślisz, dziesięć czy dwadzieścia?

— Przynajmniej tyle, zdaje mi się, bom nigdy nie rachował.

Torkwatus wprawdzie sam był porachował, lecz chciał się upewnić. Zatrzymując się jeszcze, mówił dalej.

— Po czym poznajesz więc przecznice, którą obrać trzeba? a cóż to jest?—i niby przypatrywał się małej katowej framudze. Lecz Sewerus dojrzał z boku, jak Torkwatus znak robił na piasku.

— Pójdź, pójdź—rzekł—bo stracimy widok innych rzeczy, i nie będziemy widzieli, którą drogą tamci pójdą. Ta mała framuga przeznaczona jest na lampę; podobne widzieć będziesz w każdym kącie. Co do nas, znamy każdy korytarz tu na dole, jak ty każdą ulicę w mieście.

Torkwatus był nieco zaniepokojony tą wiadomością o lampach;—były to małe, gliniane, widocznie do katakumb przeznaczane lampy, których tak wiele się dotąd znajduje. Lecz nie przestając na tym, liczył, przechodząc, o ile mógł dokładnie, wszystkie rogi ulic i to pod owym pozorem ciągle się zatrzymywał i notował w pamięci szczególne miejsca i zakątki. Lecz Sewerus oka z niego nie spuszczał.

Nareszcie przeszli szerokie drzwi i znaleźli się w czworokątnym pokoju, bogato ozdobionym malowidłami.

— Co to jest?—zapytał Tyburcyusz.

— To jedna z wielu krypt, kaplic, których pełno w naszych cmentarzach — odrzekł Diogenes — czasem są tylko familijnymi grobami, lecz w ogólności zawierają grób jakiego męczennika, w którego rocznicę zgromadzamy się tutaj. Widzisz ten grób naprzeciwko nas, który chociaż także w ścianie, nie jest z wierzchu w mur wpuszczony i ma nad sobą sklepioną framugę. W podobnych przypadkach używany jest za ołtarz do odprawiania Boskich tajemnic. Zresztą musisz wiedzieć o tym zwyczaju.

— Może, mój Diogenesie — rzekł Pankracjusz—niedawno ochrzczeni nie słyszeli o tym zwyczaju mnie dobrze znanym. Jest to zapewne jednym z najświetniejszych przywilejów męczeństwa mieć najświętszą krew i ciało Pańskie ofiarowane na popiołach swoich i spoczywać tym sposobem pod samymi stopami Boga. — Lecz obaczmy malowidła, które kryptę zdobią.

— Dla nich to przyprowadziłem was do tej kaplicy pierwszej, niż do wielu innych w tym cmentarzu. Jest to jedna z najstarszych i zawiera najdokładniejszy zbiór malowideł od najdawniejszych czasów aż do robót mego syna.

— Dobrze więc, Diogenesie, trzeba, abyś je po porządku moim przyjaciółom wytłumaczył — rzekł Pankracjusz. — Zdaje mi się, że znam większą część, ale nie wszystkie, i miło mi będzie słuchać twoich objaśnień.

— Nie jestem uczonym — odrzekł skromnie starsuszek — lecz kto tu przeżył sześćdziesiąt lat chłopcem i dojrzałym człowiekiem, musi lepiej

znać i więcej, niż ktokolwiek, kochać te miejsca.

— Wszyscy tu są zupełnie wtajemniczeni, zdaje mi się — dodał po chwili.

— Wszyscy — odrzekł Tyburcjusz — chociaż nie tak dokładnie wyuczeni, jak zwykle nawróceni bywają. Torkwatus i ja odebraliśmy Chrześc. św.

— Dosyć na tym — rzekł Diogenes. — Malowidła na suficie są najdawniejsze, jak łatwo pojąć; bo malowane były, gdy kryptę wykuto, a ściany zdobione były stopniowo w miarę, jak groby wykowano. Widzisz na suficie odmalowany rodzaj kraty z winogronami, może dla wyobrażenia naszej prawdziwej winnej latorośli, której jesteśmy gałązkami. Tam widzisz Orfeusza siedzącego i słodyczą muzyki czarującego nie tylko własną trzodę, lecz dzikie zwierzęta, z puszczy przywabione.

— Jakto, pogański obraz? — przerwał Torkwatus kwaśno i nieco sarkastycznie — a cóż to ma wspólnego z chrześcijaństwem?

— To alegoria, Torkwacie — odrzekł Pankracjusz uprzejmie. — Używanie pogańskich figur, byleby niewinnych, nie jest zabronione. Widzisz maski naprzykład i inne pogańskie ozdoby na tym suficie; pochodzą one po większej części z bardzo dawnych czasów. I tak, Pan nasz przedstawiony był pod postacią Orfeusza, dla zabezpieczenia świętego wyobrażenia jego od pogańskich bluźnierstw i świętokradztwa. Patrz teraz na tę arkadę; oto masz późniejsze przedstawienie tego samego przedmiotu.

— Widzę — rzekł Torkwatus — pasterza z owieczką na plecach. Dobry pasterz; to rozumiem; pamiętam przypowieść.

— Lecz czemu ten przedmiot tak szczegól-

nie jest ulubiony? — zapytał Tyburcjusza — nieraz spotykałem już to samo i po innych cmentarzach.

— Spójrz na to arcosolium¹⁾ — odrzekł Sewerus — a zobaczysz dokładniejsze przedstawienie tego przedmiotu. Lecz zdaje mi się, że lepiej iść porządkiem i kończyć, cośmy zaczęli oglądać, to jest sufit. Widzisz tę postać po prawej stronie?

— Tak — odrzekł Tyburcjusz — człowiek zdaje się jakby w wielkiej skrzyni stojący i gołębicę ku niemu leci. Czy to ma wyobrażać arkę Noego?

— Tak jest — rzekł Sewerus — tak, potop znaczy odrodzenie przez wodę, gołębicę wyraża Ducha świętego i zbawienie. Jedno jest symbolem naszego początku, drugie naszego końca: Jonasz wyrzuceny z łodzi i połknięty przez wieloryba, a potem rozkosznie siedzący pod cudowną latoroślą, co znaczy odrzucenie od świata, śmierć, zmartwychwstanie z Panem naszym i wieczny odpoczynek w światłości wiekuistej.

— Jak stosowne jest to wyobrażenie w podobnym miejscu — powiedział Pankracjusz, wskazując na drugą stronę — a tu mamy jeszcze inne uosobienie tej samej pocieszającej nauki.

— Gdzie? — zapytał Torkwatus niechętnie — widzę tylko postać, od stóp do głów powitą i stojącą jakby ogromne dziecko w małym domku lub kaplicy, i drugą osobę naprzeciwko.

— Właśnie to samo — rzekł Sewerus — w ten sposób przedstawiamy zawsze zmartwychwsta-

¹⁾ Tak były zwane groby w framugach sklepionych podobne do naszych pokojowych kominków podmurowanych od dołu; malowidło zaś było wewnątrz framugi.

nie Łazarza. Tu dalej widzisz wzruszający obraz, jak nasi ojcowie trwali w nadziei zbawienia od początku świata wśród prześladowania i niewoli. Trzej młodzianowie w rozpalonym piecu babilońskim.

— Teraz—rzekł Torkwatus — zdaje mi się, żebyśmy mogli przejść do „arcosolium” i na tym skończyć to zwiedzanie. Co to za malowidła wokół ołtarza?

— Po lewej stronie widzisz rozmnożenie chleba i ryb. Ryba jest, jak wiesz, symbolem Chrystusa.

— Jakto?—zapytał Torkwatus niecierpliwie.

Sewerus obrócił się do Pankracjusza, jako do najuczeńszego, prosząc, aby odpowiedział.

— Dwa są zdania o pochodzeniu tego symbolu—rzekł młodzieniec z gotowością — jedni upatrują znaczenie w słowie samym, gdyż od liter, składających to słowo, zaczynają się następujące słowa: Jezus Chrystus, Syn Boga Zbawiciel*). Inni upatrują znaczenie w samym symbolu: że jako ryba rodzi się i żyje w wodzie, tak chrześcijanin rodzi się z wody i po-
grzebion jest w niej z Chrystusem przez Chrztę święty**). Z tej przyczyny widzieliśmy, przechodząc już niejedną rybę wyrzeźbioną lub słowo: RYBA wyryte na grobach. Teraz dalej, Sewerze.

— Zatem połączenie chleba i ryby pokazuje nam, jako Chrystus w Eucharystii staje się pożywieniem dla wszystkich. Naprzeciwko jest Mojżesz uderzający w skałę, z której wytryskującą wodę wszyscy piją; skała jest Chrystu-

*) Takie jest zdanie św. Optata i św. Augustyna,

***) Takie Tertuliana wyłomaczenie.

sem, a Chrystus naszym napojem zarówno jak i pokarmem.

— Teraz na koniec — rzekł Torkwatus — przyszedliśmy do Dobrego Pasterza.

— Tak jest—mówił dalej Sewerus—widzisz Go na środku *arcosium* w prostej tunicy z odszukaną owcą na plecach. Prócz tego po bokach stoją: po lewej ręce miła owieczka, po prawej leniwy baran jako pokutnik na prawicy. Po obu stronach także widzisz osoby widocznie przez Pasterza powołane, aby nauczały. Obie naprzód nachylone przemawiają do innych owiec, nie należących do wiernej trzody. Jedna z tych owiec widocznie nauki nie słucha, obojętnie trawę skubią, gdy druga przeciwnie obraca ku mówiącym apostołom głowę i oczy, z natężoną uwagą słuchając. Deszcz obficie pada na wszystkie owce, to jest łaska Boża. Nie trudno zrozumieć ten obraz.

— Lecz dla jakiej przyczyny ta alegoria jest tak często powtarzana? — zapytał znowu Tyburcjusz.

— Zdaje nam się, że to malowidło i inne poboczne należą po większej części do czasu, gdy herezja Nowacjana tak bardzo Kościół dręczyła—odrzekł Sewerus.

— A jaka to była herezja?—zapytał Torkwatus ze złością, bo mu się zdawało, że czas na niczem traci.

— Była to i jest herezja — odrzekł Pankracjusz — która uczyła, że są grzechy, których Kościół odpuścić nie może; które są zbyt wielkie, aby je mógł Pan Bóg przebaczyć.

Pankracjusz nie spostrzegł, jakie wrażenie te słowa sprawiły; lecz Sewerus, który Torkwata z oka nie spuszczał, widział, jak się twarz

zdrajcy gwałtownie rumieńcem i bladością mieniła.

— Czy to herezja? — zapytał zmieszany.

— Zapewne, i okropna — odrzekł Pankracjusz — kłaść granice miłosierdziu i łaskowości tego Boga, który nie przyszedł wzywać sprawiedliwych, lecz grzeszników do pokuty. Kościół katolicki zawsze wierzyć każe, że grzesznik, jakkolwiek niezliczone jego zbrodnie, przy prawdziwej skrzesze może otrzymać odpuszczenie mocą lekarstwa, które w ręce Kościoła oddane jest, to jest pokuty świętej. I dlatego to Kościół tak bardzo ukochał wyobrażenie Dobrego Pasterza, który gotów iść w najdłuszą puszcę dla odzyskania zgubionej owieczki.

— Lecz — rzekł Torkwatus, łaską tknięty i coraz bardziej wzruszony — gdyby człowiek, który został chrześcijaninem i odebrał Chrzest święty, upadł i zagrzął na nowo w grzechu i... i... (głosu mu brakło) i nawet braci swoich zdradził, czyby Kościół takiemu nie odebrał wszelkiej nadziei?

— Nie, nie — odrzekł młodzieniec — to są właśnie te zbrodnie, których przebaczenie nowacjanie za złe mają katolikom. Kościół jest matką, która zawsze gotowa zbłąkane dzieci na nowo przytulić.

Łza zakręciła się w oku Torkwata, usta zadrżały jakby wyznaniem winy; lecz po krótkiej walce wewnętrznej zło przemogło, słowa żalu zamarły na ustach, twardy wyraz w obliczu zastąpił wzruszenie, przygryzł wargi nieśczęśliwy i rzekł z wymuszoną obojętnością:

— Jest to pewnie pocieszająca nauka dla tych, którzy jej potrzebują.

Jeden tylko Sewerus spostrzegł, że chwila łaski przeminęła nadaremnie dla tego człowie-

ka, a piekielna rozpacz iskrę nadziei przytłumiła. Diogenes i Majus, którzy się byli oddali dla obrania miejsca, gdzie mieli przebić nowy korytarz, właśnie powrócili. Torkwatus powiedział do starego grabarza:

— Teraz zwiedziliśmy już korytarze i kaplice; pragnąłbym wiedzieć kościół, w którym się zgromadzać będziemy.

Niepodejrzliwy grabarz szedł już wskazać drogę, gdy ostrożniejszy Sewerus wstrzymał ojca.

— Zdaje mi się, ojcze, że dziś zapóźno; wiesz, że mamy nad czym pracować. Nasi młodzi przyjaciele wybaczą nam, tymbardziej, że zobaczą kościół w lepszej porze i także w lepszym porządku, ponieważ Ojciec św. zamierza w nim Ofiarę sprawować.

Zgodzili się na to, i gdy przyszedli do miejsca, w którym skęcili z pierwszej prostej ulicy, aby zwiedzić malowaną komorę, Diogenes zatrzymał gości, szedł kilka kroków wprost przecznicy przeciwnym bocznym korytarzem i rzekł:

— Idąc tym korytarzem, potem w prawo skręcając, wchodzi się do kościoła. Przyprowadziłem was tu, aby wam pokazać *arcosolium* z ślicznym malowidłem; widziecie Matkę Dziewicę z Boskim Dzieciątkiem na ręku, a mędrcy wschodni tu w liczbie czterech przedstawieni, chociaż zazwyczaj liczymy tylko trzech, hołd składają.

Wszyscy podziwiali malowidło; lecz biedny Sewerus zafrasował się bardzo, wiedząc, jak pocziwy ojciec nieprzezornie udzielił wiadomości pożądanej Torkwatowi i dostarczył mu nieomylnego znaku do odszukania drogi, zwra-

cając uwagę na grób tuż obok zakrętu, znaczny tak niepospolitym malowidłem.

Gdy się towarzystwo rozeszło, opowiedział bratu wszystko, co widział, dodając:

— Ten człowiek narobi nam kłopotu; mocne mam podejrzenie.

W krótkim czasie pozacierali wszystkie znaki, które Torkwatus porobił przy rogach ulic. Lecz na tym nie przestali; aby się przeciw zdradzie zabezpieczyć, postanowili zmienić drogę, zasypując terazniejsze wejście, a gdzieindziej je otwierając. Tymczasem sprowadzili piasek z nowych wykopalin i mieli na pogotowiu w jednym niskim korytarzu, aby nie zasypać ostatecznie dawnego wchodu, póki wierni nie będą uświadomieni o zamierzonej zmianie.

ROZDZIAŁ V.

Na powierzchni ziemi.

W „szczęśliwej czyli błogosławionej Kampanii”, jakby powiedział pisarz jaki z czasów Augustowskich zostawiliśmy Fabiolę, zakłopotaną sentencjami, które przypadkiem znalazła. Wpadły w jej ręce, jakby odezwa z innego świata; lecz nie wiedziała, z jakiego. Pragnęła coś więcej w tym przedmiocie wiedzieć, badać nie chciała. Wiele gości miała nazajutrz i podczas kilku następujących dni, i często przychodziło jej na myśl temu lub owemu pokazać sentencję, lecz nie mogła się jakoś na to zdobyć.

Sasiadka, której życie podobne było do życia Fabioli, to jest filozoficznie czyste i zimno

cnotliwe, przyszła do niej w odwiedzin i rozmawiały razem o modnych w tej chwili opiniach.

Fabiola wzięła welinową kartkę, aby zagadnąć znajomą swoją, lecz nie odważyła się; zdawało jej się to jakby lekceważeniem. Uczony jeden człowiek, bardzo czytany we wszystkich gałęziach nauk i literatury, odwiedził ją także i mówił bardzo płynnie o wzniosłych celach szkół dawniejszych. Miała ochotę poradzić się co do swojego odkrycia, lecz uznała, że w tym jest coś zbyt wysokiego, aby on mógł zrozumieć. Dziwna rzecz, że gdy trzeba było mądrej rady lub pociechy, szlachetna i wzniosła rzymska pani zwracała się mimowolnie do chrześcijańskiej niewolnicy. I tak też teraz uczyniła. W pierwszej chwili, gdy zostały same, po kilku dniach spędzonych w towarzystwie, Fabiola wzięła pergamin i położyła przed Syrą. W tej chwili przebiegło po jej twarzy wzruszenie niedostrzeżone przez Fabiolę; lecz przeczytawszy, zupełnie spokojne podniosła oblicze.

— To pismo — rzekła Fabiola — dostało się w moje ręce w willi Chromacjusza zapewne przez omyłkę, z powodu notatki na drugiej stronie. Nie mogę myśli mojej od tych słów uwolnić i jestem nimi zmęczona.

— Dlaczego, pani? wszak znaczenie tych słów bardzo proste.

— Tak jest, właśnie ta prostota w niespokojność mnie wprawia. Moje własne uczucia buntują się przeciw tym myślom. Zdaje mi się, że gardziłabym człowiekiem, któryby nie oburzył się na obelgę i nie odpłacił nienawiści nienawiścią. Przebaczyć byłoby już bardzo wiele; lecz dobrym za złe odpłacić, zdaje mi się być wymaganiem, przeciwnym naturze ludz-

kiej. Teraz, choć tak to wszystko czuję, muszę uznać, żeś pozyskała mój szacunek postępowaniem zupełnie przeciwnym temu, którego bym się była spodziewała.

— Och! nie mów o mnie, droga pani, lecz zwróć uwagę na prostą zasadę, którą także w innych szanujesz. Czy Arystydes na twoją pogardę czy na szacunek zasługuje, oddając przysługę grubiańskiemu nieprzyjacielowi, i pisząc na prośbę jego własne nazwisko na skorupce, która go na wygnanie skazać miała? Czy gardzisz imieniem Koriolana, czy podziwiasz, jako Rzymianka, wspaniałomyślne przebaczenie miastu twemu?

— Szanuję obu najszczerzej, Syro, lecz ci ludzie byli przecież bohaterami!

— A czemużbyśmy wszyscy nie mieli być bohaterami? — zapytała Syra, śmiejąc się.

— Co mówisz, dziecko? jakiegożby nam świata trzeba, gdybyśmy bohaterami byli? Bardzo przyjemnie czytać o tych dziwnych ludziach; lecz smutnoby było patrzeć codziennie na zwyczajnych ludzi, przybierających rolę bohaterów.

— Dlaczego smutno? — zapytała sługa.

— Dlaczego? a któżby pragnął zastać dziecko przy piersi bawiące się z gadami, lub duszące węży w kolebce swej? Bardzoby mi było niemiło słyszeć gościa, którego bym na obiad zaprosiła, opowiadającego z zimną krwią, że tego samego dnia zabił minotaura, lub udusił hydre; albo mieć przyjaciela, któryby się ofiarował przepuścić Tyber przez stajnię moje, dla oczyszczenia ich. Zachowajcie nas, bogi, od pokolenia bohaterów!

I Fabiola śmiała się serdecznie na tę myśl. Z tą samą wesołością Syra mówiła dalej:

— Lecz dajmy na to, że na nasze nieszczęście żyć musimy w kraju, gdzie istnieją takie potwory, jak minotaury, hydry i smoki. Czyżby nie lepiej, aby zwyczajni ludzie byli dość nieustraszeni, aby zwalczać te potwory, niż gdybyśmy mieli posyłać na drugi koniec świata po jakiego Tezeusza lub Herkulesa dla uwolnienia nas od plagi? Istotnie w podobnym przypadku człowiek wytępiający potwory, nie byłby większym bohaterem, niż strzelcy na lwy w moim kraju.

— Masz słuszość, Syro, lecz nie widzę tutaj zastosowania twej myśli.

— Oto jest zastosowanie: gniew, nienawiść, zemsta, ambicja, skąpstwo są w moich oczach tak obrzydłymi potworami, jak węże i smoki, a napastują zwyczajnych ludzi tak dobrze, jak największych. Czemużbym nie miała próbować pokonać te potwory tak jak Arystydes, Koriolanus lub Cyncynatus? Czemuż jedynie bohaterom zostawiać, czego sami dokazać możemy?

— I czy naprawdę uważasz to za rozsądną, moralną zasadę? Jeżeli tak, bardzo się obawiam, że się zbyt wysoko unosisz.

— Nie, droga pani. Zdziwiłaś się, gdy się ośmieliła utrzymywać, że wewnętrzna i niewidzialna cnota tak jest niezbędna, jak zewnętrzna i widzialna; obawiam się, że cię teraz jeszcze bardziej zadziwię.

— Mów tylko wszystko bez obawy.

— Dobrze więc; zasada nauki, której się trzymam, jest taka: że my musimy uważać i wypełniać jako codzienną, zwyczajną cnotę, nawet jako prostą powinność, cokolwiek inna nauka najczystsza i najwznioślejsza, jaka być może, podawała za heroizm i nadzwyczajną cnotę.

— Jest to, zapewne, najwyższy szczyt moralnej doskonałości; lecz uważaj różnicę między dwoma rodzajami heroizmu. Bohater cieszy się chwałą ziemską, imię jego jest zapisane i podane potomności, gdy pokonywa żądze swoje, odznacza się wielkim czynem. Lecz kto widzi, kto pyta o nieznanego biedaka, który w pokornym utajeniu naśladuje postępowanie bohatera?

Syra z uroczystym i pobożności pełnym wyrazem i obliczem podniosła oczy i prawą rękę ku niebu i powoli rzekła:

— Ojciec jego, który jest w niebiesiech, i każe słońcu przyświecać zarówno złym i dobrym, a deszczowi padać dla sprawiedliwego i niesprawiedliwego.

Fabiola milczała przez chwilę, nieznaną czią przejęta, potem rzekła z serdecznym uszanowaniem:

— Pokonałaś znowu moją filozofię, Syro. Nauka twoja równie jest mądra, jak wzniosła. Podług ciebie, cnota bohaterska i niewidzialna jest codziennie obowiązującą wszystkich. Ludzie musieliby w istocie być czymś wyższym od tego, co sobie wyobrażamy o bogach, aby móżdż próbować tej cnoty; lecz sama myśl ta przewyższa wartością swą całą naszą filozofię. Czyż możesz wyżej mnie jeszcze poprowadzić?

— Och, daleko, daleko wyżej!

— A dokąd nareszcie mnie doprowadzisz?

— Tam, gdzie serce twoje ci powie, żeś znalazła pokój.

ROZDZIAŁ VI.

Narady.

Prześladowanie srożyło się już od jakiegoś czasu na wschodzie pod rządami Dioklecjana i Galeriusza, a rozkaz rozpoczęcia piekielnej roboty na zachodzie doszedł do Maksymiana. Zamierzono tym razem już nie tylko uciskać, lecz wytepić chrześcijan tak, żeby po nich imię nawet nie pozostało. Postanowiono nikomu życia nie darować; lecz zgładziwszy najprzód naczelników religii, wśród ubogiego ludu rzeź uczynić — wszystkich wiernych wymordować. Trzeba było tyranom w tym celu naradzać się, aby wszyscy oprawcy w jedności porozumienia działali, aby wszystkie środki przyczyniły się do skuteczności usiłowań i aby majestat cesarskiego rozgłosu przydawał powagi i rozgłosu śmiertelnym razem.

W tym celu cesarz, chociaż niecierpliwie wyglądał rozpoczęcia krwawego dzieła, dał się nakłonić doradcom swoim i wstrzymał wykonanie ukazu do chwili, w którejby mógł być ogłoszonym i wykonanym naraz we wszystkich prowincjach zachodnich; aby chmura, piorunami zemsty ciężarna, wisiała czas dłuższy w groźnej ciszy nad nieszczęśliwymi ofiarami, aż pęknie, miotając z okropnego łona pociski przygotowane: ogień, wodę, grad, błyski i pioruny.

W listopadzie Maksymian Herkules zwołał walną radę, na której plany jego miały być ostatecznie potwierdzone. Wezwano tam wyższych urzędników dworu i stanu. Najstarszy z nich, prefekt miasta, przyprowadził z sobą syna Korwina, którego ofiarował na dowódcę zbrojnego zastępu oprawców, składającego się

z ludzi znanych z najdzikszej nienawiści ku chrześcijanom, a którego szczególnym przeznaczeniem było śledzić i chwytac chrześcijan z niezmordowaną zacięłością.

Prefektowie, t.j. wielkorządcy Sycylii, Włoch, Hiszpanii i Galii przytomni byli odczytaniu woli cesarskiej. Nadto wielu uczonych ludzi, filozofów i mówców, pomiędzy którymi nasz sławny znajomy, Kalpurniusz, wezwanych było wielu też kapłanom z różnych części państwa, przybyłym z petycjami do monarchy o pomieszczenie obrażonego majestatu, wstępu dozwolono.

Zwyczajną cesarzów siedzibą był Palatyn. Mieli wszakże i inną rezydencję, gdzie chętniej przebywali i w której Maksymian Herkules szczególne miał upodobanie. Podczas panowania Nerona, bogaty senator Plautius Lateranus oskarżony został o knowanie spisku, a wkrótce potem ukarany śmiercią. Ogromny skazanego majątek został na rzecz cesarza skonfiskowany i między innymi dom opisany przez Juwenala i innych pisarzy jako niezwyklej wielkości i wspaniałości; stał w ślicznym położeniu, na górze Celiańskiej, na południowym końcu miasta; widok stamtąd nie miał równego sobie nawet w okolicach Rzymu. Po polach Kampanii, ozdobionych niezliczonymi arkadami kolosalnych wodociągów, przecinanych śmiałymi liniami dróg cesarskich, szlakami marmurowych grobów, nasadzanych świetnymi willami, oprawnymi jak drogie kamienie w ciemno-zieloną emalię laurów i cyprysów rozkosznie pasąc się, oko sięgało pod wieczór purpurą zasłanych stoków gór, na których jak na łożu leżą wygodnie Alba i Tuskulum „z córmii swymi” (mówiąc językiem poezji wschod-

niej) i kąpią się w blasku zachodzącego słońca. Stromy łańcuch Sabińskich gór po lewej, a złota powierzchnia morza po prawej ręce, zamykały ten śliczny krajobraz.

Przypisałibyśmy Maksymianowi zupełnie obcą jego duszy zaletę, mniemając, że lubił mieszkanie tak pięknie położone przez uczucie i zamiłowanie artystycznej piękności. Wspaniałość zabudować, które sam jeszcze ozdobił, albo może łatwość polowania na dziki lub wilki była przyczyną jego upodobania. Urodzony w Syrmium w Sklawonii, barbarzyńiec niskiego pochodzenia, prosty żołnierz bez żadnego wykształcenia, szczęśliwy w bitwach, uposażony jedynie zwierzęcą siłą, od której dostał przydomek Herkulesa, wyniesiony został na ten tron przez swego współbarbarzyńcę Dioklesa, znanego pod imieniem Dioklecjana cesarza. Podobnie, jak Dioklecjan, chciwy aż do podłości, rozrzutny bez miary, oddający się tym samym brzydkim nałogom i szkaradnym zbrodniom, niepowściągnięty w żądzach, bez instynktu sprawiedliwości lub uczucia ludzkości, potwór ten nigdy nie przestał ciemnić, przesładować i gładzić, cokolwiek mu zawadzało. Zbliżanie się przesładowania takie w nim wzniciło uczucie, jakie zbliżająca się ucztą obudza w żarłoku, który nie przestając na codziennych zbytkach, wygląda nadzwyczajnych potraw dla dogodzenia podlej namiętności. Olbrzymi w postawie, miał rysy znamienne rasy swej: włosy na głowie i na twarzy raczej żółte niż czerwone, rosnące dziko jak chwast, oczy ruchliwe z wyrazem podejrzliwym, rozpustnym i okrutnym. Ostatni prawie z rzymskich tyranów, napelniał postrachem serce każdego patrzącego nań człowieka, wyjąwszy

niczem nieustraszonych chrześcijan. Czyż dziwna, że nie nawidził nie tylko plemię, ale samo imię chrześcijan?

W wspaniałej więc bazylice czyli sali pałacu Laterańskiego zwołał Maksymian zgromadzenie, w którym tajemnica nakazana była pod karą śmierci. Na półokrągłym podniesieniu w jednym końcu sali, na tronie ze słonowej kości, bogato ozdobionym, siadł cesarz, a przed nim stanęli uniżeni, drżący doradcy. Oddział straży pilnował wchodu, dowodzący oficer, Sebastian, stał niby niedbale oparty o wewnętrzną stronę wchodu, lecz pilnie chwycił każde wymówione słowo.

Nie domyślał się cesarz, że sala, w której zasiadał, a którą później wraz z pobliskim pałacem dał Konstantynowi jako część wiana córki swej Fausty, ofiarowaną będzie przez tegoż Konstantyna głowie tego samego Kościoła, nad którego zagładą Maksymian przemysłował i że zachowując nazwę laterańskiej bazyliki, stanie się katedrą „wszystkich kościołów Rzymu i całego świata matką i głową”.

Nie domyślał się, że na miejscu tronu jego postawiony będzie tron, skąd prawa nadawane przez nieśmiertelny poczet władców duchownych i doczesnych, rządzić będą światami, nieznanymi rzymskiej potędze.

Przez religijne i u pogan zachowane uszanowanie, pierwszeństwo w posłuchaniu dane było naprzód kapłanom, z których każdy miał coś do powiedzenia. Tu rzeka wylała i narobiła wiele szkód w pobliskich polach; tam trzęsienie ziemi zburzyło część miasta; na północnych granicach barbarzyńcy grozili napadami; na południu morowe powietrze trapiło pobożną ludność. W każdym z tych przypad-

ków wyrocznie oznajmiły, że wszystkiemu winni chrześcijanie, których obecność w państwie cierpiąca gniewała bogów, a których szkodliwe czary sprowadzały te klęski. Nadto niektóre wyrocznie zasmuciły zwolenników swoich, wyraźnie oświadczając, że mówić nie będą, dopokąd obmierzli Nazareńczycy nie będą wytępieni; a wielka wyrocznia delficka dała tę tylko odpowiedź: że sprawiedliwi mówić bogom nie pozwalają.

Następnie przyszła kolej na filozofów i mówców, z których każdy wygłosił długą i nudną mowę, podczas której Maksymian nie szczędził oznak znużenia. Lecz ponieważ cesarzowie wschodni odbywali podobną formalność, uważał za powinność przetrwać te nudy aż do końca.

Zwykłe oszczerstwa powtórzone były po tysięczny raz przed poklaskującym zgromadzeniem: baśnie o mordowaniu i pożeraniu dzieci, o popełnianiu szkodliwych zbrodni, o czczeniu ciał męczeńskich i osłej głowy, i dość zresztą dziwne oskarżenie o niedowiarstwo i nieuznanie żadnego Boga. Te baśnie były wszystkie za szczerą prawdę przyjęte; chociaż zapewne mówcy sami wiedzieli dobrze, że owe niby dowody i przykłady są tylko pięknie brzmiącymi pogańskimi kłamstwami, bardzo pożytecznymi do podburzania nienawiści przeciw wierze chrześcijańskiej.

Nareszcie odezwał się najgruntowniejszy badacz nauki domowego nieprzyjaciela w państwie, najlepiej znający niebezpieczne chrześcijan praktyki. Mniemano, że czytał własne ich książki i że gotował dzieło mające zbić ze szczerem ich błędy. Istotnie tak wielką wiarę pokładano w jego zdaniu, że gdyby Kalpur-

niuszowi mówiącemu o potwornych zabobonach sam Papież przyszedł zaprzeczyć, każdy ze słuchaczy śmiały się tylko na myśl tej zarozumiałości odezwania się w obronie własnej religii przeciwko zdaniu tak głębokiego filozofa. Zaczął tym razem z innej strony i nauką swoją zadziwił nawet braci sofistów. Czytał oryginalne książki, nie tylko, jak utrzymywał, chrześcijan samych, lecz nawet naddziadów ich, Żydów, którzy uciekając przed głodem z własnego kraju, przyszedł do Egiptu za panowania Ptolomeusza Filadelfa i za zrzeczną pomocą Józefa, naczelnika swego, wykupili wszystko zboże i posłali do swego kraju. Za co Ptolomeusz uwięzić ich kazał, mówiąc: że ponieważ zjedli wszystko zboże, teraz żyć mają słomą; to jest robić ze słomy z gliną cegłę na wymurowanie wielkiego miasta. Potem Demetriusz Faleriusz, słysząc od nich wiele ciekawych badań o początkach świata, zamknął Mojżesza i Arona, najuczestniejszych z pomiędzy Żydów, w wieży, ogoliwszy każdemu po połowie brody, dopóki nie spisali pamiętników swych po grecku.

Te ciekawe księgi widział Kalpurniusz i zamierzał cały swój argument na tychże oprzeć. Naród żydowski prowadził wojnę z każdym królem i ludem, który mu zawadzał i wszystko koło siebie wytepiał. Zasadą było u nich, gdy zdobywali miasto, wszystkich mieszkańców wyrznać, a to dlatego, że zostawiali pod rządami ambitnych kapłanów tak, że gdy pewien król Saul, zwany także Pawłem, darował życie biednemu uwięzionemu królowi imieniem Agag, kapłani rozkazali, aby był na kawałki porąbany.

— Teraz — mówił dalej — ci chrześcijanie są ciągle pod panowaniem takich samych ka-

planów i gotowi są dzisiaj pod ich przewodnictwem obalić wielkie rzymskie państwo, podpalić nas wszystkich i nawet targnąć się bezbożnie na święte i czcigodne głowy naszych boskich cesarzy.

Dreszcz oburzenia przebiegł zgromadzenie po tej mowie. Lecz wkrótce wszystko się uciszyło, gdy cesarz otworzył usta.

— Co do mnie — rzekł — mam inne, silniejsze przyczyny do nienawidzenia chrześcijan. Śmieli ustanowić w państwie i w samym tym mieście samoistną religijną władzę nieznana tu dawniej, niezależną od rządu i równie potężny wpływ wywierającą na ludzi, jak sam rząd cesarski. Pierwej wszyscy uznawali cesarza za głowę religii zarówno jak i rządu cywilnego. Stąd też nosi dotąd tytuł *Pontifex Maximus*. Lecz ci ludzie wymyślili sobie podzieloną władzę, a przez to samo podzielili swoją dla mnie podległość, gorliwość i wierność. Nienawidzę więc, jako będącą uszczerbkiem mej potęgi, tej władzy kapłanów nad mymi poddanymi. I oświadczam, że wolałbym słyszeć o nowym na tron mój wdzierającym się przeciwniku, niż o wyborze jednego z tych chrześcijańskich kapłanów w Rzymie.

Tę mowę, wypowiedzianą grubym, chrapliwym głosem i rażącym cudzoziemskim akcentem, przyjęto z niezmiernym poklaskiem i układano plany jednoczesnego ogłoszenia ukazu na całym zachodzie i nieubłaganej onegoż egzekucji.

Potym zwracając się nagle ku Tertulusowi, rzekł cesarz:

— Prefekcie, mówiłeś, że masz kogoś zalecić na głównego wykonawcę tych rozporządzeń i na nieubłagane obchodzenie się z tymi zdrajcami.

— Oto jest, panie, mój syn, Korwin.

I Tertulus poprowadził młodego kandydata przed podnózek tyra. Korwin ukląkł, a Maksymian przeszył go ostrym wejrzeniem, rozśmiał się szkaradnie i rzekł:

— Na moje słowo, zdaje mi się, że będzie dobry. Zaprawdę, prefekcie, nie byłbym się domyślił, że masz tak brzydkiego syna. Zdaje mi się, że się zupełnie nada: wszelkie znamiona skończonego łotra i nielitościwego kata wypiętnowane na jego twarzy.

Potem obracając się do Korwina, który poczerwieniał jak rak ze złości, przestachu i wstydu, rzekł dalej:

— Pamiętaj, że chcę mieć dobrą robotę, nie posiekaną, nie porąbaną, nie pomyloną, nie polataną. Płacę dobrze, jak mi dobrze służą; lecz złe usługi odpłacam po swojemu. A teraz idź i pamiętaj, że jeśli plecy twoje odpowiadać mogą za małą winę, głowa odpowie za większą. W więzkach liktorów znajdują się topór i różgi.

Cesarz powstał, aby się oddalić, gdy spostrzegł Fulwiusza, który był wezwany, jako płatny dworski szpieg, lecz stał, o ile możliwości, w oddaleniu.

— A, pójdziesz tu, mój bohaterze ze wschodu — zawołał cesarz — pójdziesz bliżej.

Fulwiusz słuchał z powierzchowną ochotą, lecz wewnętrznie z prawdziwym wstrętem, jakby zbliżyć się musiał do tygrysa, o którego wąpili by łańcuchach. Postrzegł od samego początku pobytu swego w Rzymie, że przybycie jego nie było mile Maksymianowi, chociaż nie wiedział dokładnie przyczyny.

Nie było to jedynie dlatego, że tyran miał już dosyć swoich ulubieńców do z bogacenia

i szpiegów do płacenia, nie potrzebując, aby Dioklecjan z Azji swoich nasyłał, chociaż i to coś znaczyło, lecz była ważniejsza przyczyna. Myślał w głębi duszy, że Fulwiusz przysłany był głównie dla szpiegowania jego własnej osoby i dla donoszenia do Nikomedii o tym, co się mówiło i działo u dworu. Stąd też, chociaż musiał go znosić i używać, nie miał do niego żadnego zaufania i nie lubił go, a to u tyra tyle znaczyło, co nienawiść.

Było to więc niejaka pociecha dla Korwina słyszeć swego pysznego sprzymierzeńca także publicznie nagabanego i poniewieranego w słowach:

— Bez przymileń udanych stawaj tu przede mną. Trzeba mi czynów, nie fałszywych uśmiechów. Przybyłeś tutaj jako sławny wie-
trzyciel spisków, jako łasica wyuczona do wy-
ciągania spisków z gniazd najszybszych. Do-
tąd nic tak dalece z tego nie widziałem, prze-
cież nabrałeś dosyć pieniędzy do rozpoczęcia
roboty. Chrześcijanie dostarczają ci obszernego
pola działania; bądź więc gotów i pokaż nam,
co umiesz. Znasz mój sposób postępowania,
masz więc bystro patrzeć wkoło siebie, abyś
nie ujrzał przed sobą coś bardzo ostrego. Ma-
jątek winowajcy podzielony ma być między
oskarżycieli i skarb państwa; wyjąwszy, gdy-
bym miał szczególne powody w obróceniu
wszystkiego na własny użytek. Teraz możesz
się oddalić.

Wielu pomyślało, że te „szczególne powo-
dy” staną się ogólnym prawidłem.

Fabiola. T. I.

ROZDZIAŁ VII.

Smutna śmierć.

W kilku dni po powrocie Fabioli ze wsi, Sebastian postanowił odwiedzić ją dla doniesienia o rozmowie Korwina z niewolnicą, o ile można bez wyrządzenia komukolwiek niepotrzebnej krzywdy.

Z wszystkich młodzieńców, bywających w domu ojca Fabioli jeden tylko Sebastian pozyskał jej szacunek, a nawet i uwielbienie. Szczerzy, szlachetny i waleczny a nie chwający się, łagodny, uprzejmy w mowie i czynie, niesamolubny i troskliwy o drugich, łącząc tak świetnie w swojej osobie szlachetność i prostotę, głęboką mądrość i praktyczny rozsądek, wydawał jej się najdoskonalszym wzorem męskiej cnoty, któraby niełatwo z czasem osłabić się mogła lub uprzykrzyć w pozyciu.

Gdy więc doniesiono jej, że oficer cesarski, Sebastian, pragnie z nią mówić sam na sam, serce zadrżało na niezwykłą wiadomość, a myśl nasunęła tysiąc dziwnych domysłów o prawdopodobnym celu tych odwiedzin. To wzruszenie nie zmniejszyło się, gdy przeprosiwszy za natrętność, dodał z uśmiechem, że dobrze wiedząc, jak już jest udręczona od ubiegających się o jej rękę, przykro mu jest, że przyszedł jeszcze jednego nieznanego dodać do tylu innych.

Jeśli ta niejasna przedmowa zadziwiła Fabiolę, a może jej i pochlebiła, wkrótce ją ubodła wiadomość, że tym nowym kandydatem był szpetny i głupi Korwin. Ojciec jej bowiem, chociaż tak mało biegły w sztuce przenikania charakterów, poznał się dosyć na Korwinie przy ostatniej uczcie, aby w ten sposób nowego znajomego, syna prefekta, córce opisać.

Sebastian, obawiając się raczej fizycznego, niż moralnego działania napojów Afry, uznał za stosowne ostrzec Fabiolę o znoszeniu się dwóch mistrzów czarnej sztuki, której wszakże największa skuteczność zdawała się okazywać w wyciąganiu pieniędzy z kieszeni oszukanego klienta. Nie wspominał więc o tym, co w tej rozmowie mówiono o chrześcijanach. Prosił tylko, aby się miała na ostrożności i otrzymał obietnicę, że położy koniec nocnym wycieczkom niewolnicy, bieglej w sztuce czarnoksięskiej. Fabiola nie myślała na chwilę, by Afra kiedykolwiek skutecznie chciała, co obiecała Korwinowi; nie obawiała się także sztuki, którą za nic miała. W istocie ostatnie słowa Afry do siebie samej powiedziane, dostatecznie dowodziły, że ofiarę swoją oszukiwała. Lecz Fabiola oburzała się na myśl, że była przedmiotem niecznych targów i przedstawioną jako osoba chciwa i skąpa, którą kupić można za złoto.

— Czuje — rzekła nareszcie do Sebastiana — jaka dobroć z twojej strony, żeś mnie ostrzegł w tej okoliczności, i podziwiam delikatność, z jaką przystąpiłeś do tak niemilego interesu, i pobożanie dla każdej z osób, o których mówiłeś.

— Uczynilem w tej okoliczności — odparł żołnierz — to tylko, coby uczynił dla każdego, pragnąc oddać o ile możności wszelkie troski lub niebezpieczeństwa.

— Od przyjaciół twoich, zapewne myślisz — rzekła śmiejąc się Fabiola — inaczej obawiałabym się, abyś całego życia nie przetrawił na nieodwdzięczanych dobrodziejstwach.

— Niechby i tak było; lepiej użyte być nie może.

— Zapewnie żartujesz, Sebastianie. Gdy-

byś wiedział, że osoba, któraby cię nienawidziła i zguby twej szukała, zagrożona jest nie-
szczęściem, któreby cię od niej uwolnić mogło,
czyżbyś wyciągnął rękę, by ją ratować, lub
wespierać?

— Nie godziłoby się inaczej. Gdy Bóg każe
słońcu swemu świecić i deszczowi padać za-
równo dla nieprzyjaciół jak dla przyjaciół swo-
ich, czemużby słaby człowiek miał tworzyć so-
bie inne prawa sprawiedliwości?

Na te słowa zdumiała Fabiola. Tak były
te słowa podobne do słów na tajemniczym per-
gaminie zapisanych, tak zgodne z moralnymi
teoriami niewolnicy.

— Byłeś na wschodzie, zdaje mi się, Se-
bastianie—zapytała się nagle—czy tam się na-
uczyłeś tych zasad? Mam przy sobie służę,
kobietę rzadkich umysłowych zdolności, która
rozwinęła przede mną te same myśli a pocho-
dzi z Azji

— Nie uczyłem się tego w dalekim kraju,
lecz w Rzymie wyssałem z mlekiem matki;
choć pierwowzrost te myśli w samej rzeczy ze
wschodu pochodzą.

— Są niezaprzeczenie piękne w abstrakcji
filozoficznej—rzekła Fabiola—lecz śmierćby
nas dościsła, zanimbyśmy cokolwiek wykonać
mogli, chcąc w postępowaniu naszym takich
się zasad trzymać.

— A jakżesz lepiej mogłaby nas zastać śmierć
spodziewana, jeżeli nie oddających się powin-
ności naszej, chociażby nie doprowadziwszy
żadnego dzieła do końca?

— Co do mnie—odrzekła Fabiola—dzielę
zdanie naszego dawnego epikurejskiego poety.
Ten świat jest biesiada, od której powinnam
być gotową powstać, gdy będę nasyconą a nie

pierwej. Pragnę przeczytać księgę żywota,
i zamknąć spokojnie, gdy tylko skończę ostat-
nią karikę.

Sebastian potrząsł głową z uśmiechem
i rzekł:

— Na ostatniej karcie księgi tego świata
zapisana jest: „śmierć” czasem w połowie to-
mu. Lecz od następującej kartki poczyną się
jasna księga nowego żywota, która ostatniej
kartki nigdy mieć nie będzie.

— Rozumiem cię—odrzekła Fabiola wesolo—
jesteś walecznym żołnierzem i mówisz stosow-
nie do tego. Ty musisz być zawsze przygoto-
wanym na śmierć w tysiącnych przypadkach:
nas śmierć rzadko kiedy gwałtownie napada,
do słabych zbliża się łaskawiej i jakby ukrad-
kiem. Ty zapewne marzysz o świetnych czy-
nach, niezliczonych strzałach nieprzyjacielskich
w ciebie godzących, o zgonie pełnym chwały,
a potem wyglądasz żołnierskiego stosu i na nim
trofeów. Tobie po śmierci otwiera jasne kar-
ty swoje księga chwały.

— Nie, nie, szlachetna pani—zawołał Se-
bastian z zapalem—nie zrozumiałaś mnie. Nie
dbam o chwałę, którąbym się cieszyć miał za
pomocą ulatującej w przyszłość wyobraźni.
Mówię o zwyczajnej śmierci, która mię spot-
kać może wspólnie z najuboższym niewolni-
kiem; o śmierci, pożerającej zwolna palącą go-
rączką albo zbliżającej się wśród mąk, zwolna
jątrzących się ran, albo zadanej przez okrutniej-
sze złości ludzkiej razy. Niechaj przyjdzie pod
jakąbądź postacią, przychodzi zawsze z ręki,
którą kocham.

— I czy istotnie myślisz, że śmierć pod
taką postacią byłaby tobie miłą?

— Tak wesołym będzie serce moje, jak

Epikurejczyk, gdy widzi podwoje sali biesiadnej szeroko rozwarte, a dalej jasne lampy, błyszczący stół i smaczne potrawy, z służbą pięknie ubraną i w wieńce róż strojną; tak radosnym będzie serce moje, jak oblubienica, gdy jej oznajmują, że przyszedł oblubieniec z bogatymi dary, aby ją zaprowadzić do domu swego; tak radosnym będzie serce moje, gdy śmierć pod jakąbądź postacią roztworzy podwoje żelazne po tej stronie, lecz złote po tamtej, które prowadzą do nowego i wiecznego żywota. I nie lękam się, jakkolwiek ponury posłaniec oznajmia przybycie tego Pana, który jest niebiańskiej piękności.

— A któż on jest ten Pan? — chciwie zapytała Fabiola. — Czy nie może być widzialnym tylko przez przezroczyste żebra śmierci?

— Nie — odrzekł Sebastian. — On bowiem musi być nagrodą nie tylko za dobre życie, lecz i za dobrą śmierć. Szczęśliwy ten, którego serce, zawsze dla Pana otwarte, było czyste i niewinne, a czyny cnotliwe! Dla nich zgótowane jasne poznanie ukochanego, które jest dopiero prawdziwą nagrodą.

Jakie podobieństwo z nauką Syry! Lecz zanim się zapytać mogła, skąd ta nauka, niewolnik wszedł, stanął na progu i rzekł z uszanowaniem:

— Posłaniec pani w tej chwili przybył z Bajae¹⁾.

— Wybacz, Sebastianie! — zawołała. — Niechaj zaraz wejdzie.

Zostawiwszy spoconego konia u bramy, wszedł znużony i kurzem okryty posłaniec i oddał jej zapieczętowany list.

¹⁾ Modne wówczas kąpiele niedaleko Neapolu.

Ręka jej drżała odbierając pismo, i przecinając związkę, z trwogą zapytała Fabiola:

— Od mego ojca?

— O nim przynajmniej — była złowieszczą odpowiedź.

Rozłożyła arkusz, rzuciła nań okiem, krzyknęła i upadła. Sebastian pochwycił padającą, położył na łożu i pozostawił ją w rękach niewolnic, które się zbiegły na krzyk pani.

Jednym rzutem oka wszystkiego się dowiedziała. Ojciec żyć przestał.

ROZDZIAŁ VIII.

Jeszcze smutniej.

Gdy Sebastian wyszedł na dziedziniec, zastał służących otaczających posłańca i słuchających o śmierci pana.

List, posłany przez Torkwatę, osiągnął pożądaną cel. Fabiusz udał się do willi swej i przepędził parę dni z córką przed wyjazdem do Ostii. Był czulszym, niż zazwyczaj, i gdy się żegnali oboje, ojciec i córka przejęci byli smutkiem, jakby przeczuwając, że się nigdy nie zobaczą.

Fabiusz wszakże wkrótce wrócił do zwykłego usposobienia w Bajae, gdzie grono wesółych przyjaciół niecierpliwie na niego czekało; uważał za konieczne zatrzymać się tam, gdyż mu statek przyrządzono i opatrywano na drogę w najlepsze wina i przysmaki, jakich Kampania dostarczyć mogła. Przebrał jednak miarę zbytków, i wychodząc z kąpieli po obfitej wicherzy, dostał dreszczów i po dwudziestu czterech godzinach żyć przestał. Majątek cały

zostawił jedynaczce. Nareszcie ciało było już nabalsamowane, gdy posłaniec wyruszył, i miało być przywiezione na statku Fabiusza do Ostii.

Słyszając to smutne opowiadanie, Sebastian żałował, że się w tej chwili wyraził o śmierci, jak było powyżej, i opuścił dom ze smutnymi myślami.

Pierwsze zanurzenie się Fabioli w zimną przepaść boleści było głębokie i okropne, aż do stracenia zmysłów. Potem lekkość młodości i siła umysłu wyprowadziły ją znowu na powierzchnię, a widok życia, przedstawiający się na widnokręgu wyobraźni, był jakby niezmierny ocean gotujących się czarnych fal, na których płynęła jedna tylko żyjąca istota, to jest ona sama. Żal jej był niewymowny i niezmierny, dreszcz ją przeszedł, zamknęła oczy i znowu popadła w odrętwienie, póki nie wróciła przytomność umysłu. Co raz przechodziła gwałtownie z chwilowej śmierci do chwilowego życia, a otaczające sługi próbowały lekarstw na to, co im się wydawało zastraszającym objawem obłąkania. Nareszcie usiadła, blada, z okiem szklanym i suchym, łagodnie oddalając rękę, która usiłowała krzepić ją kordialami. W tym stanie długo pozostała; opanowała ją martwa i nieruchoma obojętność; żrenice zdawały się nieczule na światło, i zcicha obawiano się, czy mózg nie był dotknięty. Lekarz wezwany wymówił wyraźnie i dobitnie do ucha jej to pytanie:

— Fabiolo, czy wiesz, że ojciec twój umarł? Zadrżała i upadła na wznak, i potok łez ulżył jej sercu i głowie. Mówiła o ojcu i wołała go wśród łkania; dzikie, beładne, lecz miłości pełne słowa mówiła o nim i do niego. Czasem (jak się zdawało) myślała, że ojciec

żyje jeszcze; potem przypominała sobie, że umarł, płakała i jęczała, póki sen nie zmorzył łzawych powiek na pokrzepienie znękanego umysłu i ciała.

Eufrozyna i Syra same czuwały przy niej. Eufrozyna od czasu do czasu powtarzała pogankie blahe pociechy, przypominała jej, jak dobrym panem, jak uczciwym człowiekiem i kochającym ojcem był Fabiusz. Lecz chrześcijańska czasem tylko słodkim i łagodnym słowem milczenie przerywając, posługiwała pani z tak serdeczną delikatnością, że nawet w takiej chwili nie uszła uwagi. Cóż więcej czynić mogła, jeśli nie modlić się? Jakaż nadzieję mieć mogła, jeśli nie tę najszczytniejszą nadzieję, że łaska Boża rozwija się jak kwiat w tej chwili, że jasny anioł pływał w czarnym obłoku, okrywającym upokorzony umysł jej pani?

Gdy ból ustępował, powracała Fabioli myśl w ciemnej i badawczej formie: Co się stało z jej ojcem? Gdzie się podział? Czy się roztopił w nicości, czy też uległ na zawsze zniszczeniu? Czy życie jego przejrzało przez to niewidome oko, które widzi rzeczy niewidzialne? Czy przeszedł przez tę próbę, którą Sebastian i Syra opisywali?.. Niepodobna!... A więc cóż się z nim stało? Drżała i usiłowała odpędzić troskę od zmęczonego umysłu. Och! gdyby promień nieznanego światła przeniknął grób i pokazał jej, czym jest! Poezja chciała grób uświetnić i nawet uświetnić; lecz nieboga stanęła tylko przy wschodzie jako geniusz z pochyloną głową i zgaszoną pochodnią. Dalej poszła nauka; widziała smrodliwą kostnicę, ze skalanymi skrzydłami i lampą zgaszoną w zepsutym powietrzu, wyszła przerażona. I filozofia ośmieliła się tylko z daleka obchodzić wkoło, zaglą-

dać z przestraczem i cofać się, a potem rozprawić lub pleść: wzruszając ramionami, przyznała, że zagadka jeszcze nierozwiązania i tajemnica jeszcze niezgłębiona. O, gdyby ktokolwiek wyższy nad to wszystko, mógł usunąć okropną niepewność!

Gdy te myśli ciemną nocą otaczały serce Fabioli, niewolnica jej cieszyła się innym widzeniem rzeczy. Widziała światła odziane w śmiertelne kształty, powstające z grobu jakby z oczyszczenia, w którym zostały podłejsze przedmioty cielesności bez nadwyżęcenia istoty ludzkiej natury. Uduchowione i wolne, piękne i chwalebne otoczone widzenie pozostaje z samego siedliska zgnilizny. I coraz to nowe ukazują się z ładu i morza; z cuchnącego cmentarza i z pod ołtarza świętego; z gęstej krzewiny, gdzie tajemne zabójstwo popełnione było na sprawiedliwym, i z pól dawnych bitew toczonych przez Izraela dla chwały Bożej, i zewsząd jak kryształowe fontanny biją w powietrzu, sygnały ogniste ku niebu się wznoszą; zewsząd budzi się życie, aż nareszcie miliony zmartwychwstałych w ściśniętych szeregach zaludniają ziemię na nowo wesołym i nieśmiertelnym życiem.

A jak ona to widzieć mogła? Oto, że ktoś większy i lepszy od poety, mędrca lub filozofa sam uczynił próbę; zstąpił naprzód w ciemne łożo śmierci, pobłogosławił, a jak pierwaj kolebkę i niemowlęstwo uświęcał, tak śmierć rzecz świętą uczynił. Wstąpił weń w ciemnym zmroku wieczornym; a wyszedł w najjaśniejszym ranku; okryty w grobie ziołami i korzeniami, powstał odziany w własną wonną nieśmiertelność. I od tej chwili grób przestał być przestraczem dla duszy chrześcijańskiej, bo został nadal tym, czym go uczynił Chry-

stus: brózdą, w której musi być siane ziarno nieśmiertelności.

Czas nie był przyszedł, w którym można o tym wszystkim mówić Fabioli. Ciągłe zagrożona była w żalu, jak ci, którzy nie mają nadziei. Dzień za dniem upływał w smutnym rozmyślanu nad tajemnicą śmierci, gdy nareszcie inne trudy ją zbudziły.

Ciało przywieziono; pogrzeb się odbył z rzadką wspaniałością. Uroczysty obrządek, na którym niesiono woskowe maski przodków przy świetle pochodni, a potem zapalono ogromny pogrzebowy stos z drzewa aromatycznego, wonny najrzadszymi korzeniami z Arabii, zakończył się zebraniem ręką Fabioli kilku garści popiołów z popalonych kości, które złożone zostały w urnę alabastrową, i postawione w framudze w grobie rodzinnym z zapisanym nazwiskiem, czyje były za życia.

Kalpurniusz wygłosił pogrzebową mowę, w której stosownie do modnych ówczesnych opinii porównywał cnoty gościnne i przemyślnego obywatela z fałszywą moralnością ludzi zwanych chrześcijanami, którzy poszczą i modlą się po całych dniach, a podstępnie zarażają niebezpiecznymi zasadami każdą szlachetną rodzinę i szczepią niewierność i niemożliwość we wszystkich klasach. Gdyby istniało jakie przyszłe życie, o czym zdania filozofów podzielone, Fabiusz bezwątpienia kąpałby się teraz w świetle słonecznym na zielonych elizejskich polach i napawał nektarem. — Ach! — kończył stary, płacząc fałszywie, który z żalu za Fabiuszem nie byłby zamienił kubka Falernu za amforę¹⁾ tego napoju. — Ach, niechaj

¹⁾ Duży gliniany dzban, w którym wino przechowywano.

bogowie przyspieszyć raczą dzień, w którym ja, uniżony klient Fabiusza, połączę się z nim w tajemniczym zaciszu i przy skromnych ucztach! — Te uczuciowe słowa zyskały ogólny poklask.

Po tych zajęciach nastąpiły inne, Fabiola skierować musiała sprężysty umysł swój do zakłany interesów ojcowskich. Często zmartwiona była odkryciem tego, co w jej oczach było niesprawiedliwością, oszustwem, fałszerstwem i uciemiężeniem, w sprawach człowieka, którego świat uwielbiał jako najsumienniejszego i najbojniejszego z obywateli.

W parę tygodni później Fabiola w żałobnej odzieży odwiedzała przyjaciół swoich. Zaczęła od Agnieszki.

ROZDZIAŁ IX.

Fałszywy brat.

Trzeba nam się wrócić do smutnej historii Torkwata. Nazajutrz po okropnym upadku, budząc się z ciężkiego snu, ujrzał przy sobie czuwającego Fulwiusza. Był to sokolnik, który pochwyciwszy młodego sokola, przyszedł go oblaskawić i przyuczyć do polowania na gołębie, za które płacić mu będzie niewolą wśród obfitości dobrego zeru. Jako doświadczony mistrz z najzimniejszą krwią przywodził mu na pamięć każdy szczegół nocnej rozpusty, utratę wszystkiego i jedyne sposoby ratowania się przedstawiał z nielitościwą dokładnością; wzmacniał każdą nić sieci, w którą nieszczęśliwego ułowił.

Takie było położenie Torkwata; jeśli kro-

kiem postąpi ku chrześcijaństwu, co, jak zapewniał Fulwiusz, byłoby bezskutecznym do pojednania się z braćmi, zaraz według praw cesarstwa oddanym będzie pod sąd i srogą śmiercią ukarany. Jeśli zaś zostanie wiernym przeszłej nocy zawartemu przymierz, na niczym mu zbywać nie będzie.

— Jesteś cierpiący i w gorączce — rzekł nareszcie Fulwiusz — chodź, ranna przechadzka i świeże powietrze orzeźwią cię.

Nędznik dał się namówić; i zaledwie doszli do forum, gdy Korwin, jakby przypadkiem, zaszedł im drogę. Po wzajemnych pozdrowieniach rzekł:

— Cieszę się, że cię spotkałem; miło mi będzie zabrać cię z sobą i pokazać pracownię mego ojca.

— Pracownię? — spytał Torkwatus z zadziwieniem.

— Tak jest, miejsce, w którym narzędzia swoje przechowuję, na nowo teraz ślicznie zostało ozdobione. Ołóż właśnie najlepszy nasz podmaistrzy, stary mruk Katulus, drzwi nam otwiera.

Weszli do obszernego dziedzińca, naokoło którego było poddasze wypełnione różnokształtymi narzędziami kary. Torkwatus wzdrygał się.

— Wejdźcie, panowie, nie lękajcie się — rzekł stary kat. — Nie ma tu jeszcze ognia i nikt wam nic nie zrobi, chyba który z was był obrzydliwym chrześcijaninem; na takich bowiem ostrzemy te narzędzia.

— Teraz, Katulusie — rzekł Korwin — opowiedz temu panu, który jest nietutejszy, użytek tych ładnych zabawek, jakie tu masz.

Katulus z ochotą zaczął oprowadzać po szacownym zbiorze, tłumacząc każdą rzecz z ob-

szernymi komentarzami i tak gorliwie, że w zapale swym udzielił Torkwatowi praktycznego objaśnienia o tym, co pokazywał, uchwyciwszy raz ucho jego w ostre szczypce, a innym razem uderzając młotkiem w powietrze, tak, że o włos zębów mu nie wybił.

Ruszt, na którym skazańców smażono, duża żelazna krata, żelazne krzesło z piecykiem zamiast siedzenia, duże kotły do kąpieli z gorącego oleju lub wrzącej wody, chochle do gotowania ołowiu i wlewania w usta; szczypce, haki, żelazne grzebienie rozmaitych kształtów do obdzierania członków ze skóry; tak zwane skorpiony, czyli dyscypliny, zbrojne w żelazne lub ołowiane gałki; żelazne obroże, kajdany, dyby najrozmaitszego rodzaju; nareszcie miecze, noże i siekiery we wszelkich gatunkach, pokazywał z prawdziwym amatorstwem i przedsmakiem rozkoszy, spodziewanej w użyciu tak wydoskonalonych utworów katowskiej sztuki na upartych i twardoskórych chrześcijan.

Torkwatus był do żywego przejęty. Zaprowadzono go do łaźni Antonika, gdzie ściągnął na siebie uwagę starego Kukumina i żony jego Wiktorii, którzy go przedtem widzieli w kościele. Po dobrym śniadaniu zaprowadzono go do sali gry w termach, gdzie, oczywiście, zgrał się. Fulwiusz pożyczył mu pieniędzy, lecz na każdy grosz wymagał podpisu. Tym sposobem w kilku dniach zupełnie opanował kusiciel Torkwata.

Schodzili się o wczesnych godzinach z rana i późno wieczór; zresztą przez cały dzień Torkwatus był od nowych przyjaciół wolny, aby nie popadł w podejrzenie u chrześcijan, a przez to nie tracił swej wartości. Korwin zamierzał z wielkim zamachem uderzyć na chrze-

ścijan, jak tylko edykt ogłoszony będzie. Wy-mógł więc na Torkwacie, aby wziął na siebie wskutek zawartego przymierza przepatrzenie głównego cmentarza, w którym Papież miał celebrować. Z tego zadania wkrótce wywiązał się Torkwatus, zwiedzając cmentarz św. Kaliksta w towarzystwie Pankracjusza i fossorów; i wtenczas, kiedy się toczyła w jego sercu walka, przez Sewerusa dostrzeżona, między łaską Bożą a pokusą, pamięć na Katulusa i męczarnie, na Fulwiusza i wyludzone podpisy piekła zwycięstwo oddały. Korwin podług sprawozdania zrobił plan cmentarza, aby walny atak przypuścić do schronienia chrześcijan zaraz nazajutrz po ogłoszeniu dekretu cesarskiego.

Fulwiusz inny obrał sposób. Umyślił poznać na własne oczy zgromadzone w kościele wyższe duchowieństwo rzymskie i znaczniejszych chrześcijan. Raz przypatrzwszy się ich twarzom, pewny był, że żadne przebranie nie zdoła omylić przenikliwego oka, że z łatwością wyłowi wszystkich po jednemu. Nalegał więc na Torkwata, aby się razem udali na pierwszą znaczniejszą uroczystość, gromadzącą wielu księży i diakonów koło Papieża. Zbił wszelkie odradzania, uspokoił wszelkie obawy, i zapewnił Torkwata, że raz wszedłszy za wymówieniem hasła, sprawić się będzie zupełnie jak chrześcijanin. Torkwatus wkrótce przyniósł wiadomość przy nadchodzącym święceniu księży w miesiącu grudniu.

ROZDZIAŁ X.

Święcenia w grudniu.

Ktokolwiek czytał historię pierwszych Papieżów, musi pamiętać szczegół o każdym prawie Papieżu bez wyjątku zapisany, że w miesiącu grudniu święcili tyle a tyle kapłanów i diakonów, tyle a tyle biskupów do różnych miejsc. Pierwsze dwa święcenia udzielane bywały dla dostarczania duchowieństwa miastu; trzecie dla opatrywania innych diecezji pasterzami. W późniejszych czasach, podczas postu w grudniu około święta św. Łucji, zasiadali Papież w konsystorzu, imiłowali swych kardynałnych księży i diakonów, i wysyłali biskupów do wszystkich części świata. I chociaż konsystorze nie odbywają się teraz koniecznie w czasie święceń, utrzymują się wszakże dotąd w tym samym celu.

Papież Marcełinus, pod którego pontyfikatem opowieść nasza się dzieje, odbywał, jak jest zapisane, dwa święcenia w miesiącu grudniu, ma się rozumieć nie jednego roku. O jednym z tych dwóch święceń wspomnieliśmy, jako mającym wkrótce nastąpić.

Gdzie się ten uroczysty obrządek odbyć ma, było pierwszym pytaniem Fulwiusza.

Dom, w którym mieszkali Papież, i kościół, w którym nabożeństwa odprawiali, póki Konstantyn nie oddał na ten cel latareńskiego pałacu, rezydencja i katedra świetnej linii Papieżów męczenników w przeciągu lat 300 nie może być miejscem obojętnym.

Opisując dom rodziców Agnieszki, mówiliśmy, że stał przy ulicy Patrycjuszowskiej. Ta ulica zwała się także ulicą Korneliuszów, dla-

tego, że w niej mieszkała rodzina, to świetne imię nosząca. Setnik, nawrócony przez św. Piotra należał do tej rodziny i być może, że temu setnikowi winien był apostoł poznanie się z głową domu Korneliuszów, Korneliuszem Pudensem. Senator ten miał za żonę Klaudię, szlachetną bretońską damę; i dziwna, jak nieskromny poeta Martialis ubiega się o lepsze z najczystszyimi pisarzami, gdy śpiewa pieśń godową tych dwojga cnotliwych małżonków.

W domu tego stadła mieszkał św. Piotr, a współapostoł jego, św. Paweł, liczył obu małżonków do poufałych przyjaciół swoich, i tak pisze do Tymoteusza: „Cubulus i Pudens, Linus i Klaudia i wszyscy bracia pozdrawiają cię”. Z tego więc domu rozchodzili się biskupi, których ksiąg apostołów rozsyłał w różne części świata dla rozszerzenia wiary i umiarnia za Chrystusa. Po śmierci Pudensa dom stał się własnością dzieci dwóch synów i dwóch córek. Córkę lepiej znane dlatego, że zajęły miejsce w kalendarzu kościelnym i nadały dwom z najślawniejszych kościołów rzymskich imiona swoje św. Praksedy i św. Pudencjanny. Kościół ten św. Pudencjanny, jest to samo, co dom Pudensa. Jak w każdym innym mieście, tak w Rzymie ofiara Eucharystii poświęcaną bywała początkowo w jednym tylko miejscu przez biskupa. I nawet gdy więcej kościołów powstało, w których się wierni gromadzili, Komunia św. przynoszona była z jednego ołtarza i tylko rozdawana przez innych księży. Czwartym dopiero następcą św. Piotra, papież Ewaryst, rozmnożył kościoły w Rzymie przy szczególnie zajmujących okolicznościach.

Ten papież więc postanowił dwie rzeczy.

Naprzód rozkazał, aby ofiarę świętą czyniono koniecznie na kamieniu poświęconym, a nie drzewie; powtóre „rozdał tytuły” kościołom, t. j. podzielił Rzym na parafie, a kościołom parafialnym nadał nazwy. Związek tych dwóch postanowień widocznym będzie dla czytających w Genesie XXVIII, że Jakób po anielskim widzeniu, którym się ratował we śnie, mając pod głową kamień za poduszkę, obudził się ze drżeniem i rzekł: „Jak strasznym jest to miejsce! Oto zaprawdę dom Boży i brama do nieba. I Jakób obudziwszy się z rana, wziął kamień... i postawił ołtarz i z wierzchu polał olejem”.

Kościół czyli oratorium, gdzie się odbywały święte tajemnice, był istotnie dla chrześcijan domem Bożym; a kamień ofiarny namaszczoney olejem, tak jak i do dziś dnia ustawy św. Ewarysta obowiązująca moc zachowały stawał się tytułem, monumentem, lub jak teraz się mówi, kościołem parafialnym. Dwie zajmujące okoliczności wyświeśla nasza powieść. Pierwsza, że w tym czasie jeden był tylko kościół znany później i dotąd pod imieniem św. Pudencjanny. Druga zaś, że ołtarz do owego czasu istniejący nie był z kamienia, lecz z drzewa; że jednak ten drewniany ołtarz używany od początku przez św. Piotra nie przestał być używanym w kościele św. Pudencjanny, póki nie został przeniesiony przez św. Sylwestra do laterańskiego bazyliki, gdzie jest dotąd głównym czyli wielkim ołtarzem.

Stąd się pokazuje, że prawo nie było zastoso-
wane wstecznie, że się wyraźnie tyczyło ołtarzy w przyszłości mających być wzniesionymi, i że ołtarz św. Piotra, choć drewniany, nie przestał być ołtarzem papieskim w tym kościele św. Pudencjanny, a potem w kościele

laterańskim, gdzie był przez św. Piotra używany.

Kościół więc na ulicy Patrycjuszowskiej pozostał biskupim, t. j. papieskim kościołem. Panowanie św. Piusa I. od r. 142 do 157 tworzy zajmujący okres w historii tego Kościoła, a to z dwóch względów.

Naprzód ten papież, nie zmieniając godności samego kościoła, przydał doń kaplicę, której nadał tytuł Pastora. Pierwszym proboszczem tej parafii był brat Piusa I. Pastor, a następnie proboszcze czyli kardynałowie byli tytułowani kardynałami Pastora, co pokazuje, że sam główny kościół na Vicus Patricius nie był kościołem parafialnym, lecz wyższą miał godność.

Nadto podczas tego pontyfikatu przyszedł do Rzymu po raz drugi i cierpiał męczeństwo święty i uczony apologeta, św. Justyn. Porównanie pism własnych tego świętego z aktami jego męczeństwa wielce jest pouczające co do obrządków chrześcijan w czasie prześladowania.

— Gdzie się zgromadzają chrześcijanie? — zapytany św. Justyn przez sędziego, odpowiedział:

— Czy myślisz, że się wszyscy w jedno miejsce zbieramy? Wcale tak nie jest.

Lecz zapytany, gdzie mieszka i gdzie zgromadza swych uczniów, odrzekł:

— Mieszkałem dotąd obok domu Marcina i łaźni zwanej Tymoteuszową. Przychodzę do Rzymu po raz drugi i nie znam innego mieszkania jak to.

Łaźnie Tymoteuszowe czyli Tymoteusza były częścią domu rodziny Pudensa, i te same, w których, jakieśmy mówili, Fulwiusz i Korwin zeszli się owego pamiętnego poranku, kiedy

Pankracjuszowe srebra ubogim rozdane zostały.

Nowatus i Tymoteusz byli braćmi świętych dziewic Praksedy i Pudencjanny, i stąd łącznie nazywały się Nowacjańskimi i Tymotyńskimi.

Św. Justyn mieszkał więc w tym miejscu, a że nie znał innego w Rzymie, tam odprawiał ofiarę świętą. Same prawa chrześcijańskiej godności każą się tego domniemywać. W apologii swej, wykładając rzymską liturgię taką, jak ją widział, wyraża się o celebrującym księdzu w słowach, które oznaczają biskupa czyli naczelnego pasterza, nie tylko dając mu tytuł, w starożytności godność biskupią oznaczający, lecz opisując jako osobę wspierającą sieroty, wdowy, chorych, ubogich, więźniów, cudzoziemców jako gości do stolicy przybyłych, jednym słowem „mającą staranie o wszystkich opieki potrzebujących”. Tą osobą nie mógł być kto inny, jak biskup rzymski, papież.

Uważamy dalej, że o św. Piusie zapisane jest, że fundował w tym kościele, jako w głównym wówczas kościele papieskim, stałą*) chrzcielnicę, która później przeniesioną została wraz z ołtarzem papieskim do Lateranu.

Dalej, że św. Stefan papież (r. 257) chrzczył trybuna Nemezjusza z rodziną i wielu innych w kościele Pastora i tam także błogosławiony diakon Wawrzyniec rozdawał drogie naczynia kościelne pomiędzy ubogich.

Z czasem kościół Pastora przybrał nazwę św. Pudencjanny, do którego był przez Piusa I. przystawiony i dotąd nosi tę samą nazwę. Uboży więc kościół św. Pudencjanny był podczas

*) Przed św. Piusem I. kościoły stałych chrzcielnic nie miały.

trzech pierwszych wieków katedrą rzymską. Do tego więc kościoła św. Pudencjanny, jakkolwiek niechętnie, podjął się Torkwatus zaprowadzić Fulwiusza, aby mógł się przypatrzeć święceniu grudniowemu.

Torkwatus, znając chrześcijańskie hasło, wszedł do kościoła z Fulwiuszem, który wkrótce pokazał, że umie się zachować, jak wszyscy. Zgromadzenie było liczne. Mieściło się w sali domowej, zamienionej na kościół czyli oratorium, które było głównie zajęte przez duchowieństwo i przez kandydatów do kapłaństwa. Pomiedzy tymi byli dwaj bracia Marcus i Marcelinus, w więzieniu wraz z Torkwatem nawróceni, którzy przyjmowali diakonat, a ojciec ich, Trankwilinus, był już na księdza wyświęcony. Fulwiusz zapisywał w pamięci swej twarze i rysy tych osób, a z większą jeszcze uwagą przypatrywał się duchowieństwu najwyższemu rzymskiemu, które tam było zgromadzone. Lecz w jednej osobie bardziej, niż we wszystkich innych, utopił wzrok przenikliwy, śledząc każdy ruch, wejrzenie, głos i wyraz twarzy.

Tą osobą był papież, wypełniający święty obrządek. Marcelinus rządził Kościołem już od sześciu lat i sędziwego był wieku. Powierzliwość jego słodka i łagodna nie okazywała tej siły, jakiej później dowiódł, oddając życie za Chrystusa.

W owych czasach unikano wszelkich zewnętrznych oznak, któreby zdradzić mogły głównego pasterza przed oczyma wilków. Papież nosił zwyczajny, prosty strój osób sędziwych. Lecz bezwątpienia przy ołtarzu inna szata, poprzedniczka wielkiego ornatu, zarzucana bywała na zwyczajne ubranie. Do tego przy obrządkach świętych kładł biskup koronę czyli infułę,

początek późniejszej mitry, a w rękę trzymał pastorał, znak pasterskiego urzędu i władzy.

W papieża więc, twarzą obróconego do zgromadzenia przed świętym ołtarzem Piotra, który stał pomiędzy nim a ludem¹⁾, wlepił wschodni szpieg przenikliwe oczy. Przypatrywał mu się najuważniej, zmierzył okiem wzrost jego, zapisał w pamięci kolor włosów i cery, każde poruszenie głowy, chód, ruchy, głos, oddech prawie, i nareszcie rzekł do siebie.

— Niech wyjdzie na miasto w jakim bądź przebraniu, ten człowiek jest moją zdobyczą. A co za zdobycz!

ROZDZIAŁ XI.

Dziewice.

Prawo rzymskie w latach dwunastu pozwalało zawierać związki małżeńskie, Kościół jednak w dojrzałych dopiero latach dopuszczał uroczyste i stanowcze śluby zakonne, a wtenczas z rąk biskupa odbierały ślubujące zwykle około Wielkiejnocy zasłone białą na znak panieństwa. Zapewne pierwsze poświęcenie zasadzało się tylko na obleczeniu z rąk rodziców prostej czarnej sukni. Lecz gdy niebezpieczeństwo groziło, Kościół upoważniał przyspieszenie o lat wiele drugiego poświęcenia i przez uroczyste błogosławieństwo swoje umacniał oblubienice Chrystusa w świętym postanowieniu, co tłumaczy wyżej przytoczony przykład Precyozy.

¹⁾ W dużych i dawnych bazylikach rzymskich celebrujący kapłan obrócony jest twarzą do wiernych.

Prześladowanie najsroźsze miało wybuchnąć bez litości nawet dla najłabszych owieczek; i nie dziw, iż te, które w sercach swoich poślubiły się Barankowi jako czyste oblubienice jego na wieki, pragnęły odbyć gody przed śmiercią. Pragnęły, jak łatwo pojąć, dziewczęta lilią opleść palmę męczeńską, gdyby dostać się im miała. Agnieszka od dzieciństwa obrała dla siebie święty stan panieństwa. Nadziemska mądrość, która się zawsze okazywała w jej mowie i czynach, łącząc się tak wdzięcznie z prostotą niewinnego dziecka, czyniła ją nad lata dojrzałą do otrzymania wszelkiej dyspensy, użyczanej sercom, spragnionym za dniem najczystszych godów. Uchwyciła się więc gorąco prawa, jakie jej dawało zbliżające się niebezpieczeństwo do nadzwyczajnej dyspensy od przepisu, który jej nie dopuszczał do ślubów uroczystych przed skończeniem lat dziesięciu.

Druga postulantka złączyła się z Agnieszką w tej prośbie.

Możemy się łatwo domyśleć, że pobożna przyjaźń zawiązała się pomiędzy Agnieszką a Syrą od pierwszego poznania się, któreśmy wyżej opisali. To uczucie wzmogło się, gdy Agnieszka usłyszała od Fabioli pochwały ulubionej sługi. Z tych pochwał i skromniejszych doniesień niewolnicy przekonała się z pociechą, że dzieło, któremu Syra się poświęciła, to jest nawrócenie Fabioli, powinno być niewolnicy wyłącznie zostawione. Widocznie na dobrej było drodze, zawdzięczając powodzenie przeczności i łasce, z którą było prowadzone. Przy częstym widywaniu się z Fabiolą słuchała Agnieszka z podziwieniem i wewnętrznym zadowoleniem, co jej krewna opowiadała o rozmowach swych z Syrą; lecz starannie unikała

każdego słowa, któreby mogło obudzić posądzenie o jakimkolwiek znoszeniu się między nimi.

Syra jako służebnica, Agnieszka jako krewna przybrały żałobę po śmierci Fabiusza, a stąd zmiana ubioru nie mogła wzbudzić w córce Fabiusza posądzenia o wspólną tajemnicę lub o wspólny zamiar przyjaciółki i służebnicy. Mogły więc bezpiecznie prosić o przypuszczenie do uroczystego złożenia ślubów wiecznego dziewictwa. Prośba odniosła pożądany skutek, lecz dla przyczyn łatwych do odgadnienia, tajemnicę starannie zachowano. Aż na dzień lub dwa przed dniem szczęśliwym duchownych godów, Syra odkryła swe postanowienie pod wielkim sekretem ślepej przyjaciółce.

— Takto — odrzekła Cecylia niby w złym humorze — dla siebie ukrywasz wszystko, co dobre. A czy nazywasz to miłością bliźniego?

— Moje drogie dziecko! — rzekła Syra łagodnym głosem — nie gniewaj się. Musiałam zachować tajemnicę.

— A więc domyślałam się, że ja biedna nawet przytomną nie będę!

— Och, nie, Cecylio, przeciwnie; będziesz mogła być przytomną i patrzeć na wszystko, co tylko potrafisz dojrzeć — odrzekła Syra, śmiejąc się.

— Mniejsza o patrzeć — odpowiedziała Cecylia. — Lecz powiedz mi, jak będziesz ubrana? Co sobie masz przygotować?

Syra opisała jej dokładnie kształt i barwę sukni i zasłony.

— Jakie to zajmujące! — rzekła — a co jeszcze więcej?

Syra, ubawiona niezwykłą ciekawością przyjaciółki, opisała szczegółowo krótki ceremoniał.

— Dobrze więc; ale jeszcze jedno pytanie — rzekła dziewczyna. — Gdzie to wszystko będzie się odbywało? Mówisz, że mogę przyjść, więc muszę wiedzieć miejsce i czas.

Syra powiedziała jej, że obrządek odbędzie się w kościele Pastora przy pierwszym brzasku dziennym, na trzeci dzień po dniu dzisiejszym.

— Lecz skądże twoje dopytywania się, moja droga?... Nigdy cię tak ciekawą nie widziałam. Czyś ty teraz taka światowa?

— Nie myśl tego — odpowiedziała Cecylia; — jeśli pewne osoby mają tajemnice przede mną, czemużbym także swoich tajemnic mieć nie mogła?

Syra uśmiechnęła się z udanego nieukontentowania, bo dobrze знаła pokorną prostotę dziewczyny. Uściskały się czule i rozeszły. Cecylia pobiegła prosto do domu dobrej Lucyny, gdzie była lubianą jak po wielu innych domach. Jak tylko została przypuszczoną do pobożnej matrony, rzuciła się z płaczem na jej łono. Lucyna ścisła ją i pieściła i wkrótce zupełnie ją uspokoiła. Po kilku minutach była znowu wypogodzoną i wesołą i zdawała się naradzać z uprzejmą panią nad tajemnym przedmiotem, który ją rozkoszą napełniał.

Opuściwszy Lucynę z wesołą twarzą, lekkim krokiem udała się do domu Agnieszki, gdzie mieszkał w gościnie bogobojny kapłan Dionizjusz. Zastała go w domu, i rzucając się na kolana, z tak gorącym uczuciem przemówiła, że się wzruszył do łez i odpowiedział łaskawie podług życzenia Cecylii.

„Te Deum” nie było jeszcze podówczas ułożone, lecz coś bardzo podobnego zaśpiewało serce ciemnej dziewczyny, gdy powracała do ubogiego mieszkania.

Szczęśliwy ranek przybył nareszcie i przed dniem odbyły się uroczyste tajemnice, po których zgromadzenie wiernych rozeszło się. Ci tylko pozostawali, którzy mieli brać udział w prywatnym obrządku, lub którzy byli w szczególności zaproszeni. Była tam Lucyna z synem, podeszli w wieku rodzice Agnieszki i Sebastian. Lecz Syra nadaremnie oglądała się za ślepą przyjaciółką; widać, że wraz z ludem kościół opuściła; i pocziwa niewolnica obawiała się, czy nie zraziła przyjaciółki skrytością swoją w ostatniej z nią rozmowie.

Sala była dotąd pogrążona w zimowym rannym mroku, chociaż rozżarzony wschód na niebie zapowiadał jasny, grudniowy dzień. Na ołtarzu paliły się duże wonne świece, a wokoło kosztowne srebrne i złote lampy łagodnym światłem opromieniały przybytek. Naprzeciwko ołtarza było nie mniej święte krzesło, za naszych dni na Watykanie stojące: krzesło świętego Piotra. Na nim siedział Ojciec św. z pastorałem w rękę i koroną na głowie, a wokoło stali kardynałowie nie mniej poważni od samego Papieża.

Z głębi kaplicy rozlegały się słodkie anielskie głosy, śpiewające pieśń, dającą przeczuwać uczucie wkrótce wcielone w hymn: „Jesu corona virginum”¹⁾. W ten czas wystąpiła w świetle przybytku procesja już poświęconych dziewic, prowadzona przez księży i diakonów, których opiece powierzone były. A po środku tych dziewic ukazały się inne dwie dziewice, których śnieżno-biały strój tym jaśniej odbijał od czarnych sukien już poświęconych dziewic. Były to dwie nowe postulanki, które,

¹⁾ „Jezu, korono dziewic”. Hymn dla dziewic.

gdy orszak na dwa szeregi podzielił się, poprzedzone zostały każda przez dwie profeski do stóp ołtarza, gdzie ukłękły przed Papieżem. Druhny, czyli matki duchowne, stały tuż obok, aby brać udział w obrządku.

Każda za zbliżeniem się zapytana uroczystości: czego pragnie, wyraziła życzenie przywdziania habitu i wypełnienia powinności doń przywiązanych pod opieką obranych przewodników. Bo chociaż poświęcone dziewice żyły w stowarzyszeniu już przed tą epoką, wszakże wiele z nich nie przestało zamieszkiwać pośród rodziny, i prześladowanie przeszkadzało klauzurze. Było jednak miejsce w kościele odgrodzone dla poświęconych dziewic, i często schodziły się na osobne nauki i nabożeństwa.

Biskup przemówił potem do młodych postulantek gorącymi i miłości pełnymi słowy. Powiedział, jak wysokim jest powołanie prowadzić na ziemi życie aniołów, którzy w małżeństwo nie wstępują, i postępować ku niebu tą samą drogą czystą, którą wcielone Słowo obrało dla własnej matki, i nareszcie zająć miejsce w czystych szeregach wybranego wojska, które towarzyszy nieodstępnie Barankowi. Rozwodził się nad nauką św. Pawła, piszącego do Koryntian o wyższości dziewictwa nad wszelki inny stan i z uczuciem opisał szczęście nieposiadania żadnej miłości na świecie, prócz jednej, która zamiast stygnąć, staje się nieśmiertelną w niebie. — Szczęściem jedynym — mówił — jest rozkwitły jeszcze na tej ziemi kwiat miłości Bożej.

Po tym krótkim przemówieniu i wyegzaminowaniu kandydatek przed tak wielkim zaszczytem, Ojciec święty błogosławił różne części habitów, a potem postulanki przywdziały

habit przy pomocy opiekunek swych. Nowe zakonnice położyły głowy na ołtarzu na znak ofiarowania siebie samych. Wtedy uwieczono obie kwiatami, i chociaż w zimie, dobrze opatrzony taras Fabioli dostarczył pięknego i wonnego kwiecica.

Wszystko zdawało się być skończone! Agnieszka klęcząc u stóp ołtarza, nieruchoma była jak zwykle w zachwycie, z oczami w górę podniesionymi, gdy Syra obok niej ku ziemi pochylona, zanurzona była w głębokościach słodkiej swej pokory, dziwiąc się, czym mogła zasłużyć na tyle łask. Obydwie tak były w dziękczynieniu zatopione, że nie spostrzegły lekkiego poruszenia wśród zgromadzenia, jakby coś nieprzewidzianego było się stało.

Zbudzone zostały przez powtórne zapytanie papieża:

— Córkę moja, czego żadasz?—gdy zanim zdołały obejrzeć się wokoło siebie, każda uczuła się za rękę pochwyciona i usłyszała odpowiedź daną głosem obu drogim:—Ojcie święty, pragnę przyjąć sukienkę poświęconą Jezusowi Chrystusowi, jedynej mojej miłości na świecie, pod opieką tych dwóch świętych dziewczic, które już są Jego szczęśliwymi oblubienicami.

Przejęte były radością i rozczuleniem, bo to był głos biednej, ślepej Cecylii. Gdy posłyszała o szczęściu oczekującym Syre, pobięła, jakiegoś widzieli, do dobrej Lucyny, która ją wkrótce pocieszyła nadzieją otrzymania podobnej łaski. Obiecała wszystkiego dostarczyć, co potrzebnym będzie; lecz Cecylia zastrzegła sobie, aby sukienka była gruba, jak przystoi ubogiej dziewczynie. Kapłan Dionizjusz przedstawił Ojcu św. prośbę jej i otrzymał łaskawą odpowiedź; ale ponieważ pragnęła mieć przy

sobie przyjaciółki swoje za opiekunki, powiedziane było, że ją Dionizjusz poprowadzi do ołtarza po poświęceniu Syry i Agnieszki. Cecylia pomimo tak wielkiej radości zachowała tajemnicę.

Po błogosławieństwie przywdziano jej welon i habit, a na zapytanie, czy nie przyniosła wieńca kwiatów, nieśmiało wyjęła z pod sukni wieniec, na jaki się zdobyła, t. j. nagą, kolczastą gałązkę, i podała, mówiąc:

— Nie mam kwiatów do ofiarowania Oblubieńcowi memu, ani On kwiatów dla mnie nie nosił. Jestem ubogą dziewczyną; czy myślicie, iżby się Pan obraził, gdybym prosiła, aby mnie uwieńczył tak, jak samemu podobało Mu się być uwieczonym? Prócz tego kwiaty wyobrażają cnoty tych, którzy je noszą; a moje nędzne serce nic lepszego od tych głogów nie wydało.

Nie widziała ciemnymi oczami, jak dwie towarzyszkę zdjęły wieńce, aby na jej głowie złożyć; lecz znak Ojca św. wstrzymał je, i wśród łez wszystkich obecnych i świadków prowadzona była radośnie w cierniowej koronie: żywy obraz tego, o czym Kościół zawsze naucza, że królową cnót jest niewinność uwieczona pokutą.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



78338/1
84689/1

Biblioteka Dobrych Książek

ŁOMŻA, UL. STEFANA OKRZEI 13.

w roku 1936-ym wydała powieści następujące:

Klemens Junosza: „Pod wodę”.

Antoni Skrzynecki: „Wierzę”.

Janina Maria Chojcka: „Opętańcy”.

Jadwiga Ziółkowska: „Fale Bałtyku” (2 tomy).

Pierre l'Ermite: „Kobieta z zamkniętymi oczami”.

Jan Szczepkowski: „Przez prerie i puszcze”.

Zofia Topińska: „Na zatracenie”.

Czesław Xawery Jankowski: „Sto procent”.

Klemens Junosza: „Czarne błoto”.

Ks. Karol Wisemann: „Fabiola” (2 tomy).

Cena każdego tomu **1 zł.**

Komplet 12 tomów tylko **zł. 10.**

Uwaga na adres: ŁOMŻA, UL. OKRZEI 13.

w Warszawie: Skład główny w księgarni
„KRONIKI RODZINNEJ”, ul. Podwale 4.